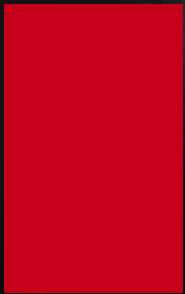




- Uprawa warzyw z **laureatką Bookera Eleanor Catton**
- Jak korespondują nobliści, czyli listy **Szyborskiej i Miłosza**
- Premiera biografii **Róży Luksemburg**



WYSOKIE OBCASY
Męskość
na nowe czasy



GAZETA **wyborcza** wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

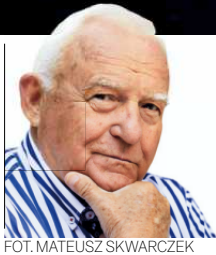
**RAPORT
O SEKSIE
KSIĘŻY**

Najgorsza jest samotność

► 4

FOT. AMBROZIO / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Moja wina
Leszek Miller
robi życiowy
bilans ► 24

**Szkoła
w chmurze**
Jest dla
wybranych ► 16

Zimna flądra
Za to kochamy
Nicole
Kidman ► 30

**Austria
wytiera**
Tylko nie pytaj
o Rosję ► 18

**Kod dostępu
do
Wyborcza.pl
na weekend**

Agnieszka
Kublik

Kogo teraz słucha prezydent Duda?

Co czuliście, gdy Andrzej Duda na szczycie ONZ w Nowym Jorku apelował o „poszanowanie prawa”? Bo ja płonęłam ze wstydu.

Prezydent przemawiał we wtorek przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ. Akcentował, że „nie da się osiągnąć pokoju i bezpieczeństwa na świecie bez poszanowania prawa”, bo „nasza historia i doświadczenia skłaniają nas do ciągłego przypominania o potrzebie poszanowania prawa międzynarodowego i ochrony suwerenności państw”.

Duda jest z wykształcenia prawnikiem. Ba, doktorem prawa, co tylko pogarsza sytuację. Prawnikowi, który sprzedawał politykom praworządność, nie wolno apelować o „poszanowanie prawa”. Brzmi fałszywie, jest niewiarygodny. Ale co i rusz upomina obecną władzę, że powinna szanować konstytucję!

Na kartach historii Duda zapisze się jako prezydent, który stał na straży niepraworządności. Już w pierwszym roku prezydentury ulaskawił nieprawo-

mocnie skazanych Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Jeszcze tego samego dnia weszli do rządu Beaty Szydło. Duda rzucił wtedy, że ich ulaskawił, by „w swoisty spo-

sób uwolnić wymiar sprawiedliwości od tej sprawy”.

W grudniu 2015 r. nie przyjął ślubowania od trzech prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. A przyjął od sędziów TK wybranych nieprawidłowo.

W 2017 r. podpisał nowelę ustawy o KRS. Tę która zniszczyła niezależność tej instytucji i spowodowała, że Komisja Europejska uruchomiła art. 7 Traktatu UE (o przestrzeganiu praworządności). Bowiem PiS i Duda złamali tak aż trzy artykuły Konstytucji RP. Tak samo Duda postąpił i z Sądem Najwyższym – zgodził się na odebranie mu niezależności.

Latem zeszłego roku podpisał „lex Tusk” – ustawę wymierzoną w Tuska. Łamała aż 17 artykułów Konstytucji.

To wtedy Jan Zimmermann, profesor prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i były promotor Dudy spostonował go publicznie: „Popenił taki błąd, którego ja bym nie wybaczył nawet studentowi na egzaminie. Ciągłe mam w tyle głowy, że pan prezydent jest moim doktorantem, który w praktyce próbuje doprowadzić do całkowitego załamania porządku prawnego w tym kraju”.

Już wcześniej miał o swoim byłym asystencie nienajlepszą opinię. – To taka osobowość, bardzo podatny na sugestie lub polecenia z zewnątrz człowiek, który musi być komuś podporządkowany. Wtedy sobie świetnie radzi. Najpierw był podporządkowany mnie, potem Zbigniewowi Ziobrze, Lechowi Kaczyńskiemu, a teraz jest podporządkowany Jarosławowi Kaczyńskiemu. Zawsze jest ktoś, kogo słucha i wobec kogo jest w pełni lojalny – tak prof. Zimmermann widzi Dudę. Nie on jeden. Jakies kilka milionów jeszcze.

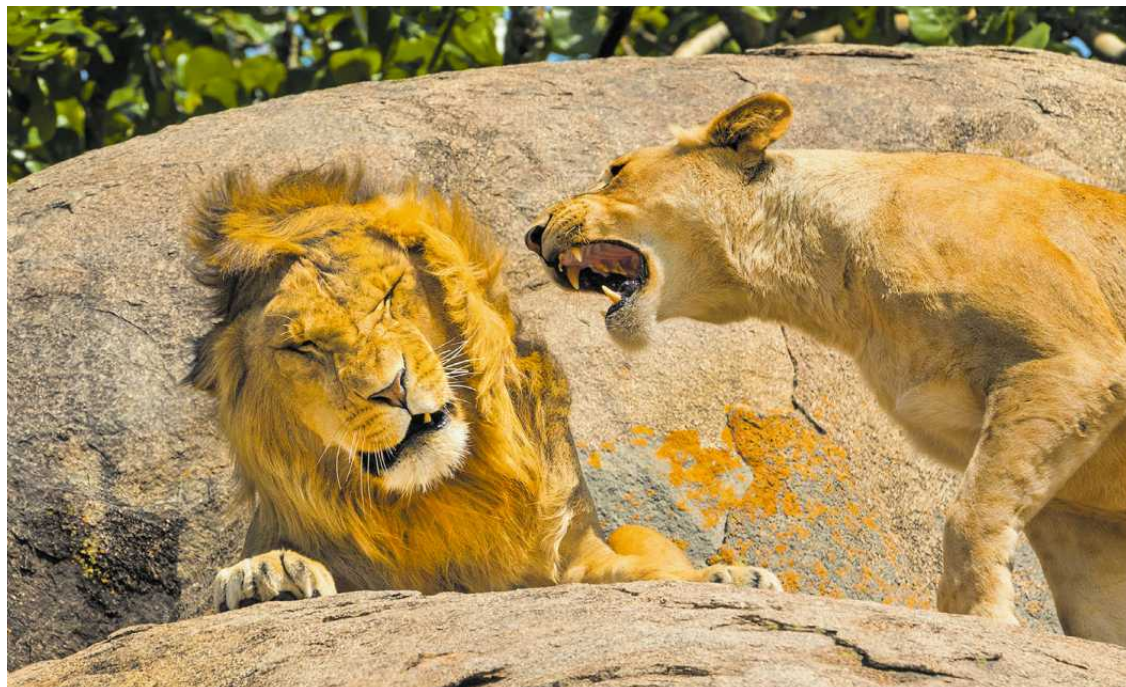
Kogo teraz Duda słucha? Ktokolwiek to jest (Mastalerek?) robi z niego durnia.

Od razu uprzedzam, że Sąd Najwyższy uznał, że opisując prezydenta można używać tego słowa. ●

Andrzej rysuje



Konkurs fotograficzny Sceny z życia małżeńskiego



„Lwica senna i naga nie czuje więzienia, leżąc spogląda w oczy lwu, panu stworzenia.” – pisała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. To zdecydowanie nie jest ilustracja do tego wiersza. Zdjęcie lwów z Parku Narodowego Serengeti w Tanzanii znalazło się w finale konkursu Nikon Comedy Wildlife Awards.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

20

TYS. BUDYNKÓW
mogło zostać uszkodzonych lub zniszczonych przez powódź w południowej Polsce – oszacowali na podstawie danych satelitarnych eksperci z ICEYE

Konserwatyści i liberalowie Poglądy polityczne widać w mózgu

Potwierdzają to naukowcy. Ale różnica w budowie mózgow konserwatywnego i postępowego jest mniejsza, niż się wydawało. Poglądy są w dużej mierze kształtowane przez osobowość – a ta jest niemal w połowie zależna od DNA. Kiedy więc spotkacie kogoś, kto glosuje inaczej niż wy, nie musi to oznaczać, że jest durniem. Po prostu postrzega rzeczywistość inaczej. I niewiele na to można poradzić.

Te różnice są tak głębokie, że odciskają piętno na budowie mózgu. Pokazało to niewielkie badanie z 2011 r., które przeprowadzono w Wielkiej Brytanii. Odkryto, że istnieją różnice w wielkości ciała migdałowatego oraz przedniej części zakrętu obręczy w mózgach konserwatystów oraz liberalów.

Pierwszy z rejonów bierze udział w generowaniu negatywnych uczuć. Odpowiada też za agresję oraz reakcje obronne. Z kolei przednia część zakrętu obręczy kontroluje m.in. uczucia.

Naukowcy z Grecji i Holandii postanowili powtórzyć badanie na dużo większej próbie – przeanalizowali wykonane rezonansem magnetycznym skany mózgow 928 osób, politycznie reprezentujących całe spektrum wielopartyjnego społeczeństwa Holandii.



Wyniki, które opublikowało „iScience”, pokazały, że różnice w anatomii mózgow konserwatywnych i progresywnych rzeczywistości istnieją. Są jednak mniejsze, niż uważano. Tym razem nie odkryto żadnych różnic w budowie przedniej części zakrętu obręczy (czyli te odkryte poprzednio wynikały z niewielkiej i źle dobranej próby badawczej). A te, które istnieją w anatomii ciała migdałowatego, nie są wielkie. U konserwatystów jest ono tylko nieco większe niż u postępowców. I jest to różnica, jak piszą autorzy publikacji, wielkości ziarenka sezamu.

– Byliśmy zdziwieni, że jakaś różnica w ogóle się potwierdziła – przyznaje dr Diamantis Petropoulos Petalas. – Ale ponieważ ciało migdałowate wpływa na postrzeganie ryzyka i zagrożeń, nic dziwnego, że osoby, które są bardziej wrażliwe na te sprawy, bo mają nieco większe ciało migdałowate, stawiają też mocniej na kwestie bezpieczeństwa, co jest charakterystyczne dla konserwatystów. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Jaka jest męska przyjaźń

Łukasz: Pojawila się we mnie potrzeba przyjaźni z drugim mężczyzną. Problem w tym, że ja nie mam pojęcia, jak taka przyjaźń powinna wyglądać. Ciągłe to testuję.

Reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej o męskiej przyjaźni



Nike

Nagroda Literacka

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką
„Nike” 2024?



UROCZYSTA GALA NIEDZIELA

6 października, godz. 20.00



Tegorocznymi nominowanymi:
**Marzanna B. Kielar, Urszula Koziół,
Małgorzata Lebda, Cezary Łazarewicz,
Piotr Paziński, Andrzej Sosnowski,
Michał Witkowski**

REKLAMA

Mecenas strategiczny:



Mecenas:



Fundator nagrody głównej:



Partner Wydarzenia:



Współproducent gali:



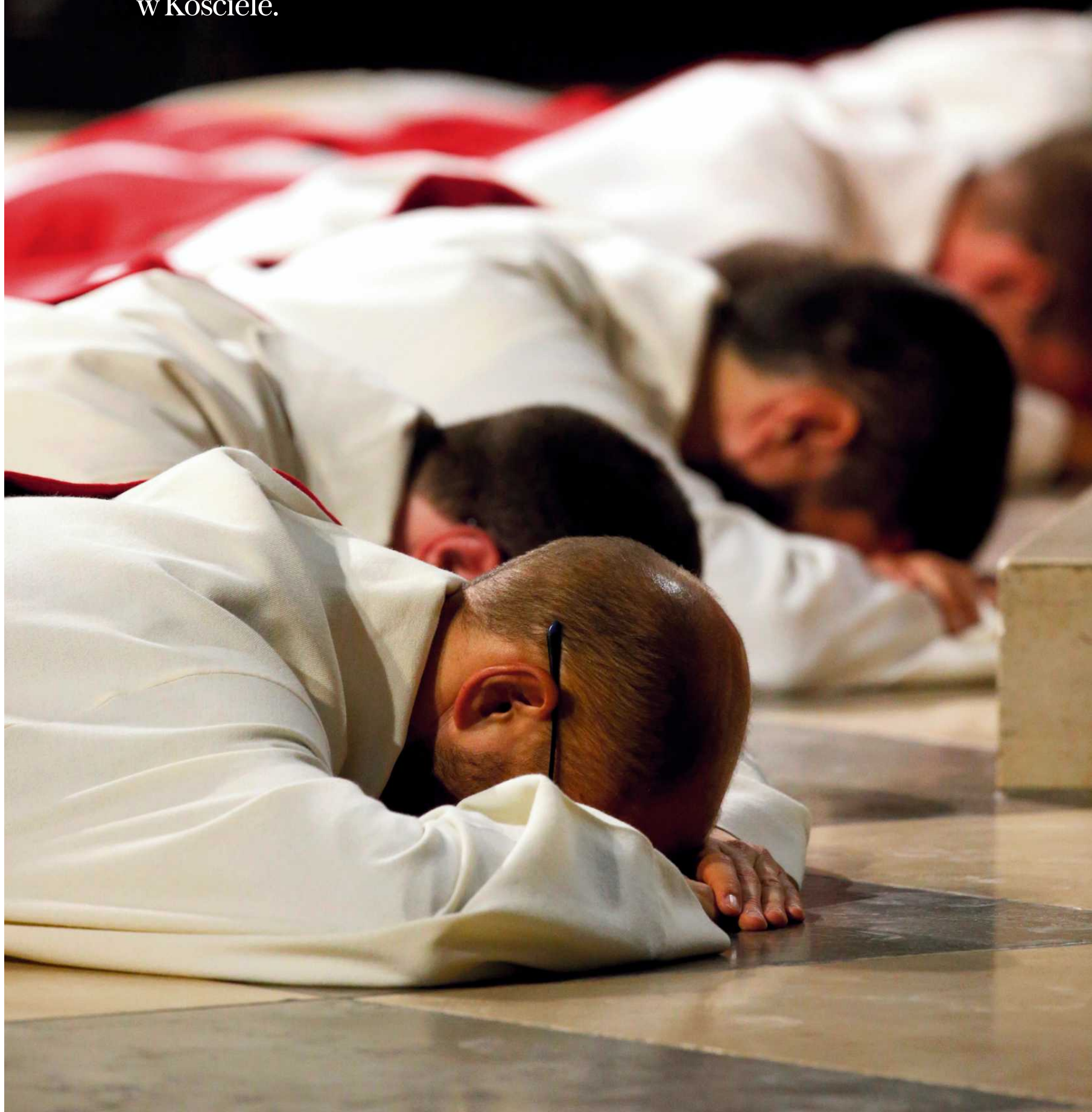
Patroni medialni:



Długo. tłumione libido

RAPORT
O SEKSIE
KSIĘŻY

Były ksiądz: Gdybym miał kolegów, którzy poszliby ze mną na dziwki, napiliby się, pewnie bym został w Kościele.



Artur Nowak

Przecież wszyscy wiemy, że celibat nie ma sensu. Cały Kościół o tym wie – wzrusza ramionami pewien kanclerz kurii, z którym wiele razy spotkam się, zbierając materiały do „Plebanii”, książki o codziennym życiu szeregowych funkcjonariuszy polskiego Kościoła. Rzeczywiście – z dostępnych badań wynika, że przynajmniej w Europie i obydwu Amerykach olbrzymia większość księży jednoznacznie sprzeciwia się utrzymaniu bezżenności.

Watykan, jak zwykle za pontyfikatu Franciszka, usiłuje być jednocześnie postępowy i wierny doktrynie i wydaje sprzeczne komunikaty. – Obecne przepisy o zakazie ożenku i współżycia są jedynie rozwiązaniem tymczasowym i mogą zostać zrewidowane – mówi sam papież wiosną zeszłego roku argentyńskiemu dziennikarzowi. Jesienią Agostino Marchetto, emerytowany wysoki urzędnik kościelny, właśnie wyniesiony przez Franciszka do rangi kardynała, dementuje w hiszpańskim portalu „El Debate”: – Ojciec święty powiedział, że nigdy nie zmieni nauczania Kościoła o kapłańskim celibacie.

W czym tak naprawdę problem? Dlaczego Franciszek hamletyzuje? Dlaczego hierarchowie podtrzymują fikcję, narażając się na szyderstwa w social mediach i odpływ wiernych zniesmaczonych hipokryzją?

Przez długi czas duchowni żyli w związkach. W Liście do Tymoteusza czytamy: „Biskup więc powinien być nienaganny, mąż jednej żony (...) dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Diakoni niech będą mężami jednej żony, rządzący dobrze dziećmi i własnymi domami”. Celibat był opcją, a nie nakazem. Sam Jezus, jak czytamy w Ewangelii św. Mateusza, wypowiada się ze zrozumieniem: są także bezżenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie sami zostali bezżenni.

Oczywiście zdarzali się purytańscy desperaci, jak żyjący w II i III wieku Orygenes, którzy kastrowali się. Jednak droga do celibatu była długa. Przełomem miał być rok 305 i synod w Elwirze, który zabronił księżom kontaktów cielesnych z żonami, ale takiego zakazu nie sposób było wyegzekwować. Do wymuszania przestrzegania go zabrał się siedem stuleci później Grzegorz VII, ale biskupi, mimo groźby utraty urzędu, nadal przynykali oczy na seksualność podwładnych.

A przykład szedł z samej góry – Sergiusz III (904-911) związał się z Marozją, która wydała na świat papieża Jana XI i została babcią Jana XII. Honoriusz II (1124–30) współżył i z kobietami, i z chłopcami. Paweł II (1464–71) w ramach gry wstępnej napawał się scenami męskiego sadyzmu, nim przechodził do aktywnego seksu z mężczyznami. Według niektórych źródeł dokonał żywota w chwili uniesienia z kamerdynerem. Jego następca Sykstus IV (1471–84), wielki wyznawca niepokalanego poczęcia Maryi, wzniosł w Rzymie kolejny dom publiczny i z opłat za prostytutkę częściowo sfinansował budowę bazyliki św. Piotra. Prowizję od godzinnej stawki rzymskich prostytutek pobierał także papież Klemens VII (1523–34); za zebrane fundusze wzniosł konwent Santa Maria della Penitenza. Ale żaden nie przebił Rodrigo Borgii, czyli Aleksandra VI (1492-1503), który z kilkoma kochankami oczekiwał się siedmiorga dzieci. Do historii przeszła kolacja, którą wydał na rzecz syna Cezara, podczas której pół setki nagich prostytutek na czworaka zbierało z ziemi kasztany.

Wszystko to skrzętnie wykorzystał ruch reformacyjny, z Lutrem na czele, w kazaniach i masowo powielanych ulotkach, ukazując zepsucie duchownych. Aby zamknąć usta protestantom, zasadę celibatu ugruntował w 1563 r. sobór trydencki – ale jako wyłączną formę życia kapłańskiego bezżenność i czyistość wskazał dopiero kodeks prawa kanonicznego. W roku, bagatela, 1917 – a i tak musiał ją powtórzyć w połowie lat 60. Sobór Watykański II. Po czym zlecone w 1971 r. przez kurię rzymską badania nad przestrzeganiem celibatu na terenie Watykanu i Rzymu wykazały, że niewiele się zmieniło.

Dlaczego więc kolejni papieże upierają się przy tej fikcji? Nie z pierwotnie motywującej zakazy troski o majątki księży, które dziedziczyłyby ich dzieci i żony – bo obecnie kapłani już mogą sami dysponować swoim majątkiem po śmierci. Chodzi o coś innego. Masz być żołnierzem, posłusznym wobec przełożonych, a oficjalna, uznana partnerka i dzieci mogą w tym mocno namieszać, zaburzając hierarchię lojalności. Ale jeśli

będąc ojcem lub rozpustnikiem, pozostajesz lojalny i oddany systemowi, system przynyka oko. Jak tłumaczy Marco Marzano, socjolog Kościoła i religii z Uniwersytetu w Bergamo, autor książki „Kasta nieskazitelnych. Księża, seks, miłość”, gdyby zabrakło celibatu, „runęłaby nieuchronnie cała reszta: kształcenie seminaryjne, klerykalizm, wyjątkowość kasty kapłańskiej”. Dzięki celibatowi tak naprawdę Kościół przetrwał.

Jak więc żyć? – Żebyś wiedział, ile my mamy takich sytuacji... – tłumaczy mi wysoko postawiony w pewnej kurii gej. – No, ale nie mogę nic powiedzieć, bo biskup mnie uduś. O tak! – krzyczy, łapiąc się za szyję. Uspokaja się i wyjaśnia, że to norma, że księża trwają w związkach. I że nikt z tym nic nie robi, dopóki nie wybuchnie jakiś skandal. Powód jest prosty: – Przecież już teraz nie ma księży. Jakby biskup miał odesłać prewencyjnie do domu księży emerytów każdego z nas, który żyje z kobietą albo z chłopakiem, pi-je albo kradnie, nikt by nie został!

– Poza tym to nie pedofilia. – Uśmiecha się, sięgając po sernik. – Niech sobie ciupciają, byleby bez rozgłosu.

Ale to rozmowa sprzed kilku miesięcy. Sprzed Dąbrowy Górniczej, gdzie na plebanii podczas orgii męzczyzna prostytutka stracił przytomność. Wszystko wydało się, bo spanikowani klienci nie chcieli wpuścić ratowników medycznych, musiała interweniować policja. Biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak podał się do dymisji. Oficjalnie, bo nieoficjalnie Episkopat dostał jasny komunikat z Rzymu.

Na początku w seminarium jesteś nikiem, dopiero z czasem nabywasz jakieś prawa. A system tej fali nie przeciwdziała, bo jest mu na rękę – uczy życia w hierarchii

– No a teraz trup – zagaja kurialista, kiedy na początku września media obiega wiadomość o kolejnym zgonie podczas seksimprezy. – W Dąbrowie Górniczej pewnie odetchną po tym Drobinie.

– Na rękach miał kajdanki, a na sobie skórzane stringi. Ksiądz spał pijany na fotelu, przebrany za króliczka – tak przebieg tej imprezy relacjonuje mieszkaniec Drobiną w diecezji płockiej.

Ludzie mówią, że imprezy na tej plebanii odbywały się systematycznie. Wspominają o imprezach zakrapianych alkoholem i wieczorach, na które zjeżdżało się wielu księży. Jeden z miejscowych wspominał, że trafił na pijanych księży, jak wyjeżdżali samochodem spod plebanii z dwoma kobietami. – Pojechaliśmy za nimi. Złapaliśmy ich 10 kilometrów dalej.

Czy 29-latek już nie żył, kiedy ksiądz wyskoczył na chwilę do kościoła udzielić ślubu?

Płoccy biskupi – przełożeni drobińskich kapłanów – mają długą historię skandali. Przez cały środkowy PRL, od 1964 do 1984 roku, rządził tu bp Bogdan Sikorski. Latami żył w konkubinacie. Miał syna, któremu urządził huczny ślub w kościele. Biskup Mirosław Milewski z kolei, ucząc się języka w Wielkiej Brytanii, zamiast na plebanii zamieszkał z parafialną korepetytorką w kawalerce. Zgorszenie miejscowych było tym większe, że kobieta odwołała lekcje dla parafian.

Kilkanaście dni przed śmiertelnym sekwartem biskup Milewski w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny tłumaczył wiernym, że „mimo trudności i kłód rzucanych nam pod nogi nie możemy zaprzestać budowania na ziemi królestwa Bożego. Nie dajmy sobie wmówić, że człowiek najlepiej pracuje wtedy, gdy nie nosi medalika z Matką Bożą czy gdy na jego biurku nie stoi obrazek ze św. Michałem Archaniołem”.

Kazanie o medaliku i świętych wspominam nie przypadkiem. Chłopak, który spotyka się z księżmi, a którego poznałem podczas jednej ze spraw o molestowanie, z rozczerleniem wspomina brata zakonnego, który przed seksem zawsze pamiętał, żeby sięgnąć medalik i z namaszczeniem złożyć go za progiem celi. – Ale i tak, kiedy leżałem na plecach, patrzyła na mnie Matka Boska Częstochowska, którą miał nad łóżkiem, a jak ruchaliśmy się na pieska, przyglądał nam się Jezus Frasobliwy.

– Jezus Frasobliwy? – Taka rzeźba ludowa. Stała na kredensie na plebanii. Jak byłem mocno zrobiony, miałem zwidy, że zasłania sobie oczy.

Mój rozmówca, który stał się etatowym partnerem księży i zakonników, opowiada, że trafił „do środowiska” z polecenia duchownego, z którym przez pewien czas był w związku. Stanowi zaprzeczenie stereotypowego geja. Masywny kark, kwadratowa czaszka, włosy w kucyk, tubalny głos. Za chwilę skończy 40 lat, w świetnej formie – siłownia, bieganie, dieta wegańska. I zasady – od plebanii woli spa. Obecność świętych obrazów go krępuje.

– Jacy są? Różni. Proboszczowie pogodni, inteligentni, z nimi można nawet pogadać. Czytają książki, znają nowe filmy. A młodzi... jacyś autystyczni tacy, wycofani, załęknieni – zastanawia się, sącząc białe wino. – Wolę starszych, bo są bez szaleństw. Bo młodzi przychodzą po narkotykach.

Masażysta księży, który od sześciu lat działa w podziemiu przemysłu erotycznego, klaruje mi, jak to jest:

– Doskonale wiem, kto jest na prochach, a kto jest czysty. Wystarczy, że spojrzę, powącham, zamienię słowo. Jak brali mef albo emkę przed masażem, najpierw przez kwadrans siedzieli na kiblu, bo te środki od razu przeczyszczają. Później przez cały czas czuję ten charakterystyczny smród potu po mefedronie. Trudno go pomylić. Gadają jak katarynki. I te ciągłe wybuchy euforii i oczy jak talerze.

Od razu widzę, co jest cięte. Ale nie wiem, czy oni lecą na prochach tylko podczas rozrywek, czy również w zakrystiach. Aż tak nie ciągnąłem ich za język. Ale to musiało osiągnąć w Kościele masową skalę, bo są świetnie zorientowani w temacie. Często mieszają te środki z popkiem. Nie, poppers to nie narkotyk, tylko rozpuszczalnik do inhalacji, chwilowo rozluźnia mięśnie gładkie.

A więc ci poważni, namaszczeni faceci, których publiczny wizerunek kreują rytualne formułki wyglądające katechetyczną nowomową i bezbarwne kazania, są jak Keith Richards i Johnny Depp?

– To jest życie przepełnione podbojami seksualnymi oraz narkotykami. Taka hulajnoga, na której jedzie polski Kościół, jedno kółko to seks, a drugie – narkotyki – słyszę od masażysty.

Mefedron – silny, euforyzujący stymulant w proszku lub kapsułkach – to atrybut niejednej imprezy z udziałem księży. Duchowni z Sosnowca mówią, że był regułą. Wszyscy wiedzieli i nikt się nie przejmował. Mało tego, ci ludzie awansowali.

– Oni zostawiają najwięcej, właśnie z tych tac. To, że placą w niskich nominalach, czyli dziesięć-, dwudziestozłotówkami, nie znaczy, że placą mało – opowiada masażysta ze Śląska. Lubi masować proboszczów. – Jak dobrze takiego rozkręcisz, to z tej wali-zeczki potrafi wyciągnąć taką kwotę, że made my week!

Zasypuje mnie anegdotami: o zakonniku, który po każdym udanym – czyli zakończonym ejakulacją – masażu wręcza obrazek z jakimś świętym, zapewniając, że będzie się modlił za siebie i za niego, żeby to się więcej nie powtórzyło. Albo o kolegach z roku, którzy od 20 lat nie mogli się spotkać, choć okazji podczas różnych uroczystości kościelnych nie brakowało, a spotkali się właśnie u niego.

– Zapytałem kiedyś proboszcza z Wrocławia, czy płacenie akuratnie tacą za masaże erotyczne jest OK, a on odpowiedział – i obiektywnie przyznając mu rację – że pieniądze z tacy nie są na działalność eucharystyczną czy ewangeliczną. Są po to, żeby załatać dach na plebanii, zatankować samochód, kupić żywność. Płacisz na utrzymanie swojej parafii, a na to składa się wiele elementów. Jeśli twój proboszcz czy wikariusz jeździ wygodnym samochodem, przekłada się to na jego dobre samopoczucie i odprawi dla ciebie lepszą mszę. Jeśli śpi w wygodnym łóżku, jest bardziej

wypoczęty. Tak samo z masażem, jak dobrze się zabawi, to nazajutrz jest zupełnie innym człowiekiem.

To nie tak, że do zawodu idą hipokryci, cynicy i pragmatycy. Klerycy dopiero się nimi stają. Klerycy, bo walka – z góry skazana na porażkę – z własną seksualnością i lekcje obłudy zaczynają się już w seminarium.

Każdemu upadkowi towarzyszą poczucie winy i wstyd. Gdy opublikowałem „Plebanię”, napisało do mnie kilku „eksów”. To wrażliwi młodzi ludzie. Wszystkie opowieści brzmiały podobnie: „poszedłem na księdza”, bo miałem zapał, chciałem zmieniać siebie i ludzi, by stawali się lepsi.

Wszyscy twierdzą, że w Kościele zostali cynicy.

– Miałem kolegę, który nalogowo się masturbował – wspomina jeden z seminarzystów. – Ja waliłem konia po cichu, pod kołdrą. Tamten w słuchawkach, do porno na laptopie. Nie zwracał uwagi, że nie jest sam pokoju i może nie śpimy. W końcu poszedł ktoś do rektora. A on się pyta, co jest na tych płytach, ale nie obejrzę, bo to grzech. No i ten gość do dziś jest księdzem.

– Dodawali nam brom na obniżenie popędu – opowiada inny były ksiądz. Kiedy zauważam, że to chyba nielegalne, wzrusza ramionami. Nikt się wtedy nad tym nie zastanawiał. I zaraz dodaje, że na niewiele to się zdało. – Po tygodniu wstrzemięźliwości wpadłem w ciagi i masturbowałem się prawie całą noc. Bardzo to przeżywałem. Kiedyś poszedłem do ojca duchownego i spytałem, czy mogę zostać księdzem, skoro tak robię. Masturbacja to przecież zło. A ojciec duchowny mi na to, że może być tak, że „to” będzie mi „towarzyszyć” przez całe życie. Byłem w szkole, bo ja naprawdę byłem przerażony, czy zasługuję na święcenia.

A skoro przełożeni, wychowawcy i duchowi mentorzy nie widzą problemu i przyznają, że nauka Kościoła sobie, a rzeczywistość sobie, bo „pożądanie to towarzysz na całe życie” – to po co ograniczać się do autoerotyzmu, skazując na sfrustrowaną samotność?

Od osób, które siedzą w seksbiznesie, słyszę, że księża to typowa klientela. „Geje mają swoje kluby. Geje mają swoje miejsca spotkań, swoje aplikacje. Mają swoje zwyczaje oraz nawyki. A księża geje są obecni dosłownie w każdej z tych przestrzeni, stworzonych czy zarezerwowanych dla osób LGBT”.

Ale zaraz, dlaczego ciągle geje, a prawie nic o heterokach? Nie skupiam się na nich dla taniej sensacji. Po prostu ta orientacja seksualna przeważa wśród duchownych. Bo choć Kościół – do niedawna w oficjalnej nauce, a hierarchowie w motywowanych politycznie wystąpieniach do dziś – potępia homoseksualizm, najciemniej jest pod latarnią. Czyli najbezpieczniej.

– Zawód, pardon, powołanie – ksiądz to doskonała droga dla chłopaka z niewielkiej miejscowości, który jest gejem. Jaką przyszłość jeszcze kilkanaście lat temu miał ktoś, kto urodził się jako gej w wiosce w diecezji tarnowskiej? Albo musiał uciekać do stolicy i przyjeżdżać do rodziny z koleżanką, którą przedstawiał jako swoją dziewczynę, albo słyszał, że jest „ciotą”, „cwelem” i „ciepłym”, a wieczorami siedział w domu, żeby nikt mu na ulicy nie przyłożył – tłumaczyła kilka lat temu Annie Dudek z „Wysokich Obcasów” badaczka społeczna i psycholożka Marta Abramowicz, autorka książek „Zakonnice odchodzą po cichu” i „Dzieci księży”. Więc chronią się w instytucji, która im sprzyja, bo – i tu kłaniają się celibat oraz katolicka mizoginia – powstał w niej „całkowicie męski świat, w którym przyjaźnie zawiera się tylko z mężczyznami, a kobiety pełnią funkcje służących”.

W 2000 roku ks. prof. Donald Cozzens, teolog i terapeuta, był rektorem seminarium w Cleveland, w głośnej publikacji „Zmienające się oblicze kapłaństwa” podał, że od 30 do 58 proc. amerykańskich duchownych to osoby o orientacji homoseksualnej. Po-

dobne szacunki przedstawił były benedyktyn Richard Sipe, dodając, że w przypadku biskupów może to być nawet 70 proc.

Znajomy masażysta: – We Wrocławiu bardzo często masowałem księży spoza miasta. Z archidiecezji poznańskiej, krakowskiej, warszawskiej. Jeśli zatem ksiądz z Poznania chce skorzystać z sauny, nie idzie do Term Maltańskich w Poznaniu, bo tam ktoś mógłby go rozpoznać. Pakuje się w samochód i jedzie na weekend do Wrocławia, aby spotkać się z innymi gejami w saunach wrocławskiego aquaparku.

Często pod wieczór w piątek czy w sobotę obsługiwałem księdza z Warszawy, który po masażu wybierał się do Cactusu. To taki klub gejowski. Nie szedł do Instytutu w stolicy, bo tam mógłby zostać rozpoznany, jechał do Wrocławia albo do Dark Angels do Poznania. Nawiasem mówiąc, z tych opowieści księży znam chyba każdy klub gejowski w Polsce, choć nie byłem w żadnym.

W przypadku młodszych księży nie ma seksu bez narkotyków i odwrotnie.

Ksiądz Rafał – imię zmienione – którego spotkałem, pisząc „Plebanię”, to interesujący typ. Aż dziw, że się uchował pod rządami tak nieciekawego i prowincjonalnego hierarchy jak specjalizujący się w opowieściach o aborcji, szkodliwym wpływie obcych mediów i dziele Jana Pawła II metropolita częstochowski arcybiskup Wacław Depo. Rafał ubierał się w markowe ciuchy, grał hip-hop, a przy okazji dilał. Wsyłał go inny handlarz. Do wpadki doszło, gdy znajomy ksiądz, który się żenił, poprosił o towar dla gości weselnych, i to nie było jakie, bo o kokę. Ksiądz na przesłuchaniu wyjaśnił, że „spełniał wolę swoich znajomych”. Dostał rok w zawieszeniu na trzy lata.

Etatowy partner księży: Proboszczowie są pogodni, inteligentni, z nimi można nawet pogadać. Czytają książki, znają nowe filmy. A młodzi... jacyś autystyczni tacy, wycofani. **Wolę starszych, bo młodzi przychodzą po narkotykach**

O wiele surowiej sąd się rozprawił z księdzem Piotrem, który krótko po tym, jak został przeniesiony z Sochaczewa do Żyrardowa, zamienił plebanię na areszt. Dilał trzy lata podczas spotkań towarzyskich. Według rzecznika płockiej prokuratury, głównie mefedron. Sprawa jest świeża, z lata zeszłego roku, więc jeszcze się nie skończyła.

Ksiądz Bogdan starał się być na czasie – jak podał Prokuratura Krajowa w Gdańsku, zajmował się y-Butyrolkatonem, lepiej znanym jako GBL. To nowa, niebezpieczna substancja, normalnie używana jako silny rozpuszczalnik, np. do czyszczenia alufelg. Na rynku narkotykowym cieszy się popularnością, bo rozluźnia. Bywa stosowana do produkcji pigułki gwałtu.

Duchowni nie stronią też od starego, dobrego zioła. W Radomsku na początku 2020 roku policja zatrzymała proboszcza handlującego marihuaną. Przyznał się do winy, uniknął aresztu. A parafianie z Jedlna Pierwszego okazali się całkiem progre-

sywni – utworzyli na Facebooku grupę, która ma służyć „wsparciu naszego zasłużonego proboszcza Tomasza oraz walce z hejtem i fake newsami”.

Więc kupują narkotyki i umawiają się z chłopakami z Grindra, aplikacji randkowej dla osób LGBT+. Z różnym szczęściem. Proboszczowi z Czerleja go zabrakło – czy raczej rozsądku, bo z jego profilu na gejowskim portalu można było odgadnąć, że jest księdzem. Nie bał się pokazywać twarzy, marzył mu się seks w kominiarkach, podkreślał, że jest pasywny i chętnie porozumiewa się po francusku.

„Mam dzisiaj cztery oferty. O której ty możesz najpóźniej do mnie przyjechać? Do której możesz u mnie być? Rozumiem, że jesteś aktywny, to Bogu dzięki, bo ja jestem pasywny” – to jeden z dialogów w komunikatorze. W kolejnym rozmówca proboszcza przechodzi do konkretów: „A viagrę masz? Popersa?”. Następnie ksiądz idzie na calość: „Jestem na etapie wielokątów, robię ustawki po trzech, po czterech, po pięciu, z Warszawy ściągam, totalnie mnie to rajcuje, jak jest trzech aktywów”. I dopytuje o LSD: „Potrzebuję pilnie dla siebie kółka, wiesz, o co chodzi? Dlaczego o tym mówię, bo moja hurtownia wyjechała do Mielna. Ja mam ustawkę we wtorek. Żadnego kryształu nikt nie bierze, na ustawce każdy bierze po kółku. Jesteś w stanie mi dzisiaj to załatwić?”.

Gdy ktoś wpuścił te fragmenty rozmów do sieci, proboszcz próbował ratować sytuację, tłumacząc dziennikarzom lokalnego portalu, że to sprawa innego duchownego, który go szantażuje, a jego wpisy to zmyłka, która miała wyciągnąć od rozmówcy informacje o handlu narkotykami jako dowód dla policji.

„Plebanię”, trafiałem też na ludzkie gejowskie historie w starym stylu, oparte na tym samym mechanizmie transakcyjnym, co w interesownych związkach hetero z dużą różnicą wieku – gdy młoda dziewczyna czy chłopak postanawia skorzystać z okazji, poznając samotną starszą osobę, spragnioną seksu, uczucia czy po prostu zainteresowania, a mającą, bo bez dzieci, na którełożyła.

Pierwsza rozegrała się w małej miejscowości na Kujawach, gdzie trafia ksiądz z wielkiego miasta. Ma 40 lat. Kierował dużą parafią, ale – jak oznajmia nowym parafianom – czas odpocząć. Bliska mu jest wieś, odczuwa potrzebę kontaktu z naturą, ceni prostotę i świeże powietrze. Na Kujawy przyjeżdża z 17-letnim bratankiem. W domu się nie przelewa, siedmioro rodzeństwa, matka urobiona, ojca nie ma, więc postanowił zająć się dzieciakiem, żeby wyszedł na ludzi.

Czas płynie. Chłopak ma prawie 20 lat. Zaocznie studiuje teologię. Ksiądz wybiera mu żonę. To ona jest moją rozmówczynią.

– Pochodzę z pobożnej rodziny – wspomina. – Zawsze w kościele, w pierwszej ławce. Jak trzeba było pomóc, byłam na zawołanie. Nie miało znaczenia, czy chodzi o posprzątanie kościoła, ustrojenie ołtarza czy trzymanie mikrofonu na pogrzebie, jak nie było ministranta. No i pewnego dnia ksiądz mi powiedział, że powinnam wreszcie wyjść za mąż, żeby ludzie nie gadali.

Nie minęło kilka miesięcy, gdy jego stula owinęła dłonie bratanka oraz wybranki. Rodzi się dziecko, potem drugie. Ale mąż jest oziębły. Jeśli zdarzy się seks, to taki przy zgaszonym świetle, bez ognia. Zupełnie inny niż ten z filmów i książek.

– Aż pewnego dnia... okazało się, że... – przerywa, zawstydzona.

...że jej mąż to żadna rodzina księdza. Po pierwszej komunii ksiądz zabrał go z ubogiej wielodzietnej rodziny i co miesiąc, aż do osiemnastki, płacił jego matce.

Moja rozmówczyni dowiedziała się o wszystkim od gosposi, zwolnionej po latach pracy na plebanii za kradzież pieniędzy. Sfingowaną przez proboszcza po tym, jak raz i drugi przypadkiem zobaczyła go in flagranti z „kuzynem”. Od tego momentu małżonkowie przestali sypiać w jednym łóżku. A gdy ksiądz zmarł, mąż mojej rozmówczyni się rozsywał. Wpadł w depresję, alkoholizm.

Druga historia zaczyna się, kiedy obok wpływowego proboszcza jednej z dolnośląskich parafii pojawił się chłopak, modnie ubrany, wyzywający,

publikujący w social mediach filmiki, jak ćwiczy na rowerku treningowym na plebanii, kąpie się w księżowskiej wannie, pozuje w łazience z flakonikami drogich perfum w tle i w luksusowych ciuchach w plenerach Dubaju, Malty, Indonezji. Wiele filmików nagrał proboszcz, co wydało się, gdy followersi młodego lokatora plebanii zauważyli twarz odbijającą się w okularach przeciwsłonecznych chłopaka i innych szklanych powierzchniach.

Chłopak miał 26 lat, ksiądz 57.

Gdy zadzwonili doń dziennikarze, wyjaśnił, że to jego daleki kuzyn, który czasem u niego przenocuje, kiedy ma w Legnicy zajęcia na studiach kosmetycznych. Poza tym opiekuje się matką proboszcza. Parafianie mówią, że rzeczywiście, chłopak jest widywany w kościele – ubrany w siatkową bluzeczkę pod kurtką od Louisa Vuittona, siaduje ze starszą kobietą w pierwszych ławkach.

– To się powtarza co kwartał – opowiada mi przedsiębiorca z branży przewozowej. Poznaliśmy się przy okazji sprawy, którą mu prowadziłem. Gdy dowiedział się, o czym piszę, zapalił się do rozmowy. Jego firma to średniak na rynku, ma pracowników, ale te zlecenia wykonuje sam. Chodzi o zaufanie i dyskrecję.

– Od kiedy wozisz czarnych? – dopytuje.

– Będzie z dziesięć lat. Ta sama ekipa. Zbieram ich po drodze. Mój ksiądz i czte-

rech kolegów. Oprócz umówionej stawki placą za wachę, stawiają mi hotel, jedzenie. Wszystko z najwyższej półki.

– Gdzie jeździcie?

– Różnie: Berlin, Praga, Warszawa...

Zrzucają sutanny, wskakują w cywilny outfit i odpalają się na maksa.

Samochód to volkswagen transporter w wersji salonka – przyciemnione szyby, zamiast rządów siedzeń kilka obrotowych, komfortowych kapitańskich foteli, welury, lodówka, wysokiej klasy audio, spory stolik. – Na tym stoliku było już wszystko, koka, ecstasy, środki na potencję – uśmiecha się krzywo mój przedsiębiorca. – No i oczywiście jest minibarek. Ruszamy i się zaczyna.

– No to czego oni tam słuchają? – pytam.

– „Barki”, „Czarnej Madonny”?

– Nic z tych rzeczy: metal, punk, disco polo, hip-hop. „Barka” była z dwa razy, jak się już dobrze porobili. – Non stop zmieniają muzykę. Są jak nastolatki, które pierwszy raz rodzice wypuścili na całonocną imprezę.

Pokazuje mi oficjalne zdjęcie jednego z klientów – po pięćdziesiątce, nalana twarz, przygaszone oczy, gdyby nie mieniący się złotem ornat, patrzyłbym na zmęczonego życiem, rozczarowanego, wypalonego menedżera średniego szczebla w korporacji.

– Zawsze ruszamy nocą. Na początek tylko piją.

– Co piją?

– Wódkę. Wychodzą tylko za potrzebą.

Jeden jest dość agresywny. Jak sobie popije, coś mu przestaje stykać i ma jakieś pretensje.

– No ale o co?

– Nie do mnie, do kumpli. O wszystko. Jakies bzdury z seminarium, że go ktoś za coś wyśmiał, że tamci drą z niego lacha. On ma w ogóle taką obsesję, że wszyscy się z niego śmieją. Kiedyś się rzucił na mojego księdza z pięściami, bo niby się z niego śmiał.

– A na miejscu, jak już dojedziecie, jak wyglądają te imprezy?

– Nic szczególnego. Dojeżdżają kompletnie pijani, bukujemy się w hotelu, śniadanie, odsypianie, po południu ogarniają escorty.

– No to mało oryginalnie – przyznają murację. – Jak standardowy wypad starych kumpli ze studiów albo wyjazdowa korporacyjna.

– Nie do końca. Bo na kumpelskim wyjeździe wyrywasz towar przy barze, na parkiecie, na integracji luzujesz hamulce z koleżanką, a oni rezerwują najdroższe dziwki w mieście. I nie na godziny, na całą dobę. Placą dziewczynom gotówką, 2-3 tysiące za dobę.

– I co potem?

– Zaraz po śniadaniu wracamy do domu. Jest grzecznie. Najwyżej jakieś piwko. Relacjonują sobie, jak któremu poszło. Żegnają się wylewnie do następnego razu. Standard.

Kiedy opowiadał mi tę historię byłem księdzem z Warszawy, jest nią zbudowany. – To wspaniale. Zazdroszczę im i cieszę się. Dobrze wiedzieć, że są tacy. Brakowało mi takiej opowieści. Miałem wrażenie, że jestem z tym wszystkim sam.

– Co masz na myśli?

– W Kościele wszyscy udają. Przynajmniej wszyscy, których znam. Każdy ma jakieś drugie życie, ale nie pogada o tym z kolegami. Jak już temat zaistnieje w rozmowie, to on i seks, balanga, w ogóle jakieś potrzeby? Nie, skąd, oczywiście słyszał, że ten i tamten, ale jego to nie dotyczy.

Tłumaczy mi z pasją, bo dla niego to świeża sprawa. Ma jeszcze sporo pretensji i nie potrafi przebaczyć ludziom, którzy go skrzywdzili. Matce, dla której męczył się latami, udając żarliwe powołanie, choć dawno wygasło. Wychowawcom, starszym kolegom i przełożonym, którzy pozbawili go złudzeń, jak się „robi religię”. Wreszcie sobie samemu, że odebrał sobie kawał życia, że tak długo brakowało mu odwagi. – Gdybym miał kolegów, którzy poszliby ze mną na dziwki, napiliby się, pewnie bym został. Najgorsza jest samotność. I to, że każdy udaje, że sobie z nią radzi.



FOT. PMMART/GETTY IMAGES

Do seminarium idą wrażliwi młodzi ludzie. Wszystkie opowieści byłych duchownych brzmiały podobnie: „poszedłem na księdza”, bo miałem zapal, chciałem zmieniać siebie i ludzi, by stawali się lepsi

A gdy już radzić sobie przestaje, przyzna sam przed sobą, że jest mężczyzną z męskimi potrzebami, ale boi się zaryzykować związek lub przygodny seks – sięga po półśrodki. Jak ksiądz z diecezji zamojsko-lubaczowskiej, przyłapany kilka lat temu w Chorwacji, w nadmorskiej przymierzalni, jak filmował z ukrycia rozebraną nastolatkę. W jego telefonie i laptopie policjanci odkryli całą kolekcję nagrań z przymierzalni i damskich toalet.

– Okej, oblech. Ale w sumie nieszkodliwy. A przecież są grubsze historie – wzruszają ramionami byli księża.

To było w maju, dosłownie tydzień przed święceniami.

W 2018 roku w Błoniu pod Tarnowem odbywały się ostatnie rekolekcje dla diakonów. Niezapomniany czas dla tych wchodzących w prawdziwą dorosłość chłopaków. Tylko jeden z odstawał. Znajomi z seminarium wspominają, że od początku było

z nim coś nie tak. Chociaż w sumie nie wiadomo co – cichy, spokojny, grzeczny, niczym się nie wyróżniał. Teraz czekał na niego już nowy ornat, zamówiona przez bliskich impreza prymicyjna, proboszcz z parafii, z której pochodził, organizował jego pierwszą mszę. Z pompą, bo dla parafian nowy „swój” ksiądz to duma. Ale ten chłopak nie doczekał najważniejszego momentu przejścia.

– Wpadli i po prostu go skuli. Wyprowadzili z kaplicy, załadowali do suki i wywieźli do aresztu – wspomina mój rozmówca z seminarium tarnowskiego.

– Za co?

– Za pedofilię i zoofilię w komputerze.

Cichy, spokojny kleryk od trzech lat ścigał i wymieniał się pornografią z udziałem dzieci i zwierząt. – Chodził z nami na wykłady, angażował się w oprawy liturgiczne, pomagał. A jednocześnie oglądał ludzi kopulujących z psami i dziećmi. I nikt nie zauważył – komentuje kolega z roku.

W seminarium w Częstochowie też zwinęli kleryka za pornografią dziecięcą. – Wpa-

dli przez furkę, na salę wykładową i na oczach wszystkich po prostu rzucili na glebę i zakuli – wspomina ksiądz z Sosnowca, który po likwidacji seminarium w związku z aferą gejowską rektora kończył formację w Częstochowie. – Zabrali mu jakieś laptopy – twarz mu nagle tężeje. – Wiesz, ten kleryk był typowany, żeby iść na praktyki do przedszkola.

Mowa nie o duchownych z długim stażem, u których próby rozładowania seksualnej frustracji mogą ewoluować w patologiczne formy, lecz o młodzieńkach, jeszcze niespaczonych przez instytucję chłopakach. Skąd u nich takie parafie?

Skoszarowani, podlegający nieustającej kontroli klerycy mają niewiele czasu na „robienie „glupot” – również tych, które pozwalają ośwoić własną cielesność, popędy, rozpoznać seksualność. Jeśli w liceum nie zdążyli przeżyć pierwszego pocałunku, pierwszych pieszczot, nie mówiąc o pełnej inicjacji seksualnej – targani burzą hormonów i nierozpoznanymi emocjami, lądują pod kluczem. Bo świat to nieprzyjaciół, przed którym trzeba ich ochronić. Tuż za murami seminarium zaczyna się królestwo „księcia tego świata”, „pana ciemności”. To nie publicystyczna przesada, wychowawcy w drugiej dekadzie XXI wieku wciąż używają takiego języka, przeplatając go zaczerpniętą z Jana Pawła II mantrą o „cywilizacji śmierci”.

Seminaria duchowne, jakie dzisiaj znamy, to dziedzictwo soboru trydenckiego z 1563 r. Wcześniej formacja kapłańska była bardziej praktyczna. Kandydat przyrzekał się do zawodu w szkołach klasztornych i parafialnych. Kapituły nimi zarządzające typowały znawców teologii, nauczycieli gramatyki i innych dziedzin przydatnych kapłanowi w praktyce. Ale w ramach kontroformacyjnej ofensywy Kościół postanowił zadbać o lepsze kształcenie kadr i ujednolicił nauczanie. Każdy biskup był zobowiązany założyć przy diecezji seminarium. Cele były dwa: podniesienie kompetencji teologicznych i retorycznych księży – by byli w stanie rywalizować o rząd dusz z biegłymi w Piśmie Świętym, bo samodzielnie je czytającymi i interpretującymi protestantami – a jednocześnie odizolowanie młodzieży od świata, by skupiła się na powołaniu i je pielęgnowała.

Pytanie, z czym w głowie opuszcza mury uczelni ktoś, kto w wieku 19 lat decyduje się na życie w celibacie, ogranicza albo i zrywa relacje z bliskimi oraz znajomymi i przez sześć lat, pełnych wyrzeczeń, żyje w koszarach? Oraz – co ma w głowie nastolatek, który się na to decyduje. Odpowiedź jest złożona: często kieruje nim impuls, podobnie jak w przypadku wielu innych decyzji, na które wpływa biochemia mózgu na tym etapie dojrzewania. Ale bardzo często szlachetne pobudki, młodzieńczy żar wiary, że dane mu będzie zmieniać świat, naiwne przeświadczenie, że sam Bóg powołuje młodego człowieka do stanu duchownego.

Teoretycznie to studia jak każde inne, ktoś po maturze idzie na anglistykę, ktoś na cybernetykę, a ktoś do seminarium. Ale nie do końca – na anglistyce czy cybernetyce nie spędza się kilku lat, kluczowych przy wchodzeniu w dorosłość, w izolacji, w wąskim męskim gronie i specyficznej obyczajowości, tylko sporadycznie kontaktując się ze światem zewnętrznym. – Powinniśmy przyjmować dorosłych mężczyzn. Przed trzydziestką albo i starszych. Którzy trochę pożyli w realnym świecie,

poznali problemy normalnych ludzi, przemyśleli swoją decyzję, raczej wiedzą, czego chcą – słyszałem od wielu trzeźwych duchownych. – Ale – mówią „byli” – Kościołowi nie jest na rękę, żeby do seminarium przychodzili dojrzały ludzie. Wolą młokosów, bo łatwiej takich uformować. Nie odpyskują.

Mój przyjaciel Stanisław Obirek – antropolog kultury, teolog, historyk oraz były jezuita, który po przeszło 20 latach i serii krytycznych ocen polskiego katolicyzmu wystąpił ze stanu duchownego – z którym przegadałem na temat Kościoła nieskończenie wiele godzin, o formacji księży ma jak najgorsze

zдание: dzieci inni i przymuszani do posłuszeństwa. Wtłaczani w celibat, z którego wyrwywają się na wszystkie sposoby. Amoralni. Takich księży produkują seminaria. Formacja to w istocie deformacja, która ma wydobyc talenty duszpasterskie z kandydatów tylko w teorii, a w praktyce – ocenić przydatność do pracy w korporacji.

Duchowny, który formował się do kapłaństwa w Tarnowie, tak wspomina te czasy:

– Żyliśmy tam odgródowni od normalnego świata. Oni wrzucili nas w te zasady z XIX wieku, kiedy seminarium powstało, i tłumaczyli nam, że to jest cnota, że ten stary świat udało się zachować. Nie widzieli żadnego problemu w tym, że konstrukcja formacji nie zmienia się od dekad. Nie chcieli zobaczyć, że to się kompletnie nie sprawdza. Jak im mówiliśmy, że ciężko iść w świat, w którym ludzie patrzą na księży jak na pedofilów i złodziei, że nasi poprzednicy nas tak załatwili na starcie i dlatego powinniśmy wprowadzać na parafie nowy język, słyszeliśmy tylko, że powinniśmy być wyrozumiali. No bo ci księża, co nastali po wojnie, pochodzili z wielodzietnych rodzin, gdzie była bieda, i oni chcieli trochę skorzystać z tego życia.

Ale relacja tego księdza dobrze świadczy o tarnowskim seminarium jako o uczelni względnie otwartej, skoro klerycy pozwalali sobie na takie dialogi z przełożonymi. Ci z innych placówek mogą tylko pomarzyć o takich dyskusjach.

Jak tłumaczy mi Robert Samborski, były diakon z diecezji legnickiej, centralną figurą w tej korporacji, bożkiem, któremu należy oddawać cześć, jest biskup. Na jednym z wykładów usłyszał: „Nawet jeśli wam się wydaje, że sam Pan Bóg was powołał, to o tym, czy powołanie jest prawdziwe, zdecydują przełożeni”. A na wstępie jego rocznikowi zakomunikowano: „Kiedy biskup przemawia, nawet Chrystus musi milczeć”.

– Zmęczeni życiem starsi panowie – ojcowie duchowni, wykładowcy, formatorzy – po prostu się wypalają. A jak ktoś, w kim zgasł ogień zapалу, ma go rozpalić w młodym człowieku? – pyta mnie pewien „otwarty” ksiądz.

Mariusz Sepiolo, autor książki „Klerycy”, posługuje się inną jeszcze paralełą: sześć lat seminarium jest dla kleryka jak tor przeszkód. Sprytni i odporni przejdą go bez obrażeń. Wrażliwszych czekają strach, frustracja lub złamany życiorys. Formacja wykorzystuje stare, zakorzenione w męskich społecznościach, od szkół z internatem po wojsko, zjawisko fali. Na początku jesteś nikim, dopiero z czasem nabywasz jakieś prawa. A system tej fali nie przeciwdziała, bo jest mu na rękę – uczy życia w hierarchii. Nie przypadkiem klerycy, którzy próbują walczyć z patologiami, przegrywają jeśli nie z koteriami pupilów rektorów i wykładowców, to z inercją systemu z miernością, którą w życiu seminaryjnym uznaje się za cnotę. – Oni powinni oficjalnie ślubować mierność – śmieje się mój rozmówca z Tarnowa.

O powołanie i formację pytam Marcina Wójcika, znanego reportera „Dużego Formatu”, autora książki „Celibat. Opowieści o miłości i pożądaniu”, który przez pięć lat spędzonych w murach krakowskiego seminarium zdążył się napatrzeć na życie kleryków. – Przyszli do seminarium, bo imponował im proboszcz albo wujek ksiądz. Z perspektywy czasu widzę, że zmieniali się dosłownie z miesiąca na miesiąc. Seminarium tych ludzi popsulo. Fajni, pobożni chłopacy stają się cwaniakami. Przystawiali mówić o Bogu, emocjach, pracy z ludźmi, tylko o pieniądzach, karierach, przeglądali prospekty z samochodami. Przybierali na wadze i ubierali się na modłę starego proboszcza, zakładali kaszkiet. Serio. Na pierwszym roku nikt ich nie nosił, na czwartym, piątym – całkiem spora grupa.

W jednej rozmów, które z Obirkim przeprowadziliśmy z profesorem Marzano, zapytaliśmy, co się dzieje z seminarzystami, kiedy mija młodzięńczy zapal. Odpowiedział, że odkrycie, na czym polega ta korporacja – i rozczarowanie, że to jest korporacja

– to powód poważnego kryzysu psychicznego. Który kończy się rzadko rezygnacją, najczęściej dostosowaniem. Kleryk zadaje sobie pytanie: dlaczego mam się umartwiać, ograniczać swoje podstawowe potrzeby, w tym uczuciowe i seksualne, skoro instytucja wcale nie jest czysta, święta i wszyscy to robią?

Temu pragmatyzmowi sprzyja środowisko domowe przyszłych księży. Marzano: – Typowy seminarzysta często wywodzi się z ruchów kościelnych, ma ponad 20 lat, pochodzi z rodziny bardzo katolickiej i z niższych warstw społecznych. Już jako nastolatek jest pełen obaw o swoją przyszłość i ma nadzieję, że w tym zawodzie zdobędzie określoną i autorytatywną funkcję społeczną.

Tu włoski socjolog podsuwa jeszcze jeden trop pozwalający zrozumieć, dlaczego klerycy i księża tak łatwo się dostosowują. – Ma też matkę o silnym charakterze, która go często atakuje i dominuje. A ojciec zwykle jest nieobecny, ma słabą osobowość i jest niezdeterminowany.

Silna matka wydaje się kluczem. Poznałem wielu księży, którzy nie odchodzą z Kościoła, bo nie chcą jej zranić. Zabrać mamie największego skarbu: tej dumy. Efekt jest taki, że jej nienawidzą. Słyszałem to nieraz: – Ona stoi na straży przy furtce do wolności.

Zdarza się, że zwyczajnie czekają na jej śmierć. Podobnie jak kochanki księży, ich dzieci, partnerzy. Matka zazwyczaj wie o tym inwentarzu, ale dla niej liczy się fasada, która zapewnia pozycję w społeczności. A prawdziwego szczęścia doświadcza, kiedy syn w sutannie prowadzi ją pod rękę do kościoła, a potem odprawia mszę. Cieszy się, że do końca życia będzie jedyną kobietą w jego życiu.

Kiedyś strauumatyzowanym młodym mężczyznom, na pierwszej parafii przeżywającym szok zderzenia ze światem i ludźmi, cielennością świeckich kobiet i mężczyzn po sześciu latach koszar, przepracować go pomagały michałowe. Tak nazywano partnerki księży o statusie gospodyni.

Ale dziś michałowe są na wymarcu. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, że młodzi księża prezentują postawę typową dla swojego pokolenia – nie lubią wychodzić z strefy komfortu, wiązać się na stałe i dźwigać ciężaru emocjonalnego związku. A po drugie, zmieniły się większe i małomiasteczkowe kobiety. Nawet te niewykształcone i wyrosłe w biedzie dzięki internetowi mają szersze horyzonty, a realia społeczno-gospodarcze sprzyjają emancypacji – po co iść na służbę na plebanie, jeśli można usamodzielnąć się, zatrudniając w Biedronce albo świadcząc usługi kosmetyczne.

Tym bardziej że powodów, dla których relacja z księdzem przestaje być atrakcyjna, przybywa. Figura młodej, zapatrzonyj w księdza dziewczyny odchodzi do lamusa, bo kapłani błyskawicznie tracą nie tylko autorytet społeczny i wiarygodność, ale też status finansowy – dezaktualizuje się ludowa mądrość, że „kto ma księdza w zagrodzie, tego bieda nie ubodzie”, normą stają się, zwłaszcza na prowincji, parafie, które ledwo wiążą koniec z końcem i proboszcz z wikarym głowią się raczej, za co załatać dach, niż której niemieckiej marki premium wybrać auto.

Choć są diecezje – z reguły na wiejskim już nie materialnie, ale wciąż kulturowo – w których michałowe trzymają się mocno. W kieleckiej na przykład w większości łazienek na plebaniach wiszą szlafroki michałowych, a na szafkach nocnych przy podwójnych łóżkach leżą książki kucharskie z Lidla, obyczajówki Małgorzaty Kalicińskiej i romanse Ilony Golembiewskiej. – U nas na dziewięć parafii w dekanacie na pięciu tak to funkcjonuje – tłumaczy mi ksiądz z tamtejszej diecezji. – Jak jeżdżę pomagać przy spowiedziach, to spotykamy się na obiedzie i koledzy o swoich kobietach bez żadnego wstydu rozmawiają. Mówią: „jadę z moją do Egiptu” albo „moja choruje”.

Ksiądz, który pracuje w kurii, pochlebnie wypowiada się o tych relacjach: – Są księ-

■

„Placenie tacą za masaże erotyczne jest OK. Jeśli twój proboszcz czy wikariusz jeździ wygodnym samochodem, przekłada się to na jego dobre samopoczucie i odprawi dla ciebie lepszą mszę. Jeśli śpi w wygodnym łóżku, jest bardziej wypoczęty. Tak samo z masażem, nazajutrz jest zupełnie innym człowiekiem”

ża, którzy się nie myją, jedzą bez umiaru, nie zważają na zdrowie. A kobieta zadba, żeby ten człowiek umył się, zdrowo odżywał, poszedł do lekarza, dentysty, nie zachowywał się gburowato. Bo żyje z nim i jej przeszkadza, gdy jest burakiem.

– Niestety – wzdycha z dwuznacznym uśmiechem – niekiedy nie ma nikogo obok nas, kto by nam o tym powiedział. Dobrze wiemy, co się święci, gdy księża nagle zaczynają o siebie dbać, inwestują w zdrowie, żeby.

■

Kościół doskonale rozumie, że jego synowie mają potrzeby, które muszą zaspokajać. Ich sprawa, jak to robią, pod warunkiem że nie mogą przynieść mu wstydu. To, co może gorzej, powinno pozostać ukryte również dlatego, by nie deprawować maluczkich. Sam Jezus przecież mówił o ich krzywdzie. – Co mógł mieć na myśli, mówiąc, że gorszytelowi maluczkich należałoby uwiązać u szyi kamień młyński i utopić – piszę do znajomego profesora biblisty. Bo chyba nie o dbałość Kościoła, aby to, co nie przynosi instytucji chwały, nie wydostało się na zewnątrz, gdyż Kościoła jeszcze nie było.

Nie mija kwadrans, gdy dostaję odpowiedź: Piszę w przerwie zajęć, więc krótko. Po grecku w różnych formach i miejscach występuje to samo słowo „skandalon”. Znaczy dosłownie „obraza”, może oznaczać grzesznika, grzech, a nawet bluźnierstwo. To kamień obrazy, przeszkoda, przez którą się można przewrócić. Dlatego twoja interpretacja jest słuszna. Chodzi o mechanizm stary jak świat – aby ukryć, nie ukazać na zewnątrz.

A Kościół ma najwięcej roboty z ukrywaniem skandali nie finansowych, lecz obyczajowych, bo celibat to wyzwanie dla nie liczących, naprawdę wytrwałych. Pełne wyrzeczeń dzień w dzień i obarczone długofalowymi konsekwencjami. Napięcie, nerwowość, choroby serca...

Znana i uznana psycholog mówi mi anonimowo, gdyż pracuje z duchownymi: ich strategię obronne często są skazane na porażkę. Mam na myśli bliskość z wiernymi. Zaczyna się w wyobraźni, do tego zdarzy się jakiś dotyk, a kończy się na masturbacji, pornografii, z poczuciem, że jest się w matni. Wmawianie sobie, że przecież popęd da się przekierować na służbę Bogu i bliżnim, jest piękne, ale naiwne.

Że celibat to walka z wiatrakami, potwierdza naukową wiedzą i doświadczeniem psycholog i jednocześnie były duchowny Eugene C. Kennedy. Badacz seksualności ludzi Kościoła przypomina prostą, ale wypieraną przez Watykan prawdę, że „człowiek jest kochającym zwierzęciem”, a że w piramidzie potrzeb tego zwierzęcia życie seksualne stanowi fundament, napięcia związane z jego deficytami mogą prowadzić do zaburzeń.

■

I to jest podłoże skandalu przetaczającego się przez Kościoły w kolejnych krajach – wychodzących na jaw zbrodni wykorzystywa-

nia seksualnego dzieci i młodzieży. To nieprawda, że księża są pedofilami, a zdeprawowani biskupi i kardynałowie świadomie, z premedytacją zapewniają seksualnym drapieżcom schronienie i rewir łowiecki.

Owszem, to robią również. Ale przede wszystkim Kościół i jego zwierzchnicy ponoszą winę za to, że księża się drapieżnikami stają. Sięgają po dzieci, gdy przestają sobie radzić i potrzeba zaspokojenia popędów staje się silniejsza od nich. A dzieci są pod ręką – wiedzą o nich wiele ze spowiedzi, znają ich sytuację domową i mogą liczyć, że mały człowiek nie będzie umiał nazwać krzywdy, której doświadcza, ze wstydu lub strachu nikomu się nie poskarży, a jeśli, to dorośli nie dadzą mu wiary. Ba, może nawet dziecko będzie, jak powiedział abp Józef Michalik, „samo Ignęło i szukało”. Skandaliczne słowa, ale hierarcha wiedział, co mówi – dzieci z rodzin zaniedbanych, z problemami, z początku cieszą się uwagą i bliskością, którą po raz pierwszy w życiu otrzymują od dorosłego. Podobny mechanizm działa w przypadku kobiet po traumie, które przychodzą do duchownego, oczekując pociechy czy uzdrowienia.

Dr Robert Kowalczyk, seksuolog kliniczny i psychoterapeuta z Instytutu SPLOT: – Deklaracja abstynencji seksualnej to w szerszym ujęciu deklaracja braku relacji intymnych. Takiego deficytu intymności nie da się wypełnić przyjaźnią, przewodnictwem duchowym, troską. To pięknie brzmi, że popęd można ukierunkować, sublimować, więc księża próbują szukać takich substytutów, ale to bardzo trudne. Oczywiście zdarzają się takie typy osobowościowe, które nie potrzebują intymnej relacji. Ale to wyjątki, nie reguła.

Andrzej Gryżewski, seksuolog i psychoterapeuta, założyciel Instytutu Psychoterapii Arte Vita: – Wielu pacjentów księży opowiada mi w gabinecie, że przymusowy celibat negatywnie wpływa na ich zdrowie psychiczne. Czują się bardziej nerwowi, sfrustrowani, łatwiej dopuszczają się agresji.

To zresztą dotyczy również świeckich mężczyzn, samotnych albo takich, w których związku z różnych przyczyn nie ma seksu. A długo tłumione libido może spowodować impulsywne zachowania seksualne, choćby próbę wykorzystania w nadarzających się okolicznościach osoby, która tego sobie nie życzy. Osoby, które nie realizują popędu seksualnego w relacjach, zaczynają też błądzić w odmetach pornografii, eskalując swoje upodobania seksualne. W seksuologii nazywamy to dryfem dewiacyjnym.

A więc cenę za w sumie niewytłumaczalną, fikcyjną i historycznie świeżą fiksjację kilku papieży płacą nie tylko księża, ale mnóstwo ludzi wokół nich: ich partnerki, partnerzy, bliscy, ich ofiary. Celibat to nie tylko problem korporacji Kościół i jej pracowników, ale całego społeczeństwa. ●



FOT.: MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Współautor – z prof. Stanisławem Obirkiem – bestsellerowych reportaży „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” oraz „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele” (dostępne również w formie e-boka na Publio.pl) oraz – z Ireneuszem Ziemińskim – książki historyczno-socjologicznej „Chrześcijaństwo. Amoralna religia”. Wydał też „Kroniki opętanej” – opartą na faktach historię nastolatki molestowanej przez egzorcystów. Jest współautor podcastu „Kryminalna historia Kościoła”, uhonorowanego Bestsellerem Empiku i nagrodą Best Audio. Właśnie ukazała się jego nowa książka reporterska – „Plebania”.

Dobry car Donald Tusk

Premier jest zdolny do wymierzania lżejszych, ale nadal królewskich kar.



Michał Rusinek

Jednym ze skutków ubocznych powodzi w Polsce jest medialna przemiana wizerunku premiera Donalda Tuska, widoczna zarówno w prasie przychyłnej, jak i nieprzychyłnej obecnej koalicji rządzącej.

Przed wszystkim Tusk okazał się człowiekiem zdolnym do okazywania silnych emocji negatywnych, a ściślej jednej: wściekłości. „Tusk mocno się wściekł” – pisze Fakt.pl. „Tusk znów się »wściekł«. Ministrowie doprowadzają premiera do furii i nie mogą być pewni swoich pozycji” – czytamy na portalu Wpolityce.pl. „Wściekły Tusk podczas sztabu kryzysowego” – donosi Gazeta.pl, a 300polityka.pl doprecyzowuje przejawy emocji premiera oraz ich wpływ na innych: „Tusk się dziwi i wścieka na raporty swoich ludzi; grozi im palcem, ale i potrafi pochwalić [...] Minister infrastruktury Dariusz Klimczak wygłąda na mocno przerażonego”. Można powiedzieć, że Bartosz Węglarczyk (na portalu X) studzi emocje, pisząc: „Irytacja Tuska rośnie. Chciałby zrobić porządek w rządzie, ale nie może”.

Człowiek wściekły, a więc w afekcie, zdolny jest do popełniania czynów dramatycznych. „Z ust Tuska padały polajanki – pisze „Wprost”, Tusk „zaczyna karcić współpracowników” – pisze „Rzeczpospolita”, natomiast Onet.pl wróży, że premier będzie „publicznie besztuć Kierwińskiego”, a nawet „będzie się bardzo dokładnie przyglądał, jak idzie usuwanie skutków powodzi i nie zawaha się publicznie ściąć swojego pełnomocnika, jeśli ten go zawiedzie”. Tusk zaczyna więc przypominać poirytowaną Królową Kier z „Alicji w Krainie Czarów”, która niesubordynowanych poddanych chciała skrać o głowę. Jest także zdolny do wymierzania lżejszych, ale nadal królewskich kar, a mianowicie – banicji: „Wielu ministrów najchętniej by przegnał” (Onet.pl).

Powódź to walka, a właściwie: wojna z żywiołem, stąd w medialnych relacjach pojawia się metaforyka militarna jak na przykład „wachta”: „Tusk powoli kończy swą wachtę na Dolnym Śląsku”, zarazem jednak pozostaje władcą wydającym polecenia: „Ale nie może zrezygnować z roli dobrego władcy, który będzie doglądać odbudowy zniszczonych domów” (Onet.pl), „Polecenia Tuska sprawnie wykonuje debutant Andrzej Domański” (Onet.pl). Pojawia się też skompromitowana przez propagandę putinowską „operacja”: „Tak naprawdę premier nie ma wyjścia. Musi wziąć na swe barki odpowiedzialność za powódź, bo nie wierzy w sprawność instytucji państwa i kompetencje ludzi, którzy nimi kierują. Zakłada, że bez takiej osobistej interwencji jego podwładni koncertowo rozłożyliby całą operację, zostawiając mu w spadku polityczne problemy” – pisze 300polityka.pl.

Mamy też bitwę (bitwy) oraz opis garderoby władcy wyruszającego na nią (na nie): „Premier założył ciemną kurtkę i ruszył na powodziowe pola bitew – rozdziała tam słowa wsparcia i obietnice szybkiej

pomocy, wysłuchując emocji ofiar okradzionych przez wodę. Pokazując ludzką twarz, Tusk chce zdjąć z siebie odpowiedzialność za błędy służb zarządzania kryzysowego, w tym bagatelizowanie zagrożenia powodziowego przed pierwszym atakiem wielkiej wody. Tak jak w 2010 r. przykrywa to swą pozą dobrego władcy, który słucha ludzi bez pośrednictwa złych bojarów, którzy zawodzą” (Onet.pl).

Warto zwrócić uwagę na dość kuriozalne „powodziowe pola bitew”, są to bowiem przecież albo miejsca obrony przed powodzią, albo pobojojiska, czy raczej miejsca zniszczone przez powódź, które wyglądają jak po bitwie. Tak to jest, jak nas uwiedzie urok własnej inwencji frazeologicznej.

„Newsweek” idzie jeszcze dalej w opisie wyglądu premiera: „Wrócił. Nieogolony Donald Tusk w ciemnej kurtce był za pierwszych rządów Platformy symbolem wszelkich naturalnych tragedii: trąb powietrznych, powodzi, nawałnic. Dziś dobrą dekadę starszy i kurtka bardziej okazała, ale model postępowania wciąż jest sam – chce pokazać, że jest blisko tragedii i osobiście zajmuje się losem ofiar”. Cóż, był raczej symbolem walki ze skutkami tragedii: mniej o to. Ważne są atrybuty.

Skoro mamy ciemną kurtkę (Onet, „Newsweek”) oraz bojarów (Onet), to znika nam literacki obraz Królowej Kier i zastępuje go obraz cara (sprzed reform Piotra I, bo jednak z zarostem), wywołującego popłoch wśród swoich podwładnych: „Kto musi się bać najbardziej?” – pyta Gazeta.pl. „Dobry car i źli bojarzy. Tusk pogroził ministrom i zapowiedział... »wielką rządową spowiedź powszechną«” – głosi tytuł na portalu Niezależna.pl. Car jest więc na szczęście dobry, ale to car prawdziwy, bo ma też plenipotentcję głowy Kościoła, skoro żąda, by bojarzy wyznali grzechy. Jacek Żakowski w TVP Info także nazwał Donalda Tuska „dobrym carem”, który musi wziąć się do roboty, „żeby ratować sytuację”, bo „okazało się po raz kolejny, że mechanizm nie działa”. Zdaniem publicysty są to „autorytarne metody zarządzania”. A że cara od Putina dzieli tylko jeden kuszący krok, Żakowski tej pokusie uległ i powiedział, że „Tusk sięgnął po metodę putinowską, której się w demokracjach nie stosuje. Nie ma tak, że jak jest powódź w Stanach, to prezydent siedzi i ruga publicznie urzędników, i to jest publicznie transmitowane. Tak nie ma w Niemczech, w Wielkiej Brytanii, we Francji, nigdzie”. No cóż, satrapa, bez dwóch zdań.

Różnica między Tuskiem a Putinem jest jednak zasadnicza: Tusk ruga swoich ministrów, powódź będzie dla niego zapewne pretekstem do przebudowy rządu (nazywanej przez Gazeta.pl optymistycznie i eufemistycznie „remontem”). Nie ruga społeczeństwa, w którego oczach wydaje się sprawczy. W przeciwieństwie do prezydenta Andrzeja Dudy, który pojawił się na terenach dotkniętych powodzią zbyt późno i który dostał publiczną polajankę nawet od Jarosława Kaczyńskiego.

W zeszłym tygodniu pisałem o koszulkach z mało finezyjnym napisem „Nie bać Tuska”. Obraz premiera, jaki zbudowały media w ciągu minionego tygodnia, nadał temu napisowi jeszcze jedno znaczenie: „Nie bać Tuska” – jeśli jesteś obywatelem rządzonego przez niego kraju. „Bać Tuska”, jeśli jesteś ministrem jego rządu w czasie powodzi. Bo się nie ogoli, tylko wścieknie, zbeszta, zdekapituje, przegna, pogrozi palcem, wypowiada, zrugą i wyremontuje. A wszystko to w okazałej ciemnej kurtce. ●

Bóg dawno umarł

Ale żałoba po nim nie została właściwie przepracowana



Marcin Matczak

Wygłąda na to, że wszyscy zostaliśmy oszukani. Powiedziano nam, dzieciom oświecenia, że możemy wszystko, bo mamy rozum. Możemy polecić na Księżyc, wynaleźć antybiotyki, regulować rzeki jak brwi i stworzyć sztuczną inteligencję, z którą przegramy w szachy. Kazano nam porzucić zabobony i uwierzyć w nową, świetlaną przyszłość, w której to nie sztywny, narzucony przez tradycję zasady, ale nasze potężne umysły będą rozstrzygać, co jest dobre, a co złe. Bóg dawno umarł, a wielu z nas uwierzyło, że może stać się nietzscheańskim Übermenschem. Nie tym wykrzywionym przez nazistów, blondwłosym Aryjczykiem, ale nadczłowiekiem w sensie moralnym: samemu sobie sterem, żeglarzem i okrętem, jedynowładcą etycznym, który nie potrzebuje wartości starych, bo stworzy sobie własne, nowe.

A tu świat nam spletał figla. Najpierw rozum i nasza techniczna doskonałość umożliwiły Auschwitz – to przecież wymyślona przez miłujące porządek oświecenie buchalteria pomogła zidentyfikować tych, których należało zamknąć w gettach, to nowoczesna, wspaniała technologia pozwoliła sprawnie przewieźć ich koleją do obozów zagłady. Nasza nauka stworzyła wybitnie sprawne narzędzie do zabijania – bez niej nie byłoby komór gazowych, Cyklonu B, nie byłoby krematoriów.

Oświecenie dało nam wszystkie narzędzia, żeby wiedzieć „jak”. Nie dało nam narzędzi, żeby wiedzieć „co”. W szczególności, co tymi narzędziami warto, a czego nie warto i absolutnie nie wolno robić. Dostaliśmy mędrca szkiełko i oko, zabrakło nam czucia i wiary. A potem byliśmy przez kilkadziesiąt lat w szoku, powtarzając „Nigdy więcej!”. Znowu rozum pomógł nam uwierzyć, że możemy to wszystko jakoś poukładać: uchwaliliśmy międzynarodowe konwencje, powołaliśmy trybunały, rozmontowaliśmy nawet radzieckie imperium zła. Tak niespodziewanie, że wydawało się, że to już koniec historii i że teraz będzie już tylko dobrze.

Ale świat, ta skrzecząca rzeczywistość, znowu sobie z nas zakpił. Zamiast porządku, które obiecało nam oświecenie, nastął chaos: pandemia, migracje, wojny, kryzysy ekonomiczne i TikTok. A to, co nas otacza, tak bardzo się skomplikowało, że ma trzeźwo tego nie rozgryziesz i coś musisz na to skomplikowanie wziąć.

Napisaliśmy z Marcinem Makowskim książkę o bezczelnym i naiwnym tytule „Jak powstrzymać koniec świata”. Twierdzimy w niej, że historycznie człowiek radził sobie z chaosem przez wierność zasadom. Ale dzisiaj prawdziwych zasad już nie ma. Bo te są ponadjednostkowe, wywodzone z tradycji, która jest skumulowaną mądrością pokoleń. Są oparte na założeniu, że indywidualny człowiek ich potrzebuje, bo żyje zbyt krótko, aby pozjadać wszystkie rozумы i prawidłowo podejmować decyzje moralne. A dzisiaj każdy jest Adamem Słodowym moralności. Zrobi ją sobie sam – w oparciu o intuicję, emocje, instynkty. I sam ten cały chaos ogarnie.

Nie wierzymy w to. Nie wierzymy także, że tradycyjne zasady religijne, które przez wieki układały ludziom życie i organizowały rzeczywistość, przeżyją spektakularny comeback. Bóg umarł, ale żałoba po nim nie została właściwie przepracowana. Jak w większości psychologicznych historii bez happy endu, ludzie są zbyt długo silni, myśląc, że poradzą sobie sami. A najwyraźniej sobie nie radzą.

Oto mamy kryzys mentalny całego pokolenia – generacji Z: zagubionej, zakompleksionej, zatrutej benzodiazepinami, zniszczonej oczekiwaniami, którym nie może sprostać, bo nie ma do tego narzędzi. Mamy kryzys demokracji, która zaczyna ludzi wkurzać – bo jest powolna, grzęźnie w niekończących się dyskusjach. A tu trzeba Heraklesa, nie Arystotelesa, Aleksandra, nie Anaksymandra. Kogoś, kto posprząta stajnię, przecnie węzeł albo wrzód. Dość już jajogłowych, którzy tylko gadają i debatują. I tak rośnie poparcie dla postfaszystów w całej Europie, a zamiast obiecanej racjonalności kwitnie irracjonalność, prostactwo i głupota.

W tej książce nie dajemy odpowiedzi, jak sobie poradzić z tym wszystkim, bo takiej odpowiedzi nikt nie ma. Ale chcemy postawić dobre pytania. Na przykład: czy jeśli religia, która przez wieki zaspokajała ludzkie potrzeby – potrzebę uczestniczenia we wspólnocie wyznającej wspólne wartości, potrzebę łagodzenia strachu przed nieznanym – przestała to robić, to co te wartości zaspokaja teraz? Jeśli robią to różnej maści ideologie, jakie z tego wynika ryzyko? Czy w obliczu chaosu ludzie się nie usztywniają i z myślących jednostek nie przekształcają w talibów – prawicowych albo lewicowych? Czy odpowiedzią na powiększający się chaos świata nie będzie tyrania? Wzięcie za pysk nas wszystkich przez nowego Edka, który – choć prostak i cham – ma swoje zasady i nie zawaha się ich użyć. Czy śmierć Boga nie spowodowała śmierci autorytetu w ogóle – upadku autorytetu rodziców, nauczycieli, specjalistów? I co z tym możemy zrobić?

Powiecie: „zasady czerpiemy z filozofii” albo „wierzymy w naukę”. Nie przekonuje nas to i to nie dlatego, że jesteśmy nieracjonalni. Platon nie da odpowiedzi nastoletniej dziewczynie, która ma myśli samobójcze, bo ciągle w sieci konfrontuje się z nieosiągniętym wzorcem piękna. Nie tylko dlatego, że ona go nie czyta. Nauka nie doradzi, jak wybrać uczciwą partnerkę, rozstrzygnąć, czy chce się mieć dziecko, czy psiecko i jakie dalekosiężne skutki będzie miała każda z tych decyzji.

Słyszymy, że każdy powinien podejmować takie decyzje sam. Ale na jakiej podstawie? Na podstawie własnej intuicji i w oparciu o swoje emocje? Czy to aby nie nienaukowe? Czy to nie na tej podstawie przeciwnicy szczepień podejmują decyzję o nieszczepieniu?

Zostaliśmy oszukani – albo sami oszukaliśmy siebie. Zasady i dawne konwencje zastąpiłyśmy wesołym „róbta, co chceta”. I teraz jesteśmy w wielkiej moralnej pustce. Nie jest dobrą strategią milczeć o problemie współczesnego człowieka, któremu zabrano wszystkie kompasy i kazało się kierować intuicją i emocjami. Takie milczenie to strusia nadzieja, że jak się nie będzie z problemem konfrontować, to ten problem zniknie. Nie zniknie, ale narzmię. ●

Znak wydał właśnie wspólną książkę Marcina Matczaka i Marcina Makowskiego „**Jak zatrzymać koniec świata. Rozmowy o religii, prawie i polityce**”.



Musimy się liczyć z kosztami ludzkimi – to jedna z gorzkich lekcji, którą właśnie odbieramy.

Kamil Fejfer

Powódź, która w ostatnich dniach zniszczyła kilka miast w północno-zachodniej Polsce, jest wynikiem zmian klimatu. Do takich wniosków doszli badacze z projektu badawczego ClimaMeter zajmującego się tak zwaną atrybucją klimatyczną. Jest to dziedzina nauki, która dzięki modelowaniu matematycznemu jest w stanie przypisać konkretne ekstremalne zjawiska pogodowe do globalnego ocieplenia.

„Zmiana klimatu wpłynęła na powódź w 100 proc. I nie ma potrzeby doszukiwać się w tym żadnych innych przyczyn. Tak wysokie sumy opadów i w takiej cyrkulacji powietrza w tym okresie roku nie występowały u nas nigdy” – stwierdził w rozmowie z portalem Naukaoklimaci.pl dr hab. Mateusz Grygoruk, profesor SGGW i wiceprzewodniczący Państwowej Rady Gospodarki Wodnej.

To jeszcze jeden głos. „Niż genuński jest naturalnym zjawiskiem meteorologicznym, ale z uwagi na zmiany klimatu to zjawisko przebiega na sile. Parowanie jest zwiększone, ilość wody, która dostaje się do atmosfery jest ogromna, ta woda gdzieś musi spaść, no i niestety bardzo często doświadcza tego Dolny Śląsk” – mówił z kolei dla Gazety.pl prof. dr hab. Piotrem Skubała z Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Śląskiego.

Zmiany klimatu już tu są

Obecnie dysponujemy jedynie zgrubnymi oszacowaniami wielkości strat, których dokonała wielka woda. Eksperti z banku Santander uważają, że mogą one wynieść około 1 proc. PKB. Jakims punktem odniesienia może być powódź z 1997 r. Ówczesne straty wyceniono na 12 mld zł, co – według obliczeń portalu Oko.press – przekłada się na dzisiejsze 34 mld zł.

Analitycy z Santandera uważają, że powódź w krótkim okresie może w niewielkim stopniu również podbić inflację. Wynika to z faktu, że woda uszkodziła szlaki komunikacyjne oraz zalała część upraw. Klęska żywiołowa może również odbić się też na turystyce i handlu. Jak jednak zauważają analitycy w średnim okresie nastąpi pewne „odbicie inwestycyjne” spowodowane odbudową zalanych miast.

„W ostatnich latach obserwuje się wzrost częstotliwości występowania powodzi i podtopień oraz wzrost kosztów z nimi związanych. Wynika to z dwóch przyczyn – zmian klimatu oraz gospodarki człowieka. Jednym z głównych efektów obserwowanych już zmian jest wzrost częstotliwości występowania zjawisk ekstremalnych, m.in. deszczy o charakterze nawalnym” – czytamy w artykule pod wiele mówiącym tytułem „Ochrona przeciwpowodziowa” na portalu Klimada działającym w ramach Instytutu Ochrony Środowiska.

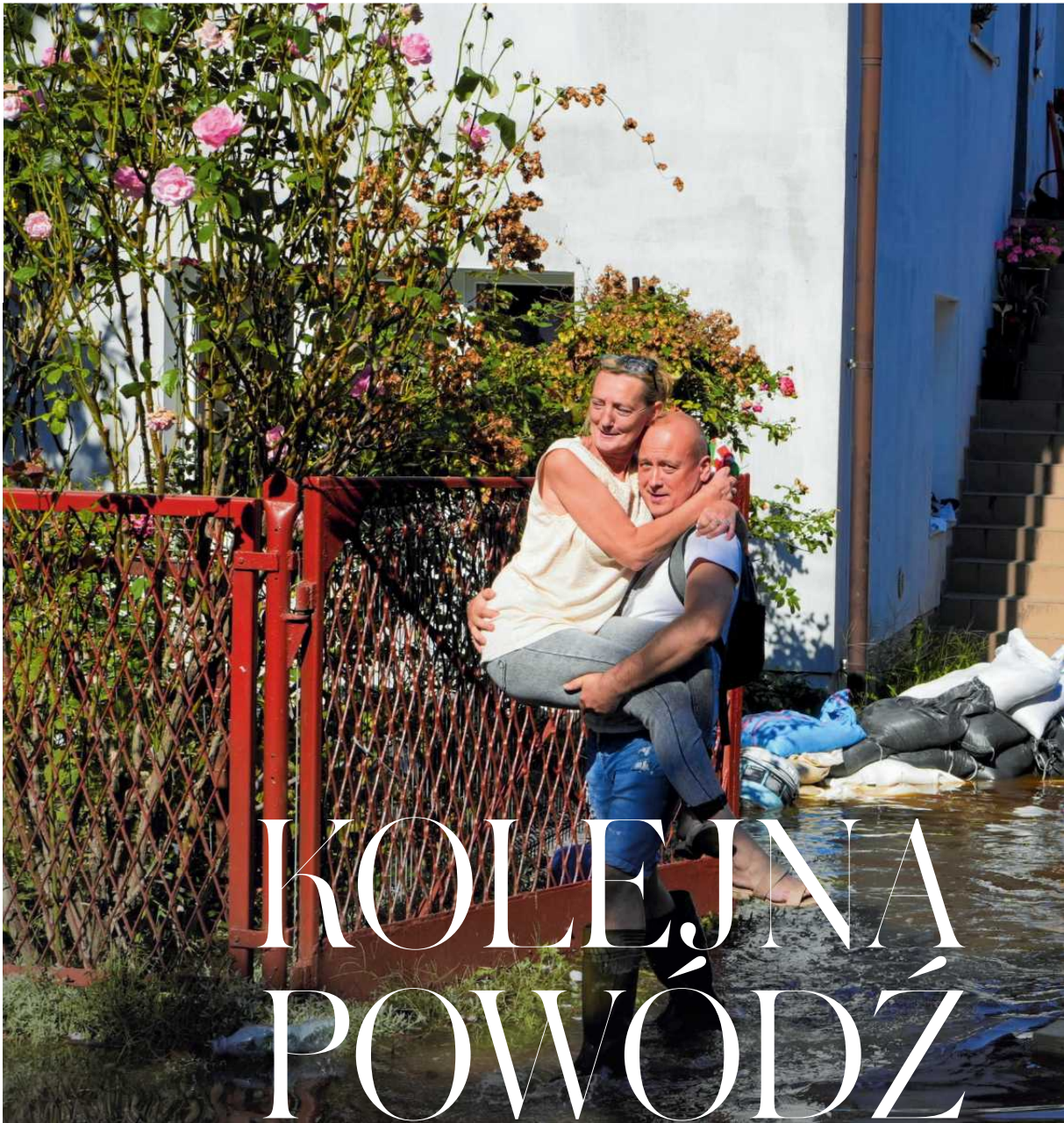
Dla wielu osób sytuacja jest oczywista, ale warto to podkreślać: zmiany klimatu już tu są. I będą się pogłębiać przez najbliższe dekady. W jakim stopniu, to zależy od tego ile jeszcze wyemitujemy gazów cieplarnianych. Dobrą wiadomością jest to, że zesłaliśmy już z najbardziej szkodliwych ścieżek emisyjnych znanych pod nazwą „business as usual”.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna prognozuje, że globalna krzywa emisji gazów cieplarnianych wypłaszczy się być może już w 2025 r. Od tego momentu ślad węglowy naszej cywilizacji będzie spadać. Jednak jeszcze przez dekady będziemy do atmosfery pompować miliardy ton CO₂, co z kolei będzie pogłębiać globalne ocieplenie.

Trzymaj się tam, kolego

W ostatnich latach bardzo dużo mówiło się na temat obniżania emisji gazów cieplarnianych. Czas jednak zwrócić uwagę na drugą stronę medalu – na adaptację do nowej sytuacji. Do zmian nie tylko musimy się przyzwyczaić, ale również powinniśmy się przystosować. Skupmy się więc kwestii powodziowej.

Jednym z najbardziej medialnych w ostatnich dniach przykładów dostosowań do zmian klimatu jest choćby polder (czyli suchy zbiornik przeciwpowodziowy) Racibórz Dolny znajdujący się w dolinie Odry. Ten największy w Polsce suchy zbiornik ma powierzchnię ponad 25 km kwadratowych i obecnie może pomieścić 185 mln metrów sześciennych wody. Planowana jest jego rozbudowa tak, aby zwiększył swoją pojemność do 320 mln m³. Choć o budo-



KOLEJNA POWÓDŹ BĘDZIE NA PEWNO

wie polderu mówiło się od wielu dekad (pierwsze plany jego powstały jeszcze w XIX w.), to ostatecznie został on uruchomiony w 2020 r. Na potrzeby budowy zużytkowano prawie 7 mln ton ziemi, cała inwestycja kosztowała około 2 mld zł.

Zadaniem zbiornika jest wypłaszczenie fal powodziowych przez przejście nadmiaru wody, a później jej systematyczne i planowe spuszczenie. Ten rodzaj hamulca zapobiega również kumulowanie się wzebrań z Odry i Nysy Kłodzkiej.

W momencie oddania budowli do użytku firma Budimex, która była wykonawcą generalnym prac, szczyliła się, że obiekt będzie chronił 2,5 mln mieszkańców w trzech województwach: śląskim, opolskim i dolnośląskim. Nawet jeśli jest to PR-owa przesada, to bez wątpienia zbiornik odgrywa istotną rolę w ochronie przeciwpowodziowej. Nawet jeśli bezpośrednio chroni przed zalaniem choćby jedną dzielnicą wskazanej liczby, to i tak mówimy o ogromnej masie ludzi, których dobytki są znacznie bezpieczniejsze.

Prawdopodobnie w dużej mierze właśnie dzięki zbiornikowi Racibórz Dolny Wrocław nie zaliczył powtórki z 1997 r. Nic dziwnego, że na kilka dni stał się ona bohaterem sieci, a internauci wystawiali mu wysokie noty na Google Maps z komentarzami „Dzielny zbiornik”, „Piękny zbiornik”, czy „Trzymaj się tam, kolego”.

Zbiornik odporny na politykę

Tego typu zbiorniki mogą być zresztą wielofunkcyjne, jak podkreślił w 2020 r. w rozmowie z radiową Jedynką Krzysztof Woś, ówczesny zastępca prezesa Wód Polskich ds. Ochrony przed Powodzią i Suszą. „Każdy zbior-

nik ma funkcję przeciwpowodziową, bo ma odpowiednią rezerwę, może przejmować nadmiar wody, a jednocześnie ma tę zaletę, że w momencie, kiedy ma już odpowiedni zasób wody, może ją wykorzystywać do zasilania niżówek, wtedy, kiedy tej wody zaczyna brakować” – mówił wtedy.

Warto jednak zdać sobie sprawę, że każda tego typu budowla jest projektowana z odpowiednim przeznaczeniem. Wspomniany zbiornik Racibórz Dolny był pomyślany jako zbiornik suchy. Pojawiały się jednak pomysły, żeby zrobić z niego zbiornik mokry. Dzięki temu mógłby na przykład być użytkowany turystycznie. Nie trudno się domyślić co to by oznaczało – ilość wody, którą mógłby przechwycić w momencie nadciągającej katastrofalnej fali, byłaby pomniejszona o ilość wody, która byłaby już w zbiorniku.

Choć więc każda taka inwestycja ma potencjał wielofunkcyjności, powinna być nie tylko mądrze zaprojektowana w oparciu o najlepsze modele klimatyczne uwzględniające możliwe ekstremalne zjawiska pogodowe, ale powinna być również odporna na działanie zgoda innych sił – politycznych nacisków. Nie jest trudno wyobrazić sobie sytuację, kiedy politycy, chcąc zdobyć poparcie mieszkańców, proponują zamianę suchego zbiornika w mokry w celu stworzenia kąpieliska.

Cena za zmniejszenie ryzyka

W tym miejscu może warto wspomnieć również o tych zbiornikach, które nie powstały, a mogły powstać i uchronić tysiące osób przez utratą dobytku. Chodzi o kilka obiektów, które miały zostać ulokowane w okolicach Kłodzka. Z planowanych dziewięciu lub nawet 16 zbiorników powstały jedynie cztery. Wody Polskie podkreśla-



ją, że te obiekty, które zostały zbudowane, przechwyciły 15 mln metrów m3 wody. I właśnie o tyle splaszczyły falę powodziową. Dlaczego więc nie powstało ich więcej? I czy ich budowa na pewno ma sens?

Jeśli chodzi o odpowiedź na pierwsze pytanie, to – no cóż – trudno dzisiaj jednoznacznie prześledzić cały ciąg decyzyjny. W 2019 r. na portalu Oko.press ukazał się reportaż, który opisuje protesty mieszkańców i ekologów, którzy sprzeciwiali się inwestycjom. Budowy miał współfinansować Bank Światowy. „NIE wysiedleniom, NIE zaporom, NIE regulacji”, „Wilkanów mówi NIE suchym zbiornikom retencyjnym”, „Łapy precz od naszych rzek” – to część hasel, które pojawiały się podczas protestów.

„Kilkaset osób stawilo się w piątek 17 maja w niewielkiej sali, żeby zademonstrować swój sprzeciw, wobec budowy suchych zbiorników retencyjnych na ziemi kłodzkiej. To ich szansa, żeby swoje obawy wyartykułować przed przedstawicielami władz samorządowych, Wód Polskich i delegacji z Banku Światowego. A jest się czego bać” – relacjonowała autorka artykułu. I przytaczała wypowiedź jednego z mieszkańców: „Kto lepiej niż mieszkańcy Kotliny Kłodzkiej wie, co jest dobre dla tej ziemi?”. Cóż, choć było to pytanie retoryczne, rzeczywistość bardzo przekonanie na nie odpowiedziała.

Na ówczesnych protestach politycznie chciała zyskać zarówno posłanka Platformy Obywatelskiej Monika Wielichowska, jak i Anna Zalewska, była minister edukacji z ramienia Prawa i Sprawiedliwości. O wstrzymaniu prac zdecydował ostatecznie rząd Mateusza Morawieckiego.

Bez dostępu do pogłębionych analiz trudno jednoznacznie stwierdzić, czy zbiorniki z dużym prawdopodobieństwem uratowałyby przynajmniej część miejscowości. Patrząc jednak na polder Racibórz Dolny, można dojść do wniosku, że tak właśnie by się stało.

Jednocześnie choć dzisiaj dość łatwo jest mówić o naiwności osób, które wtedy oprostowały inwestycje, trzeba pamiętać, że budowa tego typu obiektów oznacza wysiedlenia i ingerencję w krajobraz. Z drugiej strony również podczas budowy wspomnianego wielokrotnie największego polderu w Polsce przesiedlono 700 osób. To była cena, jaką zapłacono za wieloletnie zmniejszenie ryzyka powodziowego dla setek tysięcy ludzi. To jest zresztą jedna z gorzkich lekcji, którą właśnie odbieramy – niektóre dostosowania będą łączyć się z kosztami. Również ludzkimi.

• **22.09.2024.**
Osiedle Krzepów w Głogowie załapał cofka z rzeki Czarnej spowodowana na wysokim stanem Odry

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polacy są w stanie ofiarnie godzinami wzmacniać wały powodziowe i organizować się oddolnie. Ale potrzeba więcej czegoś, co można nazwać dyscypliną profilaktyki

Każdy może nam zagrozić

„Teoretycznie możemy sobie wyobrazić tyle zbiorników, o takiej pojemności, że żadna powódź nam nie zagrozi. Ale skala tego jest niewyobrażalna” – zauważa cytowany prof. Skubała. „Z drugiej strony, pamiętajmy, że każdy zbiornik może nas uratować, ale on może nam także zagrozić” – mówił naukowiec.

Nie zapominajmy, że wały w zbiornikach mogą pękać i tworzyć przez to jeszcze większe zagrożenie. Jednym z wyjść z tego dylematu jest projektowanie zbiorników na podstawie predykcji ekstremalnych zjawisk z korektą na pogłębiającą się zmianę klimatu. Innym kompatybilnym rozwiązaniem jest zaangażowanie samej natury.

„Planując działania mające na celu redukcję zagrożenia powodziowego, w pierwszej kolejności zawsze powinno się rozważać możliwość zastosowania tzw. środków nietechnicznych związanych przede wszystkim z powiększaniem naturalnej retencji i ochroną ekosystemów. W kształtowaniu zagospodarowania przestrzennego dolin rzecznych niezwykle ważne jest pozostawienie miejsca rzece, w tym również naturalnych terenów zalewowych i retencyjnych. Zwiększenie naturalnej retencji pozwoli na zatrzymanie nadmiaru wody występującego podczas intensywnych opadów” – czytamy na portalu Klimada.

Wielu ekspertów podkreśla, że w kontekście wrażliwego zagrożenia powodziowego (a te będzie rosło – zmiany klimatu oznaczają częstsze występowanie ekstremalnych zjawisk pogodowych) istotne jest również oddanie większego terenu rzekom, tak, aby mogły się one swobodniej rozlewać. Dzięki temu fale powodziowe wypłaszczają się w sposób naturalny.

Tu pewna interesująca uwaga. Portal Klimada podkreśla, że o powodzi w literaturze mówi się wtedy, kiedy mamy do czynienia ze stratami gospodarczymi. Jeśli więc rzeki rozlewają się po łąkach, technicznie rzecz biorąc, nie jest to powódź.

Ideologia „jakoś to będzie”

Poza oddaniem większej przestrzeni rzekom potrzebne jest również odtwarzanie lasów, zwłaszcza w okolicach miejscowości górskich. Według ekspertów mają one bowiem znaczące zdolności absorpcji nawałnych ulew.

Kolejną sprawą istotną w kontekście ekstremalnych opadów, które nieco łączy się z tym, co wyżej napisałem jest kwestia „odbetonowywania” miast. Nieprzepuszczalne parkingi, zabetonowane rynki, chodniki i redukcja terenów zielonych działa podobnie jak wyrąb lasów (choć oczywiście intensywniej). W takich okolicznościach woda nie przesądza się do gleby, tylko „rozpędza” się i kumuluje zwiększając ryzyko powodzi.

Miasta powinny również udrażniać systemy kanalizacyjne oraz dostosowywać je do nowych warunków. Do tego potrzebna jest koordynacja prac inżynierskich, planistycznych z prognozami klimatycznymi. Każde miasto ma bowiem swoją specyfikę i swoje słabe punkty na mapie możliwych podtopień.

W Polsce problemem jest również ignorowanie zagrożenia powodziowego w kontekście zabudowy. Raport NIK z kwietnia 2023 r. wskazuje na liczne zaniedbania, jeśli chodzi o tę kwestię. Izba skontrolowała 11 gmin. W dziewięciu złamano przepisy prawa wodnego.

Z przepisów wynika, że samorządy podczas uchwalania planów zagospodarowania przestrzennego w okolicach rzek powinny skonsultować się z Wodami Polskimi (podmiot odpowiedzialny za krajową gospodarkę wodną). Ze śledztw przeprowadzonych przez NIK wynika, że nawet jeśli takie działania miały miejsce, to władze i inwestorzy niejednokrotnie po prostu ignorowali zalecenia instytucji. Działo się więc to, co w Polsce dzieje się niezwykle często – zalecenia, raporty, wnioski z badań są traktowane jako niezobowiązujące sugestie w ramach niechęci do „urzędasów” oraz obowiązującej ideologii „jakoś to będzie”.

Istotnym (choć z pewnością nie ostatnim) wątkiem w kwestii adaptacji do ekstremalnych opadów jest stworzenie procedur, które będą odpalane podczas podobnych wydarzeń, z jakimi mieliśmy do czy-

nienia ostatnio. To jest zresztą coś, czego zarówno administracja, jak i my jako społeczeństwo dopiero się uczymy. Często w momentach względnego spokoju uważamy, że tworzenie tego typu instrukcji jest niepotrzebną biurokracją. Kiedy jednak przychodzi katastrofa naturalna, służby działają po omacku.

W skrajnych przypadkach kończy się to odebraniem administrowania danym obszarem, jak to miało miejsce w przypadku Łądką Zdroju i Stronia. Jako że władze w tych miejscowościach nie radziły sobie z koordynacją służb, na miejsce przez rząd został wysłany nadbrygadier Michał Kamieniecki. Na co dzień pełni funkcję komendanta wojewódzkiego Państwowej Straży Pożarnej w województwie Warmińsko-Mazurskim, a więc po drugiej stronie kraju. Atutami po stronie Kamienieckiego jest z pewnością doświadczenie w zarządzaniu podobnymi kryzysami.

Cieszyn i Cieszyn

Poza koordynacją samych służb dochodzi jeszcze kwestia bieżącego monitorowania i informowania o stanie zagrożenia. Jak wyglądała sytuacja na tym polu, opisała dziennikarka Joanna Świba na portalu Bezprawnik.pl. Zestawiła ona ze sobą dwa miasta oddzielone rzeką – Cieszyn i Czeski Cieszyn.

„W Czeskim Cieszyń w nocy z soboty na niedzielę władze działali. Monitorowana była sytuacja, odpowiednie osoby zapewne sprawdzały odczyty, dotyczące wysokości stanu rzek. Po godzinie 4 w nocy Czeski Cieszyn ogłasza ewakuację terenów najbardziej zagrożonych. Służby działały, miasto informowało w mediach społecznościowych o ewakuacji, specjalnej infolinii dla osób w trudnej sytuacji, a na ewakuowanych czekały specjalne autobusy. Wszyscy zainteresowani mieli więc informację, w mieście słysząc było wycie syren, służby jeździły i nadzorowały wszystko. Nikt nie spał, ludzie zajęli się ucieczką i ratowaniem majątków” – relacjonuje dziennikarka.

„W tym samym czasie w polskim Cieszyń zupełnie cisza. Jedynie pojedyncze osoby (prywatne, niezwiązane z samorządem) monitorowały sytuację. Tylko oni wiedzieli, że jest źle i że należy spodziewać się problemów” – dodaje.

Czechom udało się zakończyć ewakuację o wczesnych godzinach porannych. Tymczasem w Polsce dopiero wtedy pojawił się komunikat o wydawaniu worków z piaskiem. „Kiedy fala powodziowa już przeszła i na dobrą sprawę nie było już czego zabezpieczać” – gorzko konstatuje Joanna Świba.

Oczywiście w Czeskim Cieszyń mieliśmy do czynienia ze zniszczeniami. Ale dzięki monitoringowi i odpowiednio wcześniej wszczętemu alarmowi zminimalizowano straty. To pokazuje jak istotna jest koordynacja. Z jednej strony ważne jest możliwe precyzyjne prognozowanie, z drugiej przygotowanie wcześniej zaplecza, które będzie wykorzystywane (worki z piaskiem, transport, ludzie), z trzeciej istotny jest system ostrzegania. Na końcu jednak są reakcje ludzi.

O tym ostatnim aspekcie nie możemy zapominać. To prawda – i piszę to bez żadnej ironii – że Polacy są świetni, jeśli chodzi o pospolite ruszenia. Są w stanie ofiarnie godzinami wzmacniać wały powodziowe i organizować się oddolnie. Ale faktem jest też, że potrzeba więcej czegoś, co można nazwać dyscypliną profilaktyki. Kiedy już więc pojawiają się komunikaty na temat konieczności ewakuacji, to osoby powinny się do nich stosować. Również dlatego, że często i tak ta ewakuacja będzie niezbędna, ale po przeczekaniu krytycznego momentu będzie trudniejsza i będzie obciążać służby, które można byłoby zagospodarować gdzieś indziej.

Pomyśleć o kolejnej powodzi

Z tego, co się wydarzyło powinniśmy wszyscy wyciągnąć jak najmądrzejsze wnioski.

Samorządowcy już dziś powinni myśleć o kolejnej powodzi, która nawiedzi nas za kilka albo kilkanaście lat. Mają czas na to, żeby nieco „odbetonować” swoje miasta i stworzyć systemy monitoringu i ostrzegania. Muszą również przestać patrzeć przez palce na rosnące osiedla i zabudowania powstające na terenach zalewowych.

Administracja publiczna powinna zastanowić się nad procedurami kryzysowymi przeglądając dokładnie to, co zadziało i co nie zadziało. Istotne jest też tworzenie zbiorników retencyjnych, które będą ścinać kolejne fale powodziowe, jak również „oddanie” rzekom większego terenu, aby mogły się rozlewać.

Do tego typu zdarzeń w końcu powinniśmy się przygotować również my jako społeczeństwo. A w kontekście pogłębiających się zmian klimatu powinniśmy zrezygnować z ideologii „jakoś-to-będzie” Ta bardzo kiepsko przechodzi konfrontację z ekstremalnymi zjawiskami. A tych będzie coraz więcej – tego możemy być pewni. ●

Woda opada, rządowi rośnie

TUSK SIĘ WŚCIEKŁ? MÓGŁ BARDZIEJ



• Premier Donald Tusk razem z mieszkańcami Kłodzka ogląda spustoszenia po powodzi. 17 września 2024r. | FOT. KPRM

Po powodzi los ekipy rządzącej oraz wynik wyborów prezydenckich leżą w ręku jednego człowieka i nie jest nim premier.

Dominika Wielowieyska

Od piątku 13 września pół rządu siedzi na Dolnym Śląsku, a narażony sztab kryzysowy transmittuje telewizja. Premier odbiera raporty od poszczególnych urzędników i funkcjonariuszy. Tę formę zarządzania kryzysem część komentatorów krytykowała. Ich argumenty: medialne widowisko osłabia skuteczność sztabu, krępuje jego uczestników, nieprzyzwyczajonych do publicznych występów, część z nich jest sparaliżowana obawą, że premier będzie ich publicznie strofował. Bo takie sceny rzeczywiście były, choć stanowiły margines. Generalnie w transmisjach dominowały prezentacje informacji z poszczególnych dziedzin i miejsc.

Wisienką na torcie była opinia publicysty „Polityki” Jacka Żakowskiego, że Tusk prowadząc jawne posiedzenia, stosuje metody putinowskie i – tak jak Putin – ku uciesze gawiedzi dyscyplinuje podwładnych. Wszystko wedle wzoru „dobry car i źli bojarzy”.

Być może to kolejny przypadek, w którym komentarze mainstreamowych publicystów kompletnie rozminają się z nastrojami społecznymi, a opinia Żakowskiego wręcz pomogła Tuskowi, bo wywołała gwałtowną falę oburzenia – ale na dzieńnikarza.

Porównywanie polskiego premiera do rosyjskiego zbrodniarza musiało taki efekt wywołać. A Tusk umiejętnie to wykorzystał, zamieszczając na platformie X znaczący wpis: „Bola Was niektóre komentarze w mediach i szczucie PiS? Niepotrzebnie. Dziś liczą się tylko skuteczna pomoc, ludzka solidarność i bezpieczeństwo mieszkańców. Ważne jest, co kto robi, nie co kto mówi”.

Premier słusznie wyszedł z założenia, że wdawanie się w słowną bijatykę czy to z komentatorami, czy z opozycją, a w szczególności z PiS, nie ma sensu, co innego jest ważne. I trzeba być ponad polityczną nawalankę. Ta strategia – a więc jawne sztaby, ignorowanie ataków, osobiste zaangażowanie szefa rządu i kilku mi-

nistrów – przyniosła pozytywne efekty dla rządzącej koalicji. Bo gwarantowała przejrzystość działań, a to spece od PR-u w warunkach kryzysów zawsze zalecają.

• Tak więc w najnowszym sondażu United Surveys dla WP.pl widać, że Koalicja Obywatelska umocniła się na pierwszej pozycji i powiększyła dystans do PiS, bo partia Jarosława Kaczyńskiego nie rozumiała, że nadmiarowa krytyka przy okazji waliki z żywiołem nie przynosi politycznych korzyści. To oczywiście tylko jeden sondaż, do którego nie można się przywiązywać, ale ciekawy jest też wynik innego badania US.

Na pytanie „Jak ocenia Pan/Pani działania rządu w sprawie powodzi i usuwania jej skutków?” ponad połowa odpowiedziała, że pozytywnie, a około 38 proc. było obojętne.

W takim kryzysie bardzo trudno zyskać wysokie poparcie, bo zawsze służby i administracja gdzieś nawalą, żywioł jest nieprzewidywalny i zawsze część obywateli będzie miała poczucie, że nie otrzymała dostatecznej pomocy. Ten względnie pozytywny wynik jest spowodowany właśnie tym, że społeczeństwo co dzień oglądało taki obrazek: rząd siedzi na miejscu dzień i noc i monitoruje sytu-

ację, niczego nie ukrywa, a w tym czasie opozycja stuka w klawiatury i w mediach społecznościowych wali w rząd, zanim jeszcze było wiadomo, co tak naprawdę się wydarzyło.

Ludzie w warunkach kryzysu są spragnieni informacji, więc spin PiS „rząd nic nie robi” był od samego początku neutralizowany: jak to nic nie robi, skoro w telewizji na okrągło widać, gdzie jest premier ze swoimi ministrami.

Argument, że urzędnicy i funkcjonariusze byli sparaliżowani i że to utrudniało sprawne rozwiązywanie problemów, jest nieprzekonujący. Każdy, kto decyduje się na służbę państwową, musi mieć świadomość, że będzie odpowiadał publicznie na różne pytania. A poza tym w takiej sytuacji nie komfort urzędników jest najważniejszy, tylko pomoc ofiarom powodzi.

Zresztą znając Tuska, mogę powiedzieć, że dla niektórych to nawet lepiej, że sztaby były publiczne, bo premier przynajmniej się hamował, a słynie z tego, że potrafi być bardzo nieprzyjemny, gdy uzna, że ktoś coś zawalił. Opozycja się naśmiewa z hasła „Tusk się wściekł”, które ma zdejmować z premiera odpowiedzialność za różne wpadki, jednak jest ono całkiem adekwatne do wielu sytuacji, a urzędnicy od dawna bardzo starannie się przygotowują, zanim wejdą do gabinetu szefa rządu.

Czy to znaczy, że nie ma powodów do krytyki rządu? Owszem, są, tylko ludzie wiedzą, że najpierw trzeba opanować żywioł, a potem analizować, co źle poszło. Tusk zaordynował, że podwładni mają przygotować raporty na ten temat. Ale i bez nich już dziś możemy zidentyfikować kilka problemów.

Po pierwsze: błąd premiera, który powiedział, że prognozy nie są zbyt alarmujące. Wypowiedź była dłuższa i bardziej zniuansowana, ale tak już w życiu jest, że w pamięci pozostaje tylko jedno sformułowanie. Prawda, że choć jeszcze w środę 11 września prognozy były alarmujące, to dzień przed piątkową wypowiedzią Tuska nieznacznie się poprawiły. Niemniej rząd powinien inaczej formułować przekaz: idzie wielka woda, jesteśmy zagrożeni powodzią, nie wiemy, co się wydarzy. Na wszelki wypadek przygotowujemy się na najgorsze, choć to najgorsze nie musi przyjść. Żywioł jest nieprzewidywalny.

Po drugie: brak przepływu informacji w sprawie przetrwania tamy w Stroniu Śląskim. Burmistrz Kłodzka mówił „Wyborczej”, że o pęknięciu dowiedział się od dziennikarzy, a nie z kłodzkiego centrum zarządzania kryzysowego. Pytanie, kto zawinił. Szef tego centrum, który podał się do dymisji, pomstując na starostę, starosta powiatu kłodzkiego, Wody Polskie? Nie chodzi o to, by kogokolwiek piętnować, bo sytuacja była skrajnie dramatyczna. Chodzi o wyciąganie wniosków na przyszłość.

Wody Polskie podkreślają, że „w momencie przelania się wody przez zapórę ziemną zbiornika 15 września, poinformowano centrum zarządzania kryzysowego w Stroniu Śląskim za pomocą obecnej na miejscu straży miejskiej. To była jedyna możliwa droga komunika-

cji w tym momencie, ponieważ wystąpił całkowity brak łączności telefonicznej i komunikacji w całym regionie”.

Czy ktoś przewidział, że w chwili armagedonu nie będzie łączności? Czy służby były na to przygotowane? Może tak newralgiczne punkty, jak zapory i wały, powinny być kontrolowane przez wojsko, które przejęłoby zadanie informowania samorządowców o zbliżającej się fali?

Problemem było także to, że potwierdzenie informacji zajęło sporo czasu. Były urzędnik napisał mi: „Łączność można było zabezpieczyć od pierwszych chwil powodzi. Prawdopodobnie nikt tego nie koordynował”. To sytuacja, którą trzeba dokładnie przeanalizować.

Po trzecie: tuż po zabrakło mundurowych. Przez pierwsze 24 godziny po przejściu niszczącej fali w Kotlinie Kłodzkiej, w tamtejszych miastach nie było widać wojska i policji. Ludzie poczuli się opuszczeni. Obawiali się szabrowników. Mieli poczucie, że nikt nie panuje nad usuwaniem skutków powodzi. Tam wojsko i służby powinny się pojawić wcześniej. Dlaczego tak się nie stało? Oczywiście po 48 godzinach sytuacja zmieniła się diametralnie, ale czy mogło to się zadziać szybciej? To ważne pytanie: czy i z jakim wyprzedzeniem były planowane działania wojska i służb.

Po czwarte: zaniechania i niekonsekwencja w sprawie projektów infrastrukturalnych. Po powodzi w 1997 roku powstał program budowy infrastruktury przeciwpowodziowej. Część projektów zrealizowano. Ale część nie. Chodzi nie tylko o dodatkowe zbiorniki retencyjne w Kotlinie Kłodzkiej, które oprotowali mieszkańcy, a minister transportu z PiS Marek Gróbarczyk mówił, że „są psu na budę”. Chodzi także o zbiornik Kamieniec Żąbkowicki.

W krzysie takim, jak powódź, zawsze służby i administracja gdzieś nawalą i zawsze część obywateli będzie miała poczucie, że nie otrzymała dostatecznej pomocy

Dr Lech Poprawski, ekspert z Uniwersytetu Wrocławskiego zwracał uwagę w TOK FM, że rola tego zbiornika mogła być ogromna, gdyby powstał. Ale nie powstał, choć już w 2021 roku rząd PiS zapowiadał ten projekt, wysiedlono nawet całą wieś, a premier Mateusz Morawiecki i szef jego kancelarii Michał Dworczyk spacerowali po kamienieckim polu w towarzystwie kamer. Teraz czytamy, że termin pozyskania dokumentacji oraz niezbędnych zgód i pozwoleń na budowę to dopiero rok 2026, a zbiornik powstanie do 2030. Pozostaje modlić się, by do tego czasu taka sama powódź nie nawiedziła tych terenów.

Powszechnie uważa się, że Wrocław i Opole przed zalaniem uratował gigantyczny zbiornik Racibórz, ale są i tacy, jak ekolog, były wiceminister środowiska i były poseł Unii Wolności Radosław Gawlik, którzy uważają, że tylko nieznacznie zmniejszył falę. To musi być dokładnie policzone przez ekspertów, aby można było zaplanować efektywne inwestycje antypowodziowe, które są niezwykle kosztowne. Pytanie, czy głosy takie jak jego zostaną uwzględnione w analizach i wnioskach, bo ekologowie są oskarżani, szcze-

gólnie przez prawicę, o blokowanie projektów przeciwpowodziowych.

Osobną kwestią jest generalna odbudowa po powodzi. Być może rząd zrezygnuje z realizacji części obietnic wyborczych, które wywołują konflikty w koalicji. A wyjaśnienie będzie proste i nie do zbiać: potrzeba nam pieniędzy na usunięcie skutków wielkiej fali. Opozycji trudno będzie to atakować.

Odbudowa po powodzi to operacja z serii „być albo nie być” dla Koalicji Obywatelskiej. Dolny Śląsk, Opolskie i Lubuskie to bastiony tej partii. Uzyskała tam o wiele lepsze wyniki od PiS i lepsze niż w skali całego kraju. Ale wybory prezydenckie są raptem za kilka miesięcy, termin parlamentarnych też jest nieodległy – rok 2027 już majączy na horyzoncie – a wyborcy skorzystają z tych okazji, by ocenić, raczej bez taryfy ulgowej, jak ekipa Tuska poradziła sobie z odbudową na tych terenach, jak skutecznie wykorzystano środki unijne i krajowe.

Dlatego Tusk stanie na głowie, by odbudowa ruszyła jak najszybciej. A więc los ekipy rządzącej leży w rękach pełnomocnika rządu Marcina Kierwińskiego. ●

Pomagamy Głucholazom

„Gazeta Wyborcza”, Radio ZET, Radio TOK FM, Złote Przeboje, Gazeta.pl, kina Helios łączą siły, by razem pomagać powodzianom. Zbieramy dla zalanych przez Odrę Głucholazów. Do akcji „Serce dla powodzian” można dołączyć, wysyłając **SMS o treści SERCE pod numer 75 265 (koszt 6,15 zł z VAT)** albo dokonując przelewu na stronie fundacjardiazet.pl lub bezpośredniej wpłaty na konto: **83 1840 0007 2213 3200 0811 5819**. ●

REKLAMA

Kraj/34337448



PIERWSZE ŹRÓDŁO INFORMACJI

GOŚĆ RADIA ZET
BOGDAN RYMANOWSKI
BEATA LUBECKA

PON. - PT. 8:02
PON. - CZW. 18:02

7. DZIEŃ TYGODNIA W RADIU ZET
ANDRZEJ STANKIEWICZ
NDZ. 9:02



PODRĘCZNIK nieprawdziwych Polaków

Według Przemysław Czarnka polsko-niemiecki podręcznik do historii napisali „zdrajcy” i „krypto-Niemcy”.

Piotr Głuchowski

Ministerstwo dopuściło niedawno do użytku w podstawówkach cztery tomy podręcznika „Europa. Nasza historia”. Wywołało to ostrą reakcję prawicowych mediów i polityków. Co zawiera przygotowywana przez kilkanaście lat pozycja? Jak naród powinien interpretować historię? W roku 2007, po trzech dekadach uzgodnień w ramach Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej, szefowie dyplomacji Radosław Sikorski i Frank-Walter Steinmeier ogłosili, że oba rządy wesprą pisanie bilateralnego podręcznika do nauki historii Europy w szkołach podstawowych – w identycznej wersji dla uczniów niemieckich i polskich.

Tom pierwszy „Od prahistorii do średniowiecza” ukazał się w obu krajach w 2016 r. – u nas nakładem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Tom drugi „Czasy nowożytne...” wyszedł rok później. Pięć lat temu pojawił się tom trzeci obejmujący okres od Kongresu Wiedeńskiego do schyłku XX-lecia międzywojennego. W lipcu 2020 r. powstał tom czwarty – ostatni – przeznaczony dla ósmych klas: „Od wybuchu drugiej wojny światowej do czasów współczesnych”.

I zaczęły się schody.

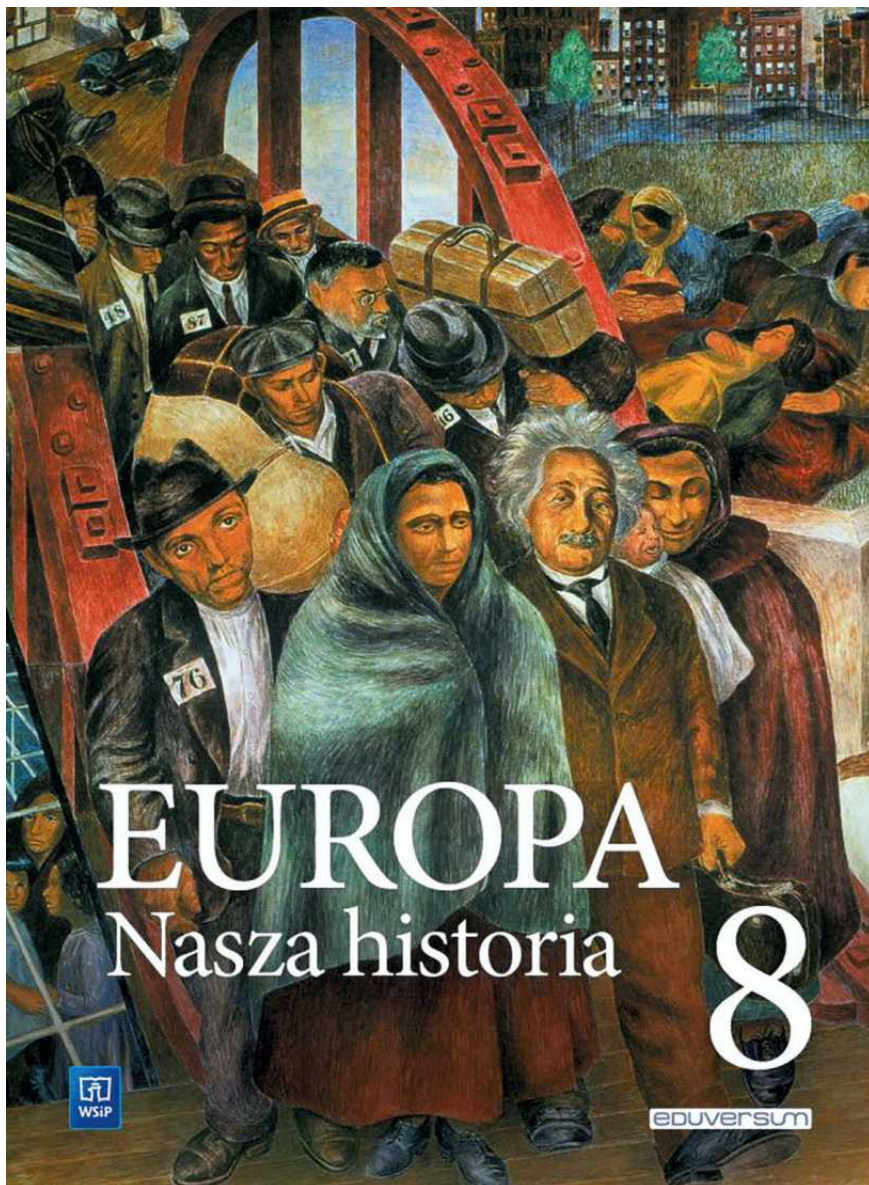
– Kiedy tylko zostałem ministrem edukacji, kiedy zobaczyłem ten podręcznik na stole, natychmiast porozmawiałem z panem prezesem Jarosławem Kaczyńskim – zdradził w sierpniu br. na antenie TV Republika były szef resortu szkolnictwa prof. Przemysław Czarnek. – Mówiłem, że tego nie wolno puścić w żaden sposób i uzyskałem pełną akceptację [szefa PiS]. Coś takiego jak ten podręcznik mogli zrobić tylko ludzie, którzy nie mają pojęcia, czym jest historia i polityka historyczna, albo po prostu zdrajcy. Przecież każdy naród, pisząc historię, interpretuje fakty tak, żeby jego interes narodowy był na wierzchu. Wyobrażacie sobie państwo, że my piszemy podręcznik wspólnie z Niemcami, którzy nas atakowali, zniszczyli Warszawę i nie zapłacili ani jednej marki czy jednego euro rekompensaty?

Prowadząca wywiad dziennikarka Republiki Katarzyna Gójska podzieliła oburzenie byłego ministra. Jako przykład skandalu wskazała to, że w czwartym tomie „aliancki nalot na Drezno jest pokazywany w jednym rzędzie z obozem koncentracyjnym Auschwitz”.

– To właściwie to samo: tu ludzie cierpieli i tam ludzie cierpieli i nie wiadomo właściwie, kto ich skrzywdził. Chyba jakieś zło, które się na świecie rozpanoszyło...

– Coś takiego mógł wymyślić tylko idiota chcący zdradzić interesy narodu polskiego – powtórzył profesor Czarnek. – Idiota, bądź jakiś krypto-Niemiec, który chce wybielać ten kraj.

Sięgam do czwartego tomu podręcznika.



Polowanie z nagonką na książkę

Miejsce, w którym Oświęcim i Drezno „pokazywane są w jednym rzędzie”, to strona 20 tomu IV, która otwiera rozdział pt. „Życie codzienne w ogarniętej wojną Europie”. Są tam cztery rysunki z podpisami:

- wrzesień 1939 r. Polska dostaje się pod okupację niemiecką i sowiecką (na obrazku żołnierze włamują się do jakiegoś budynku);
- kwiecień/maj 1940 r. Niemcy zakładają oboz w Auschwitz (obozową bramę z wiadomym hasłem);
- listopad 1942 r. Niemcy rozpoczynają działania wysiedleńcze i pacyfikacyjne na Zamjowszczyźnie (płonący dom z ogródkiem);
- luty 1945 r. Aliancki nalot na Drezno powoduje wielkie zniszczenia w mieście (obraz kamienic w ruinie).

W tekście rozdziału 1.2 nie ma niczego o Dreźnie prócz zdjęcia z podpisem: „Ruiny po nocnych nalotach na miasto, które odbyły się między 13 a 15 lutego 1945 r.”. O Auschwitz jest cały podrozdział, w którym czytamy: „Największym w Europie kompleksem obozów koncentracyjnych były stworzone wiosną 1940 r. w pobliżu miasteczka Oświęcim obozy Auschwitz I–III i należące do nich podobozy. W podstawowym obozie (Auschwitz I) pracę przymusową wykonywali więźniowie polityczni, głównie Polacy, oraz sowieccy jeńcy wojenni. W 1941 r. przeprowadzono tam pierwsze masowe

mordy z użyciem gazu. W Birkenau, czyli Auschwitz II, znajdował się oboz zagłady, w którym mordowano Żydów z całej Europy, ale też Sinti i Romów – łącznie ponad milion osób...”. Drezno występuje w IV tomie sześć razy, włączając w to indeks nazw, zaś Auschwitz/Oświęcim – 38 razy.

– Minister Czarnek, jak sędzę, nawet nie otworzył tego podręcznika – mówi mi prof. Robert Traba, b. współpracownik Komisji Podręcznikowej i Rady Ekspertów, która kierowała merytorycznym przygotowaniem serii. – Chodziło mu jedynie o polityczne zagranie antyniemiecką kartą, w czym PiS się przecież wyspecjalizował. Oto skandal: Niemcy nam piszą historię! Tego typu teksty można było przeczytać w prawicowych mediach, poczynawszy od „Frondy”, a skończywszy na „Gościu Niedzielnym” i „Gazecie Olsztyńskiej”.

Czytam tekst z tego pierwszego portalu: „Niemcy napisali naszym dzieciom podręcznik do historii II wojny światowej. Chwilowo jest jeszcze w języku polskim – komentuje red. Sławomir Jastrzębowski [b. naczelny „Super Expressu”]. – Uśmiechamy się, Polaczki, uśmiechamy!”.

– Tego nie można nazwać inaczej niż nagonką – mówi dalej prof. Traba. – W takiej atmosferze minister Czarnek zamówił recenzję gotowego już czwartego tomu u profesora Grzegorza Kucharczyka.

Pomylił historię z pamięcią

Kucharczyk jest specjalistą od historii Prus i zwolennikiem PiS. W 2005 r. zasiadał w honorowym Komitecie poparcia Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, dekadę później został członkiem poznańskiego Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Razem z prof. Wojciechem Roszkowskim należał do gremium przygotowującego szkolny program przedmiotu „Historia i teraźniejszość”. W latach rządów Zjednoczonej Prawicy prof. Kucharczyk był stałym komentatorem kierowanej przez Jacka Kurskiego TVP, obecnie można go oglądać w TV Republika.

Czytam jego recenzję, właściwie listę zarzutów:

- „Ilustracja na str. 8-9 zdaje się sugerować, że zbrodnie niemieckie w trakcie II wojny światowej to przede wszystkim ludobójstwo na ludności żydowskiej” [zdjęcie przedstawia Żydów wyprowadzanych z getta podczas powstania wiosną 1943].
- „Skąd autorzy wiedzą, że powstanie warszawskie było „ostatecznie daremne”? Jest raczej odwrotnie – po latach okazało się zwycięskie!”.
- „Przedstawienie bitwy pod Monte Cassino w błędnym kontekście jako symbolu tułaczki i walki Polaków”. Faktycznie bitwa ta była symbolem bohaterstwa i miłości do Ojczyzny”.
- „Brak wzmianki o fascynacji komunistycznymi ludobójcami zdradzanej przez uczestników studenckiej rewolty w latach 60.”.
- „Ilustracja wprowadzająca rozdział o podziale Niemiec i jego zakończeniu błędnie sugeruje, że symbolem kruszenia żelaznej kurtyny było obalenie muru berlińskiego. O wiele stosowniejsze byłoby umieszczenie w tym miejscu zdjęcia bramy strajkującej w 1980 roku Stoczni Gdańskiej”.
- „Błędny kontekst w zdaniu: „po 1945 r. ważną siłą społeczną pozostał Kościół katolicki”. Niby wszystko się zgadza, ale właściwie byłoby napisać: „po 1945 r. jedyną zorganizowaną opozycją w Polsce wobec reżimu komunistycznego pozostał Kościół”.
- „W ramce na str. 127 dokonano takiego wyboru 21 postulatów [sierpniowych], że zniknął postulat transmisji mszy świętej w radiu publicznym”.

Puenta recenzenta: „Podręcznik nie może być dopuszczony do użytku szkolnego”.

– Recenzja jest niekompetentna, są w niej błędy, nieznamość minimów programowych oraz zaleceń Komisji Podręcznikowej, które oba rządy uznały za podstawę projektu – mówi prof. Traba. – Postulatu transmisji niedzielnej mszy w radiu w ogóle nie było na liście 21 żądań strajkujących stoczniovców [jest mowa o udostępnieniu środków masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań - red.]. A po roku 1945 istniała opozycja nie tylko w Kościele katolickim – działało PSL, było Zrzeszenie WiN... aż dziwne, że taki patriota jak profesor Kucharczyk zapomniał o podziemiu antykomunistycznym. Co do ideowych fascynacji studentów z roku 1968 – recenzent nie orientuje się w minimach programowych i żąda wprowadzenia wiedzy wykraczającej poza kompetencje ucznia ósmej klasy szkoły podstawowej. Odchodząc już od szcze-

gółów: Kucharczyk najzwyczajniej pomylił historię z pamięcią. Jego zdaniem należy uznać powstanie warszawskie za zwycięskie, gdyż je po latach święcimy. Tak rozumując, należałoby orzec, że powstania listopadowe i styczniowe też były zwycięskimi.

Powody, dla których PiS się uwziął

Na recenzję prof. Kucharczyka odpowiedział – w piśmie do ministerstwa – kierownik projektu w wydawnictwie WSiP red. Andrzej Dusiewicz. Czytam:

- „Wybranie ilustracji ukazującej mieszkańców getta prowadzonych do pociągu jadącego do Treblinki ma w zamyśle autorów zwrócić uwagę uczniów na tragiczny los ludności cywilnej w trakcie wojny”.
- „Powstanie warszawskie zakończyło się klęską militarną i polityczną oraz nie zapobiegło zdobyciu władzy w Polsce przez komunistów. Autorzy nie napisali więc nieprawdy. Rzeczoznawca w swojej uwadze odnosi się do legendy powstania i jego moralnego znaczenia”.
- „Twórcy podręcznika w pełni zdają sobie sprawę z tego, że Monte Casino (...) jest przykładem bohaterstwa Polaków i ich miłości do ojczyzny. [Należy jednak przypomnieć], że mimo tej ofiarności żołnierzom nie dane było wrócić do Polski”.
- „Autorzy podręcznika mają świadomość, że podobizny Ho Chi Minha i Che Guevary były na plakatach i transparentach niesionych przez młodych ludzi w 1968 r. Postaci te jednak nie występują w podręczniku (...). Zamiast tego autorzy przedstawili najważniejsze cechy charakterystyczne młodzieżowych wystąpień, w tym kontestację 'burżuazyjnego stylu życia'”.
- „W powszechnej kulturze pamięci symbolem upadku żelaznej kurtyny pozostał zburzenie muru berlińskiego [a nie strajk w Stoczni Gdańskiej]. Jest to symbol uniwersalny rozpoznawalny nie tylko w Europie, ale i na świecie”.

– Dlaczego PiS się uwziął na podręcznik? – pytam dalej prof. Trabę.

– Po pierwsze dlatego, że projekt ruszył z inicjatywy pierwszego rządu Donalda Tuska. Po drugie dlatego, że w strategii politycznej PiS historia zajmuje ważne miejsce, a w tej historii Niemcy są złem ucieleśnionym już od tysiąca lat. Po trzecie, dla tego środowiska rola Kościoła nigdy nie będzie wystarczająco mocno zaznaczona – zawsze można mocniej. Po czwarte, ideologia historyczna PiS jest zarazem bazą ich myślenia na przyszłość. I w tej ideologii mieliśmy dwie okupacje, które się zakończyły dopiero w roku 1989.

– Formalnie wojska sowieckie wyszły jeszcze później, bo w 1993 r.

– Ale przyzna pan, że to straszliwe uproszczenie stawiać w jednym rzędzie hitlerowski terror i rządy PRL. A historycy zapatrzeni w PiS tak to właśnie widzą. Zbudowali antypodręcznikową narrację, wedle której autorzy książki „relatywizują historię”, jak to napisał w „Gościu Niedzielnym”

redaktor Piotr Legutko, naczelny TVP Historia za rządów PiS.

Kilka cytatów z „Europy”

Przeczytałem podręcznik i pierwsze, co mnie uderzyło, to wielka ilość wiadomości o Polsce. Kampania wrześniowa, obie okupacje z lat 1939-45 oraz powojenne losy Rzeczypospolitej zajmują przynajmniej jedną czwartą historii Europy. Drugie, co rzuca się w oczy, to wielokrotnie zaznaczone umiłowanie, jakim darzyli Adolfa Hitlera współcześni mu Niemcy. Jeśli faktycznie – jak głosi prawica – niemiecka polityka historyczna robi ze swego narodu pierwszą ofiarę nazistów, to po lekturze tej książki niemiecki uczeń już w taką narrację nie uwierzy.

Wybór wątków z IV tomu „Europy”:

- Współudział narodów Europy Środkowej w Holocauście: „Niemcy wykorzystywali antysemickie nastroje wśród ludności polskiej, ukraińskiej i litewskiej. Widoczne to było zwłaszcza na terenach zajętych przez Związek Sowiecki w 1939 i 1940 r. Oskarżano tam Żydów o kolaborację z komunistami i po wejściu Niemców, a często z ich inspiracji, dochodziło do pogromów. Najokrutniejsze wydarzenia miały miejsce we Lwowie, Kownie oraz Jedwabnem na Podlasiu (...).
- Zarówno w Niemczech, jak i w krajach z nimi sprzymierzonych oraz w części krajów przez nich podbitych wiele osób oraz instytucji aktywnie uczestniczyło w przesładowaniach i mordowaniu Żydów. Przykładem może być francuski rząd Vichy czy faszystowska partia strzałokrzyżowców na Węgrzech, które współorganizowały transporty Żydów do obozów zagłady. Zdarzały się także sytuacje diametralnie odmienne, np. w Danii, przy aktywnym udziale społeczeństwa, niemal wszystkich Żydów udało się ewakuować do neutralnej Szwecji (...). Był to akt wyjątkowej odwagi, gdyż za pomoc Żydom groziły surowe kary, a na terenach okupowanej Polski oznaczało to karę śmierci”.
- Powstanie warszawskie: „W wyniku walk oraz niemieckich działań odwetowych życie straciło ok. 150-180 tys. ludzi, z czego 90 proc. stanowiła ludność cywilna. Niemcy wykorzystali sytuację do zrealizowania planów całkowitego zniszczenia polskiej stolicy. Warszawiaczy, którzy przeżyli powstanie, musieli opuścić miasto. W ciągu następnych tygodni Warszawa została prawie całkowicie zniszczona. Do dzisiaj trwają dyskusje, czy powstanie warszawskie – wystąpienie bohaterskie, ale ostatecznie daremne – było czynem koniecznym”.
- Zachwyt Hitlerem: „Sukcesy Wehrmachtu (...) sprawiły, że większość Niemców z entuzjazmem popierała politykę Hitlera. Sytuacja nie uległa zmianie nawet wtedy, gdy do Niemiec zaczęły docierać informacje o zbrodniach i mordach popełnianych przez oddziały niemieckie”.
- W 1942 r. kilku studentów z Monachium założyło tajną organizację Biała Róża. W rozpowszechnianych ulotkach informo-



Prof. Traba:
Minister Czarnek, jak sądzę, nie stworzył nawet podręcznika, chodziło mu jedynie o zagranie antyniemiecką kartą

wali o niemieckich zbrodniach wojennych i potępiali je. W 1943 r. zostali schwytani (...) i straceni. Te i inne odosobnione próby protestów lub oporu były traktowane w Niemczech jak zdrada i spotykały się z niechęcią większości społeczeństwa”.

- Wypędzenie/wysiedlenie/ucieczka Niemców ze Wschodu: „Ludność niemiecka z tych ziem, a także z terenu Czechosłowacji i Węgier, została wysiedlona. Dla milionów osób oznaczało to konieczność przymusowego wyjazdu ze swoich stron ojczystych i pozostawienie niemal całego dobytku. Szacuje się, że domy opuściło ponad 13 mln Niemców (...). W ostatnich miesiącach wojny także ludność niemiecka na wschodnich terenach Rzeszy doświadczyła okropieństw wojny. Ucieczka przed zbliżającym się frontem, a następnie aresztowania, gwałty i chęć odwetu ze strony Sowietów stały się dla wielu Niemców najbardziej tragicznym doświadczeniem.
- Sowieckie zniewolenie Polski: „Kiedy w 1944 r. Armia Czerwona wyparła niemieckich okupantów ze wschodniej Polski, Stalin powołał rzekomo ponadpartyjny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN). 22 lipca 1944 r. Komitet wydał (z inicjatywy Stalina) manifest, w którym uznał rząd polski w Londynie za nielegalny (...).” W czerwcu 1946 r. komuniści zorganizowali tzw. referendum ludowe, w którym zadali Polakom trzy pytania dotyczące reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu, nowych granic oraz zniesienia Senatu jako symbolu parlamentaryzmu II Rzeczypospolitej. Wyniki referendum okazały się dla komunistów druzgocące, dlatego je sfalszowali. Dokładnie to samo zrobili podczas pierwszych po wojnie wyborów parlamentarnych w styczniu 1947 r. (...)”.
- Upadek komunizmu: „Powstanie w sierpniu 1980 r. w Polsce ruchu społecznego „Solidarność” zapoczątkowało serię przemian w Europie Środkowo-Wschodniej. W połowie lat 80. zbiegły się one z reformami przeprowadzonymi w ZSRS przez Michaiła Gorbaczowa i w końcu doprowadziły do obalenia komunizmu we wszystkich krajach Europy (jesień narodów)”.
- Integracja: „Unia znajduje się w kryzysie tożsamości. Wielu jej obywateli oraz polityków pragnie ściślejszej integracji, inni z kolei są temu przeciwni. Jak daleko ma pójść integracja UE? Jak uwzględnić życzenia i żądania wszystkich obywateli UE? – to

podstawowe pytania, o których trzeba będzie dyskutować w przyszłości”.

- Antropogeneza globalnego ocieplenia: „Od kilku dziesięcioleci obserwuje się ocieplanie klimatu na Ziemi. Wielu naukowców uważa, że przyczyną tego zjawiska jest m.in. podwyższenie ilości CO2 w atmosferze ziemskiej, spowodowane spalaniem węgla, oleju i gazu. Wiele państw na całym świecie prowadzi negocjacje w celu rozwiązania problemu globalnego ocieplenia. W 1997 roku 191 krajów podpisało tzw. protokół z Kiotu, będący pierwszym globalnym porozumieniem klimatycznym (...) lecz w 2019 r. USA wycofały się z jego przesteregania, co może negatywnie wpłynąć na osiągnięcie wyznaczonych celów”.

Ani jedna szkoła nie zamówiła

– Dopóki rządził PiS, odpowiedź WSiP na recenzję prof. Kucharczyka niczego nie zmieniła. Gotowy podręcznik stał się jedynie materiałem pomocniczym i żadna szkoła go nie zamówiła. Wydawnictwo wstrzymało druk – mówi dalej profesor Traba.

– W grudniu 2022 r. wraz z prof. Michałem Müllerem [współprzewodniczącym Komisji Podręcznikowej] napisaliśmy listy do Andrzeja Dudy i Franka-Waltera Steinmeiera. Prosiłiśmy o pomoc w odblokowaniu projektu. Ja od polskiego prezydenta nie dostałem żadnej odpowiedzi, prof. Müller od swego – jedynie zdawkową. Nie pomogło to, że IV tom dostał nagrodę na targach Didakta w Hanowerze, a cała seria – laur Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Pomiając już władzę PiS, mam pretensje również do niemieckiej klasy politycznej, że nie poparła tego wyjątkowego zjawiska, drugiego na świecie po podręczniku niemiecko-francuskim. To smuci. Niby funkcjonuje Trójkąt Weimarski, ale faktyczne partnerstwo polsko-niemieckie rozwija się słabo. Niemieccy koledzy historycy też to odczuwają. Mówią mi, że w tamtejszych szkołach nie ma zainteresowania wspólnym podręcznikiem, choć jest już oficjalnie dopuszczony.

Ministerstwo Edukacji pod rządami Barbary Nowackiej zamówiło trzy nowe recenzje IV tomu – wszystkie wypadły pozytywne i resort dopuścił całą serię do użytku w szkołach podstawowych.

– Ile z nich zamówiło podręcznik? – pytam Andrzeja Dusiewicza z WSiP.

– Na razie ani jedna. Liczę jednak na to, że gdy informacja o dopuszczeniu książki rozejdzie się po Polsce, zamówienia spłyną.

– Pokonałiśmy przeszkody polityczne, teraz musimy rozpropagować serię wśród nauczycieli – dodaje profesor Traba. – Nie będzie to łatwe, ponieważ projekt, z powodu tych wszystkich zawirowań, ma niestety opinię kontrowersyjnego. Użycie „Europy” w szkole graniczy z deklaracją światopoglądową. Kto za obecną władzą, za Unią i integracją europejską – ten za podręcznikiem. I odwrotnie. A przecież sam pan widzi, że niczego złego tam nie ma. ●

REKLAMA

Kraj/34337132

SPONSOR PŁYTY | KRAK

PATRYCJA PIEKUTOWSKA

zaprasza na koncert premierowy swojej 13. płyty

ON TOP OF MY WORLD

11 MIAST, 5 KONTYMENTÓW - PORYWAJĄCA SKRZYPCOWA PODRÓŻ

30 WRZEŚNIA 2024, GODZ. 19:00, WARSAW PRESIDENTIAL HOTEL, ALEJE JEROZOLIMSKIE 65/79

PARTNER GŁÓWNY KONCERTU

WARSAW PRESIDENTIAL HOTEL
The No. 1 Best Warsaw Hotel

SPONSOR GŁÓWNY KONCERTU

VOLKSWAGEN FINANCIAL SERVICES

SPONSORZY KONCERTU

PPL Polish Airports

GRUPA WOŹNIAK

DREAMproperty.es

PATRONI MEDIALNI

VIVA!

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

eprasa.pl b64bf81dfb

1RP

Mój 13-letni syn i 10-letnia córka nigdy nie chodzili do szkoły, najmłodsza córka nigdy do niej nie pójdzie.

Małgorzata Zubik

W szkole szliśmy wszyscy jak cielęta: na polski, potem angielski, bo ktoś tak ustalił. Tutaj robię to sama i dopasowuję do siebie metody nauki. To daje poczucie sprawczości. – Zosia Pichlak z Bolesławia w województwie małopolskim w maju będzie zdawać maturę. Zostawiła zwykle liceum, dwa lata temu przeniosła się do Szkoły w Chmurze. – Wcześniej bałam się dorosłości, wszyscy straszili maturą, studiami, że masakra. Ale ja już przeszłam to rzucenie się na głęboką wodę i radzenie sobie samodzielnie. Dzięki Chmurze uczymy się nie tylko przedmiotów, ale też trochę życia. Jest duża wolność, ale i duża odpowiedzialność. Na pewno edukacja domowa nie jest dla leniwych – mówi.

Chmura DLA NIEKTÓRYCH

Rozmawiamy o godz. 14. Do tej pory Zosia zdążyła pojeździć samochodem z instruktorem nauki jazdy, bo właśnie robi kurs, pocięła się polskiego i zrobiła zadania z rozszerzonej matematyki. Jest zadowolona, bo dobrze jej poszły.

– Chciałam naukę podpasować pod siebie, zamiast iść jednym szlakiem razem z grupą prawie 40 osób w klasie – mówi. – I chciałam działać społecznie, a do tego potrzebny jest czas. Tutaj mogę nim zarządzać tak, jak chcę.

Zosia jest liderką projektu „FemiAutyzm”. – Z koleżankami zauważyłyśmy problem społeczny, sama jestem osobą neuroróżnorodną, to dlatego wybrałam takie działania, a nie na przykład skoki ze spadochronem.

Celem projektu jest edukacja i łamanie stereotypów na temat spektrum autyzmu u kobiet – tłumaczy. – Występujemy na konferencjach, edukujemy w mediach społecznościowych, mamy w zespole pedagogożki, psychożki, projekt zrobił się bardzo poważny. Ogarniam prace organizacyjne. Dzięki Szkole w Chmurze mogę przerzucić naukę na moment, który pasuje mi, a nie szkole.

Zosia wybrała nieczęsto spotykane w publicznym liceum rozszerzenia: biologię, chemię i matematykę. – Dużo pracy mnie czeka, dużo już zrobiłam – ocenia. – Na korepetycje nie chodzę. Korzystam z kursów maturalnych w Chmurze. W edukacji domowej musiałam się przyzwyczaić, że ster życia jest w moich rękach.

Nie ma lekcji, nie ma dzwonek, plan zajęć ustalają sama. Szkoła daje duże wsparcie, są psychologowie, można realizować kształcenie specjalne. Jest tu miejsce na indywidualizm, ale też nauczyłam się dyscypliny.



• **Tymek: Ta odpowiedzialność i samodyscyplina są dla mnie odpowiednie, bo ja po prostu lubię się uczyć**

Ucieczka ze szkoły w chmurę

Zamiast chodzić codziennie do szkoły na lekcje z klasą, wolą edukację domową. Uwalniają czas, mówią wszyscy, którzy o niej opowiadają, ci przypisani do Szkoły w Chmurze i ci spoza niej. Ale edukacja domowa nie jest dla wszystkich, tylko dla tych, którzy ten czas potrafią odpowiednio wykorzystać.

Zrobiła się popularna w czasie pandemii i zdalnych lekcji, gdy rodzice mieli okazję zajrzeć za kuliszy szkół publicznych. Wielu z nich postanowiło, że lepiej wziąć sprawy w swoje ręce i uczyć dzieci w domu.

Inni uciekli ze szkoły napędzani strachem o stan psychiczny dzieci, który w ostatnich latach znacząco się pogorszył. Nastolatki przekonywały rodziców na edukację domową, patrząc, jak dobrze się ma-

ją uwolnieni od szkolnych obowiązków rówieśnicy.

Przed zmianami w szkolnictwie wprowadzonymi od 2015 r. przez PiS edukacja domowa była sposobem na pozasystemową naukę dla kilku tysięcy rodzin. Na początek tego roku korzystało z niej już ponad 53 tys. dzieci i młodzieży. Ile jest teraz, dopiero się dowiemy, gdy szkoły uzupełnią dane, a resort edukacji je pozbiera.

Wciąż będzie to margines wszystkich uczniów szkół w Polsce. Nieco ponad 1 proc.

Rodzice mówią państwu: „Odczepcie się”

Nauczyciele Ola i Marcin Sawiccy, rodzice siedmiorga dzieci, to weterani edukacji domowej. W 2001 r. zamienili warszawski Żoliborz na Beskid Żywiecki. Prowadzą kilka

szkół na południu, m.in. w Koszarawie i Żywcu i jedną pod Warszawą, w Grodzisku Mazowieckim.

Pamiętają, jak niespełna 20 lat temu z edukacji domowej korzystało ok. 600 rodzin. W podcastach opowiadają, że wtedy nadawała styl życia całej rodzinie, była sposobem na codzienne funkcjonowanie.

– Z daleka było widać, że te rodziny są w edukacji domowej. To, co charakteryzowało rodziców, to „odczepcie się” – mówią.

Znaczy to tyle, że mieli pomysł na edukację, a jedyną rzeczą, której potrzebowali od państwa, było to, by państwo się od nich odczepiło, choć tak niegrzecznie tego nie artykułowali. – To ewoluowało, od „odczepcie się” do „co mi oferujecie” – uważa Marcin Sawicki.

Przed laty trzeba było takich szkół szukać. Dzisiaj same machają do nastolatków

i rodziców młodszych dzieci z Facebooka i Instagrama.

Bank rozbila Szkoła w Chmurze, największe centrum edukacji domowej w Polsce, skupiające większość uczniów, którzy realizują obowiązkową naukę poza szkołą. Jest tak popularna, że niektórzy myślą, że właściciel Chmury wymyślił edukację domową i że tylko w Chmurze można z niej skorzystać. Tak oczywiście nie jest.

Sposób na życie rodziców, dzieci i dziadków

I choć wiele się zmieniło, edukacja domowa bywa nadal sposobem na życie dla całych rodzin. Małgorzata Urbańska mieszka z mężem i trójką dzieci w Gdańsku, bardzo blisko dziadków, co nie jest bez znaczenia. Starsze dzieci: 13-letni syn i 10-letnia córka nigdy nie chodzili do szkoły, najmłodsza córka nigdy do niej nie pójdzie. Chyba że postanowią inaczej, gdy przyjdzie czas na samodzielne decyzje.

– To był wybór stylu życia i świadoma decyzja o zmianie. Chodziło nam o czas. O to, by spędzać go wspólnie jak najwięcej. Syn miał pójść do zerówki akurat wtedy, gdy byłam w ciąży. Trudno byłoby posłać go do przedszkola czy szkoły, gdy rodziła mu się jedna, potem druga siostra – opowiada Małgorzata.

Z zawodu jest anglistką, uczyła dzieci i dorosłych, zajmowała się tłumaczeniami. Mogła ograniczyć zajęcia i pracować dorywczo, by opiekować się dziećmi. – Zostałam kimś w roli głównej edukatorki. Moje wsparcie potrzebne było głównie na poziomie klas I-III.

Edukacja domowa nie oznacza zamknięcia w domu i odizolowania od innych dzieci. Urbańscy razem z grupą rodziców korzystają z odpłatnych usług zaprzyjaźnionego laboratorium. Instruktorzy z odpowiednimi uprawnieniami, w dobrze wyposażonych salach wprowadzają dzieci w świat nauk przyrodniczych, a to wszystko w bardzo atrakcyjnej formie.

– Dzieci mają fartuchy, gogle, dostają odczynniki – opisuje Małgorzata. – Chemia dla nich to już nie tylko wzór na papierze, to praktyka. Mąż poświęca czas na pomaganie dzieciom w matematyce, a synowi w fizyce, choć pracuje, a po godzinach buduje nasz nowy wymarzony dom.

Dziadek jest z wykształcenia chemikiem, babcia ekonomistką, i też potrafią wyjaśnić różne rzeczy dzieciom. Moja mama jest stomatologiem, więc może zapewnić wsparcie z biologii, przyrody, a tata, nauczyciel akademicki, to pasjonat astronomii, i tu także możemy na na niego liczyć.

Jesteśmy dość uprzywilejowani. Są zasoby, jest kapitał rodzinny, kulturowy, wiele nam to ułatwia. Mamy środki na zajęcia dodatkowe: laboratoria, basen, wspinałkę, trampolinę dla młodszych córek. Jak dzieci chcą lepić z gliny, szukamy zajęć z ceramiki, jeśli chcą teatralnych, znajdujemy zajęcia teatralne. Mamy na to czas, jeśli tylko nie ma przeszkód finansowych, organizujemy dzieciom takie zajęcia, jakie je interesują.

Małgorzata Urbańska mówi, że razem z mężem dążą do tego, żeby dzieci wzięły na siebie 100 proc. odpowiedzialności za naukę. To przychodzi z wiekiem i z czasem.

– Kiedy zaczynaliśmy edukację domową, wiele osób dziwiło się, że tak można. Były pytania, co dzieci cały czas robią. A ostatnio, jak o tym słyszą, to mówią: „aha, to jesteście w Chmurze”. Nie jesteśmy w Chmurze, korzystamy ze wsparcia lokalnej szkoły przyjaznej edukacji domowej – mówi Małgorzata Urbańska.

Spełnione marzenia Tymka ze Szczecinka

W Chmurze są dwaj synowie Anny Gliszczyńskiej. I ona sama. Od września jest dyrektorką Szkoły w Chmurze. – Trzeba mówić o tym, dla kogo jest edukacja domowa, bo na pewno nie dla każdego – stwierdza.

Na pewno jest dla jej synów: przyszłorocznego maturzysty i 13-latkę w podsta-

wówce. – Jest bardzo zdolny, to wybitny umysł, już w końcówce podstawówki szukał intensywnie innych form edukacji niż te dostępne w Polsce – mówi o starszym synu. – Stwierdził, że fizyczna obecność w szkole powoduje, że traci czas.

Przed 15. urodzinami miał wyjechać do szkoły w USA, gdzie przepisy narzucają absolutne minimum, a fakultety pozwalają rozwijać zainteresowania, ale plany pokrzyżowała pandemia.

Wtedy syn Anny Gliszczyńskiej odkrył Szkołę w Chmurze. Jako stypendysta Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci dostał bezpłatny dostęp do platformy edukacyjnej Chmury.

– Potem był szybki kurs, co to takiego edukacja domowa. W tym czasie młodszy syn przestał chodzić do szkoły z powodu pandemii, lekcji online jeszcze nie było i okazało się, że materiały, które dostawał ze szkoły do zrobienia w tydzień, robił w kilka godzin.

Zapadła decyzja, że skoro duży zaczyna edukację domową, to i mały też. Pracowałam zawodowo, a Chmura miała platformę z podstawą programową. Nie musiałam szukać, miałam gotowiec. Okazało się szybko, że mogę godzić pracę z alternatywną edukacją.

Młodszy syn wymagał współtowarzyszenia, a starszy uczył się samodzielnie. Chłopaki mieli już na początku pomysł, co zrobić z czasem.

Uwolniony od szkoły Tymek mógł swobodnie korzystać z zajęć w szkole muzycznej, chodzić na treningi sportowe i działać w harcerstwie. I miał czas na spacery po lesie w ciągu dnia. – Wrócił w nim taki ciekawy przedszkolak, z chęcią odkrywania. Zniknęła postawa wyczekiwania na odpowiedzi od dorosłych – opowiada Anna Gliszczyńska.

– Starszy syn mógł się wypaść. W ósmej klasie przeczytał najwięcej książek niż kiedykolwiek później. Czytał to, co chciał czytać. Uczył się o sobie i o tym, jak się uczyć. Poznał język programowania, na który nie miał w szkole czasu. Chłopcy bez naszego kija idą w edukację. Starszy perfekcyjnie opanował angielski, mały też mówi biegle.

Po pięciu latach w Chmurze mamy w domu maturzystę, który doszedł do tego, że jednak zostaje w Polsce, będzie tu studiował medycynę.

Młodszy z synów też dobrze wie, czego chce, choć ma dopiero 13 lat. Marzy o tym, by zostać aktorem, a największe marzenie Tymka to dostać Oscara.

– Szkoła w Chmurze przede wszystkim uwolniła mój czas – mówi jak dorosły w nagraniu, które przygotował specjalnie dla „Gazety Wyborczej”. Trudno nam się złapać z rozmową, bo uwolniony czas nie służy bezczynności. – Dla mnie to jest idealne, bo jestem człowiekiem renesansu można by powiedzieć.

Tymek zaczął występować przed kamerą niedługo po tym, jak przeszedł do edukacji domowej. Gra w filmach, serialach, reklamach, pojawia się w „Pytaniu o śniadanie” w TVP. Wystąpił na scenie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w operze „Peter Grimes”, którą wyreżyserował Mariusz Treliński.

Chodzi na akrobatykę i boks, ma czas na wrześniowy wyjazd do Holandii z drużyną harcerską, na spotkania z posłami. Zrobił wrażenie, gdy przyszedł do Sejmu na posiedzenie zespołu ds. edukacji domowej z książką. Gdy były nudy, czytał, a kiedy trzeba było zabrać głos, odważnie mówił.

– Pokazał, że będąc małym chłopcem z małego miasta, można spełniać marzenia – mówi mama. Rodzina pochodzi ze Szczecinka, ostatnio przeniosła się do Warszawy.

– Ta odpowiedzialność i samodyscyplina są dla mnie odpowiednie, bo ja po prostu lubię się uczyć – wyjaśnia Tymek.

Cień szkoły online

Nie wszyscy są w stanie odpowiedzialność udźwignąć. Nie wszyscy tego chcą. Marcin



• **Zosia: Wcześniej bałam się dorosłości. Ale już przeszłam to rzucenie się na głęboką wodę i radzenie sobie samodzielnie**

Sawicki opowiada w jednym z podcastów, że spotyka licealistów, dla których edukacja domowa to sposób na kontestowanie systemu i zaistnienie w grupie rówieśniczej.

Jak zapewnia Anna Gliszczyńska, większość z ok. 28 tys. rodzin w Szkole w Chmurze jest świadoma odpowiedzialności i konsekwencji wolności od systemowej szkoły.

– Szkoła tak się rozwinęła, ponieważ otworzyła drzwi do różnych możliwości dzieciom i młodzieży z całej Polski, z małych miasteczek i wsi. Potrafi szeroko zapiekiować młodego człowieka.

Rysowanie, pisanie, budowanie z klocków Lego, poznawanie siebie, praca z emocjami, nauka efektywnej nauki, kurs dla ósmoklasistów, kurs maturalny, coś o ptakach, coś o Chinach. Nawet niszowe zajęcia stały się dostępne dla kogoś, kto jest bardzo daleko, w małym mieście czy na wsi – mówi Anna Gliszczyńska, już jako dyrektorka Szkoły w Chmurze. – To wszystko jest u nas, ale ponieważ w edukacji domowej stawiamy na wybór, to skorzystasz z tego albo nie skorzystasz.

To dlatego edukacja domowa jest dla tych, którzy dokonają świadomego wyboru. Którym się chce. – To rodzic przejmuje całkowitą odpowiedzialność za naukę, a szkoła daje narzędzia i pomaga.

Na model Szkoły w Chmurze często kładzie się cień szkoły online, ale to nie jest tak, że z okienka komputera wyskakuje od rana nauczyciel jeden za drugim i prowadzi lekcje. Rodzice biorą obowiązek nauki dziecka na siebie, muszą oświadczyć, że stworzą warunki do realizowania podstawy programowej i złożenia egzaminów przez dziecko.

Chodzi o egzaminy klasyfikacyjne, obowiązując ze wszystkich przedmiotów, jakie uczniowie mają w poszczególnych klasach i szkołach. Są podstawą do wystawienia ocen na świadectwie. Wiele opinii o Szkole w Chmurze mówi, że tu akurat egzaminy łatwo zdać. Ale nie wszyscy zdają.

Z daleka było widać, że te rodziny są w edukacji domowej. To, co charakteryzowało rodziców, to: „odczepcie się”

Jak ktoś nie zda trzech egzaminów, nie ma prawa do poprawki i do edukacji domowej. W tym roku takich przypadków było parę setek, więcej niż jedna średniej wielkości szkoła. Cofnęliśmy tym uczniom zgodę na edukację domową, musieli wrócić do szkół systemowych – opowiada dyr. Gliszczyńska.

Artyści i samotnicy

Wśród uczennic i uczniów, dla których jest edukacja domowa, wymienia osoby wybitne. Zwłaszcza te, które mocno chcą realizować się w wybranej dziedzinie nauki i nie chcą, by nauczyciele szkolni im przeszkadzali, wymagając od nich „szóstek ze wszystkiego”.

Odnajdują się w niej osoby, którym pasja pochłania mnóstwo czasu i trudno ją pogodzić z codziennym planem lekcji. Młodzi muzycy, wokaliści, aktorzy, sportowcy. Jak Maja Krzyżewska z małej wsi na Suwalszczyźnie, która przeniosła się do Szkoły w Chmurze, by połączyć naukę z przygotowaniem do konkursu Eurovizja Junior.

Albo biegaczka Anastazja Kuś, najmłodsza polska zawodniczka na tegorocznej olimpiadzie w Paryżu, czy Iga Wysockańska, kulomiotka z sukcesami z Chojny w Zachodniopomorskiem.

Kolejni na liście są młodzi ludzie, którzy prowadzą swoje firmy, zarabiają, i tacy, którzy są zaangażowani społecznie. – Biorą udział w konferencjach, dużo jeżdżą po Polsce. Nie muszą wybierać: jechać czy zostać, bo jest sprawdzian do zaliczenia – opowiada Anna Gliszczyńska. – Jest też grupa uczniów z różnego rodzaju problemami natury psychicznej.

Z niedostosowaniem społecznym, spektrum autyzmu, z deficytami, tacy, którzy przyszli do Chmury na jakiś czas, żeby odzyskać spokój. I też tacy, którzy nie mają żadnych „dys”: dysleksji, dysgrafii itd., po prostu potrzebują pracować w swoim rytmie i tempie.

I wreszcie samotnicy, którzy dzięki edukacji domowej nie są skazani na to, żeby codziennie być w tłumie.

Na tych, którzy wolą uczyć się w pojedynkę zamiast w klasie pełnej ludzi, zwraca też uwagę małżeństwo Sawickich. Mówią nawet o dorosłych samotnikach, którzy żalują, że kiedy chodzili do szkoły, nie było opcji edukacji domowej.

– Oczywiście słyszymy często opinie, że „szkoła w chmurze, studia w chmurze, a potem co, praca w chmurze?” – opowiada Gliszczyńska. – I że uczniowie w edukacji domowej są aspołeczni. Nie wyjmujemy młodych ludzi ze społeczeństwa, wręcz przeciwnie, najlepiej odnajdą się u nas ci, którzy mają poczucie sprawstwa, biorą odpowiedzialność i coś dla tego społeczeństwa chcą zrobić. Szkoła jest dla większości, a edukacja domowa dla niektórych.

Ministerstwo chce przykręcić śrubę

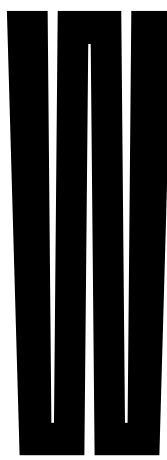
A jak wypadają uczniowie z Chmury na egzaminach? W głównym terminie maturę zdało prawie 75 proc. absolwentów Liceum w Chmurze. Średnia krajowa wygląda inaczej: egzaminu nie zdało 11,4 proc. absolwentów liceów i 16 proc. wszystkich maturzystów (w liceach i technikach).

Szkoła w Chmurze powtarza stale, że nie powstała dla wyników. Gdy zapytała swoich maturzystów o maturę, zaledwie 40 proc. z nich zadeklarowało, że wiąże sukces zawodowy z jej wynikiem. 82 proc. odpowiedziało, że chce, by wynik był dobry, ale dla każdego dobry wynik oznaczał inną wartość procentową.

Egzaminu ósmoklasisty nie można oblać. Średni wynik w Chmurze jest niższy od średniej krajowej z egzaminu z języka polskiego (50,7 proc. do 61 proc.) oraz matematyki (36 proc. do 57 proc.). Angielski poszedł lepiej (71 proc. do 66 proc.).

Wyniki zirytowały Ministerstwo Edukacji Narodowej, które zapowiedziało kontrolę w szkole. To oburzyło z kolei środowisko edukacji domowej, która obawia się „przykręcenia śruby”. ●

Mateusz Mazzini



Wiedeń, kwiecień 2022. Rosyjskie wojska wdzierają się coraz głębiej w terytorium Ukrainy, ale wiadomo już, że plan Putina „Zdobędę Kijów w cztery dni” się nie uda. Do Ukraińców płyną dolary, euro, funty i deklaracje politycznego wsparcia, które wkrótce przejdą w regularne dostawy broni. Jednocześnie europejscy politycy, zmuszeni przez presję własnej opinii publicznej, jeden po drugim biją się w piersi. Na różne sposoby odmieniają hasło, że „byli głupi”. Dali się nabrać, uwierzyli, że handel i wolny rynek wymuszają demokra-

tyzację Rosji.

W ślad za deklaracjami idą pierwsze sankcje, 1 marca Unia Europejska, Kanada, USA i Wielka Brytania odcinają siedem rosyjskich banków od międzynarodowego systemu transakcyjnego SWIFT. Europa zaczyna dywersyfikować źródła energii, politycy pielgrzymują do bliskowschodnich autokratów, których ropa i gaz mają zastąpić surowce Kremla. Sam Putin, podobnie jak szef jego dyplomacji Siergiej Ławrow, stają się persona non grata na Zachodzie. Wydaje się, że z europejskiego punktu widzenia Rosja jest już pariasem.

Z Wiednia widok jest jednak inny.

Gdy inni europejscy przywódcy licytują się na zdjęcia w hełmach i kamizelkach kuloodpornych z bombardowanego Kijowa, kanclerz chadek Karl Nehammer z centroprawicowej Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP) wybiera inny kierunek. Jako pierwszy po inwazji europejski polityk najwyższego szczebla leci z wizytą do Moskwy – w dodatku nie mówi o tym ani prezydentowi, ani swojemu zastępcy. Spotyka się na Kremlu z Putinem, bo jest przekonany, że będzie w stanie namówić go do zawieszenia broni. Uważa, że zachował się, jak należy – powiedział, dyktatorowi że „moralnie” Rosja wojnę już przegrała.

To kluczowy termin w austriackiej terminologii dyplomatycznej – zanim zaczniesz mówić o pokoju, najpierw trzeba wstrzymać ogień. Tej samej retoryki dwa lata później zaczyna używać Viktor Orbán, czołowy sabotażysta unijnych działań wspierających Ukrainę.

Nehammer przekonując, że osobista rozmowa z Putinem jest jego obowiązkiem, odwołuje się do pacyfistycznej filozofii, na której opiera się współczesna austriacka państwowość. Kraj od 1955 r. ma formalnie status neutralnego, niezaangażowanie wpisane jest w konstytucję federalną. Był to jeden z najważniejszych warunków zakończenia powojennej okupacji kraju.

Austria podzielona była na cztery strefy wpływów, kontrolowane przez Francuzów, Amerykanów, Brytyjczyków i przede wszystkim Sowieców. Dla Moskwy nie do przyjęcia było, żeby w samym centrum Europy powstał demokratyczny kraj, aktywnie funkcjonujący w strukturach Zachodu. Austria mogła być suwerenna tylko jako kraj na marginesie wielkiej polityki międzynarodowej. Do Unii Europejskiej dołączy dopiero w 1995 r. W tym samym roku nawiąże pierwsze formalne stosunki z NATO, przyłączając się do programu Partnerstwo dla Pokoju. Pełnowymiarowym członkiem Sojuszu nie jest do dzisiaj, choć austriaccy wojskowi pracują w jego strukturach, uczestniczą też w operacjach pokojowych ONZ.

Neutralny status pozwolił Austriakom przekształcić stolicę w główny ośrodek powojennej dyplomacji multilateralnej. W zależności od tego, jaką definicję organizacji międzynarodowej przyjąć, w Wiedniu swoją siedzibę ma ich pomiędzy 40 a 50. Wliczają się w to potężne instytucje, jak Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (IAEA), Organizacja Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC) czy Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OSCE). Wiedeń jest też jednym z czterech głównych miast goszczących siedziby ONZ, przy okazji obsługując całą masę mniejszych podmiotów z ekosystemu Narodów Zjednoczonych. Wreszcie – to serce wielu działań pozarządowych, tutaj mieszczą się siedziby Rotary International i Worldwide Fund for Nature (WWF).

Większość z tych instytucji ulokowała się na terenie Vienna International Center, imponującego kompleksu biurowego położonego w centrum, blisko naddunajskich parków. Otwarto go w sierpniu 1979 r., kilka lat później dołożono kolejny biurowiec, Austria Center, bo organizacji przybywało z każdym rokiem, dyplomaci

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



W niedzielę wybory parlamentarne w Austrii

OKRAKIEM JEST WYGOD

Zapytałem austriackiego ministra spraw zagranicznych, jak długo jeszcze będzie wpuszczał do swojego kraju rosyjskich urzędników i dyplomatów

przestali się mieścić. Samo ONZ zatrudnia w stolicy Austrii 4,5 tys. osób. Łącznie liczba pracowników organizacji międzynarodowych, spośród których wielu ma paszporty dyplomatyczne i immunitety, wynosi około 13 tys. W tej grupie do dzisiaj jest cała masa obywateli Federacji Rosyjskiej.

Po rosyjskim najeździe Austriacy teoretycznie stanęli po właściwej stronie historii. Nehammer potępił Kreml, wsparł Kijów, nie protestował, kiedy Unia zaczęła nakładać sankcje na Rosję. Na Ukrainę płynie pomoc finansowa i humanitarna, bilateralna i w ramach międzynarodowych pakietów. Militarne Wiedeń Kijowa sam z siebie wesprzeć nie może, bo naruszyłby własną neutralność – ale przynajmniej daje pieniądze.

Mogłoby jednak być zdecydowanie lepiej. Według danych Instytutu do spraw Ekonomii Światowej w Kilonii, prowadzącego najdokładniejszy publicznie dostępny monitoring pomocy dla Ukrainy, Austria na tle innych krajów wypada bardzo błado. Całkowite przekazane wsparcie daje sumę 788 mln euro, co ustawia Wiedeń dopiero na 18. miejscu na świecie. Jeśli mierzyć tę kwotę jako odsetek krajowego

PKB, Austriacy spadają jeszcze niżej, na 22. miejsce (0,18 proc. PKB). Prawie cała pomoc ma formę czysto finansową, przesyłki humanitarne miały wartość jedynie 80 mln euro. Wsparcie wojskowe jest symboliczne, widnieje w statystykach tylko dlatego, że Austria jest członkiem Unii, więc dorzuca się do wspólnotowych projektów. W minimalnym stopniu, zaledwie 3 mln euro.

A pod spodem, w zakulisowych rozmowach i na płaszczyźnie biznesowej, Austriacy wciąż żywią do Rosjan całą masę ciepłych uczuć. Rosyjskie surowce naturalnie płynęły do Austrii nawet wtedy, kiedy odcięli się od nich Niemcy – a to przecież Berlin zbierał od reszty Europy ciosy za bycie głównym koniem trojańskim Putina. Austriackie banki bardzo długo odmawiały wycofania się z rosyjskiego rynku. Tamtejsi bankierzy byli tak zdeterminowani, że w pewnym momencie obsługiwali większość zachodnich firm, które zdecydowały się pozostać w Rosji.

Ta zażyłość ma korzenie w czasach powojennych, a wzmacniała się przez dekady. Zaraz po zakończeniu dziesięcioletniej okupacji Moskwa była z punktu widzenia Wiednia wyłącznie wrogiem. Kiedy w 1956 r. sowieckie czołgi niszczyły węgierskie powstanie przeciwko komunistycznej dyktaturze ter-



NIE

roru, Austria ostro krytykowała atak na Budapeszt i przyjęła węgierskich uchodźców.

Ale tamtejsze elity szybko zaczęły zmieniać zdanie, głównie ze strachu. W Wiedniu zaczęto realnie brać pod uwagę radziecką inwazję – w końcu wojska Układu Warszawskiego stacjonowały tuż obok, za czechosłowacką granicą. Rząd stworzył nawet awaryjny plan przeniesienia stolicy dalej na zachód, gdyby Sowieci wkroczyli. Jednocześnie odkrył, że bliskość bloku wschodniego i stare społeczno-kulturalno-mentalne więzi z czasów imperium Habsburgów pozwalają na robienie interesów po drugiej stronie żelaznej kurtyny.

Pierwszy kontrakt na dostawę gazu z ZSRR do Austrii przez Czechosłowację podpisano 1 czerwca 1968 roku. Kiedy więc trzy miesiące później sowieckie czołgi znowu tłumiły powstanie, tym razem w Pradze, austriacka reakcja była już zdecydowanie cichsza. Jak na łamach POLITICO podsumował tę historię Matthew Karnitschnig, Austria zrozumiała, że neutralność „jest dobra dla biznesu i da im bezpieczeństwo”.

O skali powiązań austriackich podmiotów z Rosją nikt w Wiedniu dzisiaj nie chce jednak głośno mówić. Politycy zasłaniają się doktryną neutralności, opowiadają okrągłe formułki o oddzieleniu biznesu od polityki. Podkreślają, że banki to niezależne komercyjne instytucje, które mogą robić, co chcą. Ropa, gaz, dolary i euro płyną więc niezakłócone. Kolejne bombardowania ukraińskich miast, rosyjskiej zbrodnie wojenne w Buczy czy machanie przez Putina nuklearną szabelką nic w tej kwestii nie zmieniają.

▲ **24.02.2024, Wiedeń, Heldenplatz przed pałacem Hofburg. Demonstracja w drugą rocznicę inwazji rosyjskiej na Ukrainę.**

FOT. GEORG HOCHMUTH/AFP/EA
ST NEWS

Raiffeisen Bank International ma więcej aktywów w Rosji niż wszystkie inne zagraniczne banki razem wzięte, zaraz po włoskim UniCredit

Wiedeń, maj 2023. Wojna trwa już ponad rok, kiedy do austriackiej stolicy zjeżdżają wiodący europejscy i światowi intelektualiści. ERSTE Foundation, stworzona przy ERSTE Bank, największą instytucję finansową w kraju, organizuje konferencję o enigmatycznym tytule „Time to Decide Europe”. Wszystko odbywa się z ogromnym rozmachem w wiedeńskim kampusie banku. To potężny, bardzo nowoczesny kompleks biurowy – bankowcy banku mijają się tu z ludźmi z fundacji zaangażowanej w dziesiątki inicjatyw rozwojowych. Głównie na Bałkanach, gdzie ERSTE sponsoruje stypendia dziennikarskie i programy dziennikarstwa śledczego. Kilka lat temu rozszerzyła działania o Polskę – sam byłem dwukrotnym stypendystą ERSTE, pracując nad tekstami o polskiej skrajnej prawicy i rosyjskich agentach wpływu działających w naszym kraju.

Miejska legenda głosi, że obecność ERSTE na Bałkanach nie wynika tylko z optyki biznesowej. Oczywiście to obszar bardzo ważny gospodarczo, Wiedeń z racji położenia i historycznych zaszłości trzyma rękę na pulsie wszystkiego, co dzieje się na bałkańskich rynkach wewnętrznych, ale jest też w tej historii aspekt polityczny. Otóż bank ten ma silne XIX-wieczne korzenie społecznikowskie, w początkowym okresie działalności był, jak wiele wówczas mu podobnych instytucji w całej Europie, wspólnotową kasą oszczędnościowo-pożyczkową. Wraz z upadkiem Żelaznej Kurtyny i triumfem neoliberalizmu odszedł, jak wszyscy od tego etosu, ale po latach do niego wrócił. Na ulokowanie wsparcia w Polsce, na Węgrzech czy w innych krajach regionu było już za późno, wcześniej ten teren zarezerwowali sobie Amerykanie, byli tu też już fundusze europejskie. Zostały więc Bałkany, gdzie ERSTE Foundation jest bardzo ważnym graczem.

Na majową konferencję zjeżdżają tuzy europejskiego dialogu intelektualnego. Jest Iwan Krastew, dyżurny diagnosta problemów kontynentu, i prof. Jan-Werner Müller, niemiecki politolog z Princeton University, jeden z najważniejszych na świecie specjalistów od populizmu. Są eksperci od zmian klimatycznych, którzy nie patyczkują się z wielkim biznesem, a także byli i obecni dyplomaci. Wydarzenie ma miejsce tuż po wyborach prezydenckich w Turcji, gdzie znowu wygrał Erdogan – marsz autokratów po władzę jest więc jednym z głównych tematów rozmów.

Dyskusja prowadzona jest mocno niestandardowo, prawie wszyscy paneliści występują na scenie jednocześnie. Robi to spore wrażenie, bo sala na kampusie ERSTE wygląda jak centrum rozrywki multimedialnych. Ogromne ekrany, transmisja na żywo, różnorodnie oświetlenie, kilkanaście kamer, charakterystorki robiące za kulisami makijaż prelektentom. Nie wszyscy wśród publiczności podzielają jednak ekscytację od organizatorów.

Bo rosyjskie surowce dalej trafiają na austriacki rynek. Tamtejsze banki wciąż realizują transakcje rosyjskich podmiotów. Austriacy bez wyrzutów sumienia wpuszczają do siebie rosyjskich dyplomatów i urzędników państwowych, którzy co chwilę uczestniczą w jakiejś konferencji międzynarodowej w ich stolicy.

Zwłaszcza to zaczyna coraz bardziej denerwować polityków z innych krajów europejskich, ale też społeczeństwo obywatelskie. Mnożą się apele, by jednak Rosjan z Wiednia wyrzucić, nawet ze względów bezpieczeństwa – szpiegowanie pod przykrywką pracy dla organizacji multilateralnych to znana jeszcze z czasów sowieckich metoda wywiadowcza.

Austriacy w odpowiedzi rozkładają bezradnie ręce, powołując się na prawo międzynarodowe. Mówią, że muszą tych obywateli Rosji wpuszczać, tak nakazują konwencje. I o co w ogóle chodzi, są fair, przecież krytykują tych samych Rosjan za łamanie każdej

możliwej regulacji międzynarodowej po lutym 2022. Ale dla wielu w Europie postawa Wiednia to po prostu tchórzostwo i hipokryzja.

Przemówienie otwierające wygłasza Alexander Schallenberg, austriacki minister spraw zagranicznych. Mówi lakonicznie i konkretnie. Rosja zła, Ukraina dobra, Zachód musi być zjednoczony, autokraci rosną w siłę, trzeba dbać o klimat, mamy wyzwania przed sobą, zmobilizujmy się. Kończy, a kilkanaście minut później moderatorzy zapraszają publiczność do zadawania pytań. Podnoszę rękę, przedstawiam się. Pytam Schallenberga wprost, jaka jest polityka Austrii wobec Rosji. I jak długo będzie wpuszczał do swojego kraju rosyjskich urzędników i dyplomatów. Wszak większość europejskich krajów już ich wyrzuciła, a Austria – wręcz przeciwnie. Według informacji „The Financial Times”, w czerwcu 2023 r. w kraju przebywało i pracowało 180 przedstawicieli rządu Federacji Rosyjskiej.

Austria zasłania się prawem międzynarodowym, lecz Unia Europejska niemal w pierwszych dniach inwazji na Ukrainę zmieniła przepisy obowiązujące rosyjskich dyplomatów. Już w lutym wycofano wszystkie przywileje podróżne i skróconą ścieżkę otrzymywania wiz Schengen dla pochodzących z Rosji biznesmenów, urzędników i pracowników korpusu dyplomatycznego. We wrześniu 2022 r. Rada Europejska całkowicie zawiesiła porozumienie o ułatwieniach wizowych pomiędzy Unią i Rosją. W efekcie rosyjscy dyplomaci w większości przypadków nie mogą już swobodnie jeździć po krajach Wspólnoty – muszą za każdym razem przejść normalną procedurę wizową.

Innymi słowy decyzja, czy ich wpuścić, należy do rządów państw członkowskich. Gdyby więc Austriacy bardzo chcieli, mogliby ich wszystkich zatrzymać na granicy.

Tymczasem Rosjanie latają do Wiednia, jak i kiedy chcą. Niedawno wyszło na jaw, że w Austrii byłwał Michaił Szwydkoj, bardzo bliski Putinowi urzędnik wysokiego szczebla, odpowiedzialny za dyplomację kulturalną. „Specjalny Wysłannik Prezydenta Federacji Rosyjskiej do spraw Międzynarodowej Współpracy w zakresie Kultury”, jak ma napisane na wizytówce, pracuje ostatnio nad zbliżeniem instytucji kultury z Rosji i Chin i często podróżuje właśnie do Państwa Środka. Oraz jest – prawdopodobnie – najwyższej postawionym rosyjskim politykiem, który podczas wojny odbył podróż do strefy Schengen.

Austriacy wytłumaczyli wściekłym dziennikarzom, że Szwydkoj został przepuszczony przez granicę, bo miał ważną wizę. A dostał ją, bo jego nazwisko nie widnieje na unijnej liście sankcyjnej. Nikomu w Wiedniu nie przyszło wtedy do głowy, że wysoki kremlowski urzędnik, który nawet w nazwie swojego stanowiska ma napisane, że pracuje z Putinem, nie musi być na jakiegokolwiek liście, żeby stanowić zagrożenie dla Austrii i Europy.

Pytam więc Schallenberga, ile jeszcze austriacki rząd zamierza udawać, że Rosjan wcale nie lubi. Ale nie otrzymuję odpowiedzi. Moderatorzy zignorują moje pytanie, podobnie jak inne pod adresem ministra.

Później, w kularach, przy kawie, zaczepia mnie młoda kobieta. Przedstawia się, pracuje dla austriackiego rządu. Prosi, żeby absolutnie nie cytować jej pod nazwiskiem. Uśmiecha się i mówi: – Dziękuję ci bardzo za to pytanie, naprawdę. Trzeba ich prowokować, to są bardzo ważne kwestie. Ale nie lic, że którekolwiek ci odpowie. To jest Austria, tu politycy uciekają od trudnych tematów.

Takie komentarze usłyszę jeszcze od kilku osób. Podobną opinię wyrazi też Stefan Lehne, w latach 2009–2011 dyrektor generalny ds. politycznych w austriackim MSZ, dziś senior fellow w Carnegie Europe, jednym z ważniejszych think-tanków zachodniego

świata. Umawiamy się na rozmowę w przerwie pomiędzy panelami – i od razu pytam go, jak naprawdę wygląda sytuacja w Austrii.

Wnioski, które mi przedstawia, w dużej mierze pokrywają się z zewnętrzną percepcją austriackiej strategii międzynarodowej. Wiedeńskim politykom po prostu wygodnie jest siedzieć okrakiem na barykadzie i nie widząc powodu, żeby rezygnować ze sprawdzonej sztuczki, skoro przez dekady akceptowała to cała reszta kontynentu. Dziesiątki organizacji międzynarodowych, pewnego rodzaju eksterytorialność, legenda Wiednia jako światowej stolicy szpiegostwa – nie zawsze w tych historiach prawda musiała dominować, ale pomagały budować wizerunek kraju, który jest uprzejmy wobec wszystkich, poprawny, zachowawczy, owszem, realizuje własne interesy, nawet jeśli idą one w poprzek politycznych deklaracji, ale nie wtrąca się w cudze sprawy i pomaga realizować je innym.

Przecież nawet z wrogiem, tym czy innym, trzeba gdzieś rozmawiać i jakoś robić interesy, prawda?

– Czy w ogóle to możliwe, żeby Austria porzuciła neutralność? – pytam nad kawą w bankowej stolówce.

– Co ty, zapomnij – Lehne patrzy na mnie z uśmiechem pełnym politowania i macha ręką.

– Aż tak? Przecież mamy wojnę w Europie. I to regularną, a nie szpiegowską, Rosjanie mordują cywilów, bombardują miasta. A świat, Europa, wyglądają jednak inaczej niż w czasach Zimnej Wojny.

– Niemożliwe, żebyśmy odrzucili status państwa neutralnego – odpowiada dyplomata, już z poważniejszym wyrazem twarzy. – Po pierwsze, trzeba by zmienić konstytucję, a nikt nie ma tyle kapitału politycznego, żeby to zrobić. Po drugie – neutralność to część naszej tożsamości narodowej. Wbrew pozorom przepracowaliśmy swoją historię z II wojny światowej, mamy jako naród spory lęk przed militaryzacją. To dlatego nie przekonasz Austriaków do tego, żeby wysłali sprzęt wojskowy na jakąkolwiek linię frontu. Zresztą ja nie rozumiem tak do końca, czemu wszyscy czepiają się akurat Austrii. Taka Irlandia też przecież nie jest w NATO, nie bierze udziału w operacjach militarnych, trzyma się doktryny neutralności. A nikt ich za to nie krytykuje.

Alpbach, sierpień 2024. Z organizowania konferencji o polityce zagranicznej Austriacy zrobili fundament swojej międzynarodowej miękkiej siły. W europejski kalendarz ekspercki wcisnęli sporo takich regularnych wydarzeń. Jednym z ważniejszych nich jest Europejskie Forum w Alpbach – malutkiej, malowniczej miejscowości w Alpach Tyrolskich.

Co roku do imponującego, wykutego w zboczu wzgórza centrum konferencyjnego zjeżdżają się dyplomaci, eksperci i setki studentów z całego świata, żeby dyskutować o przyszłości kontynentu. Cała przypominająca nieco festiwal impreza trwa prawie dwa tygodnie, poszczególne dni poświęcone są konkretnym tematami. Ponieważ to dla rządu Austrii wydarzenie flagowe, pojawia się tu lokalna pierwsza liga polityków, ekspertów i dziennikarzy. Są ministrowie i najwyżsi rangą dowódcy. Jednym z najważniejszych partnerów jest oczywiście ERSTE Bank.

Tegoroczna edycja jest o tyle ciekawa, że odbywa się miesiąc przed wyborami parlamentarnymi.

Europa na to głosowanie, zaplanowane na niedzielę 29 września, patrzy z niepokojem. Od grudnia 2022 (dane za serwisem POLITICO Poll of Polls) nieprzerwanie w sondażach prowadzi Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ), prawicowo-populistyczne i mocno eurosceptyczne ugrupowanie pod przewodnictwem Herberta Kickla. To z niego wywodził się Jörg Haider, jeden z najbardziej kontrowersyjnych europejskich polityków końcówki XX wieku. Protoplasta dzisiejszych prawicowych radykałów, był oskarżany o antysemityzm i sympatie nazistowskie. Podejrzewano go także o przyjmowanie milionów dolarów od szalowych dyktatorów świata, w tym Kaddafiego i Saddama Husajna.

W jego karierze znaleźć można całe mnóstwo wątków pozwalających wytłumaczyć późniejszy triumf populistów w Europie. Haider był pierwszym austriackim politykiem, który postawił na nowoczesny prawicowo-ludowy populizm. Mówił o narodowym wstawianiu z kolan, nie wstydził się swojej neonazistowskiej przeszłości, stylizował się na trybuna ludowego, obrońcę społeczeństwa przed elitami. Mocno uderzał też w Unię Europejską. Tak mocno, że kiedy jego partia weszła do koalicji rządzącej kanclerza Wolfganga Schüssela, dla reszty Europy, wciąż jeszcze wierzącej, że tryumf liberalnej demokracji po 1989 roku jest ostateczny, był to taki szok, że wszy-

Neutralność z przechyłem na wschód

180

przedstawicieli rządu Federacji Rosyjskiej przebywało i pracowało w czerwcu 2023 w Austrii

26 proc.

Austriaków deklaruje poparcie dla antyimigranc-kiej i otwarcie prorosyjskiej FPÖ

56 proc.

austriackich firm, które działały w Rosji przed atakiem na Ukrainę, wciąż tam pozostaje

98 proc.

konsumpcji gazu w Austrii w grudniu 2023 zaspokajał surowiec kupiony od Rosji

Tylko

788 mln euro

wynosi całe wsparcie Austrii dla Ukrainy

tycznym zawieszeniu Austrii we Wspólnocie. Przez osiem miesięcy relacje Wiednia z Brukselą były czysto administracyjne, choć Haider nie był nawet członkiem rządu.

Haider zginął w 2008 r. w wypadku samochodowym, ale partia utrzymała jego populistyczny, alt-rightowy kurs – by posłużyć się zwężłym, wszystko mówiącym terminem zza oceanu. FPÖ jest jedną z trzech, obok Fideszu i czeskiego ANO eks-premiera Andreja Babiša, partii założycielskich europarlamentarnej frakcji Patrioci dla Europy. To autorski projekt Orbána, mający przełamać jego izolację na arenie międzynarodowej i pomóc zbudować silny blok wotujący liberalne inicjatywy na forum Rady Europejskiej. Inauguracyjny zjazd projektu odbył się, a jakże, w Wiedniu.

W tej chwili poparcie dla antyimigranc-kiej i otwarcie prorosyjskiej FPÖ deklaruje 26 proc. Austriaków. Dopiero co już raz wygrali – w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego zdobyli 1 punkt procentowy mniej. Politycy tej partii od ponad dwóch lat przy każdej możliwej okazji manifestują swój sprzeciw wobec sankcji nakładanych na Rosję. Herbert Kickl nawet nie sili się na oryginalność, powie-la retorykę Orbána, argumentując, że dławienie rosyjskiej gospodarki i krytykowanie tamtejszych polityków oddala perspektywę zawieszenia broni. Idealnym rozwiązaniem byłoby zaproszenie Kijowa i Moskwy do stołu negocjacyjnego, ale żeby to się stało, obie strony muszą przestać do siebie strzelać.

Dla polskiego ucha to brzmi naiwnie i oburzająco zarazem, ale w Austrii to nie jest szczególnie egzotyczna postawa. Według badań ECFR, Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, w lutym tego roku prawie połowa Austriaków (49 proc.) uważała, że Unia powinna pchać Ukrainę w kierunku traktatu pokojowego z Rosją. Co czwarty uznaje migrantów z Ukrainy za zagrożenie dla swojego państwa. Za ledwie 23 proc. jest gotowych popierać Kijów aż do całkowitego wyrzucenia Rosjan z terytorium Ukrainy.

W polityce krajowej Kickl – o którym tamtejsza partia pisze, że Kickl chce być „volkskanzler”, kanclerzem ludu – powiela ograne schematy europejskiego populizmu. Najnowszy wzrost poparcia FPÖ wziął się z mocnego sprzeciwu partii wobec reżimu sanitarnego w czasach pandemii. Lider ugrupowania mówił wtedy, że rząd wprowadził „korona-dyktaturę”.

Od tego czasu notowania idą w górę, a radykałowie dołożyli kolejne zgrane hasła: sprzeciw wobec migracji – który działa, bo choć Austriacy nie borykają się z tak masowym napływem migrantów, jak Włosi ani nie mają takich kłopotów z integracją i monitorowaniem przyjezdnych, jak Niemcy, to ich bliskie sąsiedztwo skutecznie podsycia strach – niechęć do unijnej polityki klimatycznej, trochę teorii spiskowych i narrację o biednych Austriakach duszonych przez liberalne europejskie polityczne i finansowe elity.

Najpierw rozejm, potem pokój. Zupełnie tak, jak w kwietniu 2022 r. rozmawiał kanclerz Karl Neham-

mer, największy wyborczy rywal Kickla, dziś krytykujący skrajną prawicę za prorosyjskie poglądy.

Może dlatego awantury w polityce nie przekładają się na sytuację w biznesie. O to, jak dzisiaj zachowuje się Raiffeisen, inny znany austriacki bank, długo będący symbolem handlowania z Rosją pomimo wojny, pytam eksperta – Michała Wyrębkowskiego, dyrektora ds. badań europejskich w Chief Executive Leadership Institute przy Uniwersytecie Yale.

– Raiffeisen Bank International ma więcej aktywów w Rosji niż wszystkie inne zagraniczne banki razem wzięte, zaraz po włoskim UniCredit. W pewnym momencie pojawiła się nawet groźba, że zostanie odcięty od dolara przez OFAC, amerykańską agendę sankcyjną. Dopiero wtedy, w czerwcu 2024 r., RBI wycofało się z oferowania na rosyjskim rynku transakcji w dolarach. Jeszcze do końca sierpnia zezwalał natomiast na transakcje w euro, aż zadziałała presja ze strony Europejskiego Banku Centralnego. W rezultacie transakcje zagraniczne może przeprowadzać tylko za pomocą samego rubla i armeńskiego drama – tłumaczy mi Wyrębkowski.

Ale gdyby nie naciski polityczne, głównie ECB, wszystko byłoby po staremu. – Jeszcze do niedawna RBI faktycznie obsługiwał większość firm zachodnich, które zdecydowały się pozostać w Rosji – mówi ekspert. – Teraz pewnie ograniczą działalność na tamtym rynku, bo oczekuje tego Unia. W lipcu prezes RBI ogłosił plan sprzedaży większości udziałów w rosyjskiej spółce-córce. Wcześniej próbował uwolnić pozostały w Rosji kapitał, między innymi przez zakup udziałów w firmie budowlanej Strabag od Olega Deripaski, jednego z największych rosyjskich oligarchów – ale ta próba zakończyła się niepowodzeniem.

W tym miejscu można byłoby właściwie postawić kropkę, ale Wyrębkowski opowiada dalej, bo austriacka zależność od Rosji wykracza daleko poza sektor bankowy. Ekonomista z Yale wyjaśnia mi, że: Rosja jest nadal drugim największym – zaraz po Niemczech – inwestorem zagranicznym w Austrii. Tamtejszy gigant energetyczny OMV nadal kupuje rosyjski gaz płynący do hubu gazowego w Baumgarten, skąd surowiec płynie dalej w Europę. W samej Austrii w grudniu 2023 r., w szczycie sezonu grzewczego, gaz kupiony od Kremla zaspokajał 98 proc. krajowej konsumpcji. 56 proc. austriackich firm, które działały w Rosji, wciąż tam pozostaje, podczas gdy średnia światowa wynosi 25 proc.

Nawet więc jeśli Raiffeisen ostatecznie zdecydowałby się na opuszczenie rosyjskiego rynku, całociowe-go obrazu sprawy by to nie zmieniło. Skala powiązań finansowych, gospodarczych i biznesowych pomiędzy Rosją i Austrią nadal byłaby więcej niż znacząca.

Podczas forum w Alpbach spotykam całą masę znanych z zagranicznych think-tanków. Większość przyjechała do alpejskiej miejscowości już kolejny raz. Znają tutejsze obyczaje i przebieg imprezy. Dyskretnie próbuję się wypytać, co z dziennikarskiego punktu widzenia będzie tu do ugrania. Do kogo można zagadać i w jakiej sprawie. Austriackich kolegów pytam, czy obecni w Alpbach oficjele będą chętni do rozmowy. Może być nie pod nazwiskiem i off the record, ale czy coś mi zdradzą.

Każdy odpowiada w ten sam sposób: – Jasne, na pewno z tobą pogadają. Tylko nie pytaj o Rosję. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**” oraz „**Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów**”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Władimir Kara-Murza:

Reżim w Rosji upadnie nagle. Jak poprzednie



• Jestem dozgonnie wdzięczny ludziom, którzy domagali się mojego uwolnienia. Ja będę walczył o wolność pozostałych – mówi Kara-Murza

FOT. PASCAL VANDON / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Laure Mandeville



Czym jest więzienie w putinowskiej Rosji?

– To rodzaj ułożonego w dantejskie kręgi piekła. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że tam umrę. Wymiana więźniów, która miała miejsce 1 sierpnia, jest w moich oczach cudem, możliwym dzięki dużej liczbie ludzi dobrej woli z całego wolnego świata, którzy nigdy nie przestali przypominać opinii publicznej o więźniach politycznych w Rosji. Reżim zamknął ich tylko dlatego, że odważyli się publicznie wypowiedzieć przeciwko dyktaturze Władimira Putina i agresywnej wojnie prowadzonej przeciwko Ukrainie.

Najgorszą rzeczą dla więźnia politycznego jest bycie zapomnianym. Dlatego to cud, że szesnaścioro ludzi zostało wydoszczonych z putinowskiego gulagu. Ta wymiana więźniów jest największą między Wschodem a Zachodem od czasów zimnej wojny. Jest to ważny gest ze strony demokratycznego świata, który dowiódł, że jest gotowy wyjść poza piękne słowa i zrobić coś konkretnego w obronie praw człowieka w takim miejscu jak dzisiejsza Rosja.

Dlaczego Putin uznał, że ta wymiana leży w jego interesie?

– Chciał za wszelką cenę wydobyć z niemieckiego więzienia człowieka, którego znamy jako Wadima Krasikowa. Jak powiedziałem nam w samolocie oficerowie sił specjalnych FSB, którzy przewozili nas do Turcji, jego prawdziwa tożsamość jest inna. Putin osobiście powiedział amerykańskiemu prawnicowemu publicyście Tuckerowi Carlsonowi, że doprowadzi do te-

go. Wiem, że morderstwo, za które Krasikow został skazany w Berlinie, nie jest jedynym, które popełnił na rozkaz Putina. Którego musiał go wydostać, żeby pod żadnym pozorem się nie wygadał o rzeczach, które mają pozostać tajemnicą.

Ale ważniejsze, że Zachód pracował nad wymianą nie tylko swoich obywateli, ale także rosyjskich więźniów politycznych. Jeśli chodzi o mnie, teraz, gdy zostałem uratowany, każdego dnia budzę się świadomy mojej odpowiedzialności wobec tych, którzy pozostają uwięzieni za kratami.

W Rosji jest już ponad tysiąc więźniów politycznych i co najmniej tyle samo na Białorusi. Dla wielu z nich to kwestia życia i śmierci, na przykład Aleksieja Gorina, deputowanego miejskiego z Moskwy, czy Marii Kolesnikowej, jednej z liderów ruchu protestów na Białorusi po sfałszowanych wyborach w 2020 r. Musimy ich stamtąd wyciągnąć. Zamierzam włożyć w to całą swoją energię. Odbiliśmy już długą rozmowę na ten temat z prezydentem Macronem.

W ciągu dwóch lat i trzech miesięcy byłem w trzynastu różnych zakładach karnych. Dowiedziałem się, jak to jest budzić się punkt pięta rano w celi o wymiarach 2 na 3 metry, z okienkiem pod sufitem i pryczą przymocowaną do ściany.

Wszystko, co możesz zrobić, to chodzić w małym koleczku lub siedzieć na niskim stołku. Papier i długopis dostajesz tylko na półtorej godziny dziennie. Nie masz z kim rozmawiać. Zabroniono mi telefonować. Przez dwa i pół roku udało mi się porozmawiać z żoną tylko raz, a dwa razy z trójką moich dzieci, przez piętnaście minut.

Zgodnie z prawem międzynarodowym przetrzymywanie więźnia w izolacji przez ponad dwa tygodnie jest uznawane za torturę. Ja spędziłem jedenaście miesięcy w izolacji.

Istnieją też tortury psychologiczne, które są gorsze od tortur fizycznych. Fakt, że nie możesz komunikować się z rodziną. Albo ciągła samotność. To Arystoteles nazwał człowieka istotą społeczną, która potrzebuje kontaktów międzyludzkich. W samotności zaczynasz tracić rozum. Tym, co mnie uratowało, była znana rada radzieckich dysydentów, by uczyć się języka obcego, by mieć czymś zajęty mózg. Ja, by nie zwariować, nauczyłem się więc hiszpańskiego.

Strażnicy więzienni?

– To zwykli ludzie, wykonujący swoją pracę. Nie są lajdakami czy sadystami. To jest najbardziej przerażające, ponieważ tak działają dyktatury: kaptują zwykłych ludzi do współludziału.

Spotkałem tylko dwóch prawdziwych sadystów. Pierwszym był sędzia Siergiej Podoprigorie, który skazał mnie na 25 lat, wyrok niespotykany od czasów Stalina. Drugi to Siergiej Remniow, naczelnik kolonii karnej o zastrzeżonym rygorze nr 7 w Omsku, który zabronił mi zadzwonić do żony w 20. rocznicę naszego ślubu, a następnie odmówił mi telefonu do córki w dniu jej 18. urodzin. Przyszedł osobiście, aby poinformować mnie o swojej odmowie i widziałem w jego oczach przyjemność, jaką z tego czerpał.

Inni grzeszą przede wszystkim biernością. Współpracują bez szemrania. Jak powiedział Aleksiej Nawalny, „zło na świecie bierze się z bezczynności dobrych ludzi”.

Na konferencji prasowej krótko po zwolnieniu wezwał pan do nienakładania sankcji na naród rosyjski. Spotkało się to jednak z krytyką. Czy Rosjanie nie powinni odczuć sankcji zbiorowo?
– Temat sankcji jest mi bliski, zostałem dwukrotnie otruty m.in. za

moje postulaty w tej sprawie. Dlatego z rozbawieniem przeczytałem krytykę, że rzekomo sprzeciwiam się sankcjom. Uważam po prostu, że sankcje powinny być skuteczne i sprawiedliwe, skierowane przeciwko tym, którzy naprawdę na nie zasługują.

Jestem w trakcie nadrabiania czasu, który spędziłem w całkowitej próżni informacyjnej. I już jestem zaszokowany wieloma rzeczami. Na przykład rosyjska rakietą, która uderzyła w szpital dziecięcy w Kijowie 8 lipca, zawierała kluczowy mikroczip wyprodukowany na Zachodzie!

Istnieje wiele innych przypadków, w których rosyjska technologia wojskowa użyta przeciwko Ukrainie pochodziła z Zachodu. Co więcej, członkowie wewnętrznego kręgu Putina lub ich bliscy, którym przekazali swoje aktywa, nadal swobodnie podróżują po UE!

Jednym z przykładów jest pan Artiakov, syn wicedyrektora Rostiechu, firmy produkującej jakieś 80 proc. rosyjskiej broni, który niedawno zabrał swoją dziewczynę do Mediolanu! Wszyscy zastępcy dyrektora Rostiechu są również zwolnieni z sankcji, podobnie jak większość rosyjskich wiceministrów obrony. Podobnie córka siostrzenicy Putina albo obecny wiceminister obrony.

Sankcje przeciwko reżimowi są pełne dziur. Ale sankcje nakładane na konkretne osoby należy rozszerzyć w zależności od zajmowanego stanowiska: należy uderzyć we wszystkich wiceministrów i ich rodziny, wszystkich wiceszefów, wszystkich generałów, wszystkich szefów FSB i tak dalej. Z drugiej strony niedopuszczalne jest poddawanie ludzi całkowitej dyskryminacji i domniemaniu winy tylko dlatego, że są Rosjanami.

Ale jak możemy to rozróżnić? Za Putinem stoją miliony ludzi, którzy popierają jego politykę i zbrodnie, w tym setki tysięcy nauczycieli, którzy rozprowadzają w szkołach propagandę...

– Problem polega na tym, że wspomniane osoby, które biorą udział w wojnie lub biorą mózgi rosyjskim dzieciom, nie są bezpośrednio dotknięte tymi sankcjami. Za to już dotyczą one opozycjonistów, obrońców praw człowieka i niezależnych dziennikarzy. Sankcje przeciwko wszystkim są prezentem dla Putina, ponieważ od lat propaganda Kremla krzyczy, że wszyscy na Zachodzie są rusofobami.

Wspomniała pani o nauczycielach przekazujących propagandę Putina i to jest potworna prawda. Ale powinniśmy też wiedzieć, że setki nauczycieli zostało poddanych represjom za odmowę prania mózgu swoim uczniom, donoszenia na ich rodziców. To też są Rosjanie!

Tak, są ludzie, którzy jadą do Ukrainy dla pieniędzy i żeby zabić. Ale są też tacy, którzy protestują na ulicach, wysyłają wsparcie Ukraińcom. Istnieją dwie Rosje, a nie jeden totalitarny monolit.

Nazistowskie Niemcy po wojnie musiały zmierzyć się z pojęciem odpowiedzialności zbiorowej. Jak możemy doprowadzić do pojawienia się kiedyś takiej rosyjskiej zbiorowej odpowiedzialności za rozpętaną wojnę?
– Musimy odróżnić winę od odpowiedzialności. Zgadzam się z Han-

nah Arendt, która dowodziła, że nie ma czegoś takiego jak zbiorowa wina. Ale rosyjskie społeczeństwo będzie musiało wziąć na siebie zbiorową odpowiedzialność.

Będzie to polegało na zorganizowaniu reparacji wobec Ukrainy, przeprowadzeniu politycznej lustracji w kraju i wykonaniu gigantycznego zadania wyjaśnienia, pokazania popełnionych zbrodni, poprzez otwarcie archiwów i przeprowadzenie publicznych procesów w imieniu państwa rosyjskiego. Bez tej świadomości nasz kraj nie będzie miał przyszłości.

Mówię o tym od 20 lat. Jednym z pierwszych działań reżimu Putina było przywrócenie hymnu radzieckiego, za tym symbolem poszły stopniowe działania. Zamykanie niezależnych mediów, fałszowanie wyborów, eliminowanie opozycji z parlamentu i więzienie przeciwników politycznych. Sprawa niszczenia Chodorkowskiego zaczęła się już ponad 20 lat temu!

W pełni zdaję sobie sprawę, że rosyjskie społeczeństwo ponosi znaczną odpowiedzialność, ponieważ zrezygnowało ze swobód politycznych w zamian za poprawę standardu życia. Ale jeśli mówimy o odpowiedzialności zbiorowej, nie zapominajmy o odpowiedzialności zachodnich przywódców, Schroedera, Busha, Obamy i innych, którzy przez te wszystkie lata badali „duszę Putina” i chętnie kupowali od niego ropę i gaz.

Jakie są perspektywy dla tego reżimu?

– Niedawno opublikowana w Kalifornii książka o końcu ZSRR nosiła tytuł: „To miało być na zawsze, dopóki się nie skończyło”. Tak jest ze wszystkimi reżimami tego typu. Przekonują świat, że są silne, a potem nagle upadają.

Tak jak reżim Romanowów w 1917 r. I jak reżim sowiecki w 1991 r., który upadł w ciągu trzech dni. W Rosji poważne zmiany polityczne zawsze następują szybko i nagle, a nikt nigdy nie jest na nie przygotowany. Trzeba się więc wreszcie na to gotować.

Wielkim błędem Borysa Jelcyna, którego szanowałem, było to, że nie chciał definitywnie zerwać z totalitarną przeszłością. Archiwa nie zostały otwarte, a zbrodnie sowieckiego reżimu nie zostały osądzone. Ale jeśli zło nie jest osądzone, będzie się powtarzało.

Musimy teraz opracować mapę drogową. Wszyscy, którzy popełnili zbrodnie przeciwko Ukrainie i obywatelom Rosji, będą musieli zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Ale mapa drogowa musi zawierać kluczowy element międzynarodowy. Ponieważ jednym z największych błędów lat 1990-91 na poziomie międzynarodowym była nieprzygotowanie Zachodu na zmiany w Rosji.

Nie udało się zintegrować młodej demokratycznej Rosji z cywilizowanym światem w pełnym tego słowa znaczeniu. A przecież, jak często powtarzali mi znajomi z wschodniej Europy, to właśnie ta integracja ze światem stanowiła najsilniejszy bodziec do reform.

Ten błąd nie może się powtórzyć. Jeśli chcemy mieć wolną, zjednoczoną i pokojową Europę, będziemy potrzebować wolnej i demokratycznej Rosji. ●



NAJLEPSZY DLA DEMOKRACJI

Nie zajmujemy się tańczącymi kotami i nie współpracujemy z chińskim rządem. TikTok odpowiada Anne Applebaum.

Piotr Żaczko

rzecznik prasowy TikToka na Europę Środkową

Niedawny okładkowy wywiad z Anne Applebaum, przeprowadzony przez redaktora Bartosza T. Wielińskiego, zatytułowany „Kto i po co wymyślił TikToka” (tytuł z pierwszej strony) lub bardziej sugestywnie „Kto podrzucił nam TikToka” (ten już jest przy samym artykule), opublikowany w „Wyborczej” 7 września 2024 r., porusza wiele kwestii,

dacyjny, zmiany w aplikacji przed ich przesłaniem do sklepów z aplikacjami lub zasady, według których działa moderacja aplikacji. Ponadto, w ramach tego projektu, TikTok dobrowolnie zainwestował ponad 2 miliardy dolarów w budowę dodatkowego systemu zabezpieczeń technologicznych i zarządczych, aby pomóc chronić dane użytkowników w USA, jak i samą integralność TikToka w USA przed wpływami obcych rządów.

Podjęliśmy również nadzwyczajne, dodatkowe zobowiązania w 90-stronicowym projekcie Porozumienia o Bezpieczeństwie Narodowym, opracowanym w drodze negocjacji z Komitetem ds. Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych („CFIUS”), w tym

Co ważne, te dodatkowe zabezpieczenia są niezależnie nadzorowane przez NCC Group, poważanych ekspertów ds. cyberbezpieczeństwa. NCC przeprowadza audyty naszych kontroli i zabezpieczeń danych, monitoruje przepływ danych i zapewnia niezależną weryfikację, a także może spotykać się z europejskimi organami regulacyjnymi i agencjami rządowymi niezależnie od TikToka. Przeprowadzamy również oceny bezpieczeństwa dodatkowych barier bezpieczeństwa, które budujemy wokół danych europejskich i samej aplikacji TikToka.

Wszystkie te środki mają na celu zapewnienie, że dane naszych europejskich użytkowników podlegają dodatkowym za-

życia na taką skalę i za pomocą takich środków).

Według raportów Ipsos, 69 proc. użytkowników TikToka uważa, że dzięki platformie doświadczają czegoś nowego, 90 proc. czegoś się uczy, a 66 proc. nabyło (lub uzyskało do nich płatny dostęp) jakiejś dobrej kultury dzięki inspiracji z TikToka (IPSOS, TikTok impact on Culture, dane dla Polski, na podstawie 1000 użytkowników w wieku 18-55 lat). 69 proc. użytkowników TikToka w Europie stwierdziło, że platforma pomaga im swobodnie wyrażać siebie.

Nic dziwnego, że coraz więcej głosów wyraźnie podkreśla, iż TikTok staje się nową agorą. James

użytkowników jest najlepszy dla demokracji (te same badania).

Pozostaje żałować, że nie zwróciliśmy się do nas z prośbą o komentarz ani nie mogliśmy udzielić informacji, które z pewnością wniosłyby ważny kontekst i zaowocowałyby opublikowaniem pełniejszego artykułu. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że znając powyższe badania (lub kilka innych), większą wagę przywiązano by również do grafiki tytułowej.

Nawet najwięksi sceptycy mają trudności z uwierzeniem, że dyktator ścigany na mocy prawa międzynarodowego będzie zmierzał w kierunku promowania egalitaryzmu, tolerancji i demokracji. Ale co my możemy wiedzieć. My znamy się na ryzywce. ●

Czy miliard użytkowników może się mylić

TikTok

które są niewątpliwie kluczowe z perspektywy dzisiejszej geopolityki i mówi o sprawach ważnych. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego wybrano dlań taki tytuł, biorąc pod uwagę marginalne znaczenie powiązanego akapitu z perspektywy tak ciężaru gatunkowego, jak i objętości całej rozmowy.

I nie jest to ani jedyna, ani nawet największa wątpliwość. Niestety, także akapit o TikToku jest bogaty w niejasności, sugestie, aluzje i nieścisłości. Oprócz ewidentnie fałszywych zarzutów – przede wszystkim w obszarze rzekomego braku przejrzystości silnika rekomendacji, mechanizmów promocji treści i bezpieczeństwa danych użytkowników. Warto więc przytoczyć fakty, nawet jeśli przeczą teorii.

TikTok jest prawdopodobnie najbardziej transparentną platformą w tej kategorii mediów. W ramach TikTok U.S. Data Security Inc. (USDS), zespołu wyodrębnionego w ramach tzw. Projektu Texas, zewnętrzny audytor, powszechnie znana amerykańska firma IT – Oracle, ma dostęp do niespotykanego dotąd w branży pokazującej przejrzystości, obejmującego – między innymi – silnik rekomen-

dgodę na „opcję zamknięcia”, która dałaby rządowi prawo do zawieszenia TikToka w Stanach Zjednoczonych, jeśli naruszymy pewne zobowiązania wynikające z porozumienia. Niezależnie od powyższego udostępniamy również badaczom i pracownikom naukowym dostęp do naszej platformy i interfejsów API moderacji, aby mogli przeprowadzać własne analizy.

Również w Europie idziemy dalej niż ktokolwiek inny, aby ustanowić nowe standardy bezpieczeństwa danych w ramach tzw. Projektu Clover, w ramach którego zainwestujemy ponad 12 miliardów euro w ciągu następnej dekady. Ta bezprecedensowa inicjatywa zapewnia dodatkową ochronę danych użytkowników naszej 150-milionowej europejskiej społeczności. Nowe dane użytkowników są domyślnie przechowywane w dedykowanej europejskiej enklawie, do której dostęp ograniczony jest przez bramki zabezpieczeń. Obejmuje to mechanizmy zapobiegające dostępowi przez pracowników w Chinach do zastrzeżonych danych, takich jak adresy e-mail, IP i numery telefonów. Docelowo dane te zostaną zmigrowane do europejskich centrów danych – ten proces już trwa.

bezpieczeństwu w środowisku ochronnym i mogą być dostępne tylko dla zatwierdzonych pracowników podlegających ścisłemu, niezależnemu nadzorowi i weryfikacji.

Żaden rząd nie kontroluje treści, które znajdziesz w TikToku, a twierdzenie, że platforma znajduje się pod wpływem chińskiego rządu, jest całkowicie błędne. TikTok nigdy nie udostępnił ani nie otrzymał prośby o udostępnienie danych użytkowników chińskiemu rządowi. Nie zrobilibyśmy tego, gdybyśmy zostali o to poproszeni. Istnieją jednak powszechnie znane przykłady z niedawnej historii, gdy takie dane można było łatwo pozyskać z innych źródeł.

Projekty Texas i Clover nie są jedynymi bezprecedensowymi rozwiązaniami wdrożonymi przez TikToka. Cały ich pakiet dotyczy cyfrowego dobrostanu (jesteśmy bodaj jedyną platformą, która wprowadziła proaktywne powiadomienia, zwracające uwagę użytkowników, gdy korzystają z aplikacji zbyt długo, jedyną z domyślnym limitem 60 minut dziennie dla nastolatków i – przynajmniej według dostępnych danych – jedyną, która usuwa konta osób poniżej 13 roku

Broughel, ekonomista i publicysta amerykańskiego „Forbesa”, wyraźnie wskazał: „TikTok z drugiej strony wyrównał szanse [użytkowników] dzięki lepszemu wykorzystaniu hashtagów i zdolności algorytmu do wyświetlania treści na podstawie zaangażowania w trendy internetowe, a nie metryk pośrednio powiązanych z liczbą obserwujących. Nie jest niczym niezwykłym, że amatorzy-twórcy ze skromną liczbą obserwujących mają swoje filmy oglądane przez setki, a nawet tysiące nieznanymi, wywołując ożywione dyskusje w sekcji komentarzy. Ta demokracja zasięgu jest orzeźwiająjącym odejściem od utrwalonych hierarchii, które można znaleźć na innych platformach mediów społecznościowych”.

Niektórym może się to nie podobać. Ale zdecydowanie nie użytkownikom. I zdecydowanie TikTok od dawna nie jest już platformą dla zabawnych tańczących kotów (choć nadal je tam znajdziemy). TikTok ma moc wywierania wpływu. Według analizy Pew Research Center blisko trzy czwarte użytkowników, którzy publikują treści polityczne na TikToku (73 proc.), twierdzi, że robią to, ponieważ jest to miejsce, z pomocą którego mogą coś zmienić. I to TikTok według

Liczby TikToka

69

● **proc. użytkowników TikToka** w Europie stwierdziło, że platforma pomaga im swobodnie wyrażać siebie

90

● **proc. użytkowników TikToka** uważa, że dzięki tej platformie czegoś się uczy

73

● **proc. użytkowników** publikujących treści polityczne na TikToku twierdzi, że to miejsce, z pomocą którego mogą coś zmienić

PARTIA WIE, CO DOBRE DLA NASTOLATKA

Algorytm TikToka oprócz treści rozrywkowych serwuje użytkownikom także nagrania związane z depresją, samookaleczaniem lub dezinformacyjne.

Joanna Sosnowska,
ekspertka technologiczna,
dziennikarka Wyborcza.biz

TikTok jest dziś najpilniej obserwowanym serwisem społecznościowym świata. Z serwisu każdego miesiąca korzysta ponad miliard użytkowników. Jako jedyny jest w stanie zagrozić dominacji Facebooka Marka Zuckerberga, a administracja Stanów Zjednoczonych od dobrych kilku lat próbuje zakazać tej aplika-

cji. Zatem TikTok to niewinna rozrywka dla najmłodszych, czy zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, jak powtarza dyrektor FBI Christopher Wray? Czy może transparentną, niewinną platformą, która umożliwia „swobodne wyrażanie siebie”, jak chce rzecznik firmy, Piotr Żaczko?

Fakty są takie: Aplikacja TikTok została pobrana ponad 2 mld razy, to trzecia najchętniej pobierana aplikacja świata; TikTok jest ukochaną aplikacją najmłodszych pokoleń niemal na całym świecie; niemal, bo w Chinach jest niedostępny, tam jego odpowiednikiem jest aplikacja Douyin; ByteDance, właściciel Douyin, chciał ekspansji globalnej. Stworzył TikToka jako wersję eksportową Do-

kańskiego Kongresu trafił projekt ustawy „Protecting Americans From Foreign Adversary Controlled Applications Act”. Zakazuje ona udostępniana w sklepach aplikacji należących do firm z państw uznanych za wrogie: Chin, Rosji, Iranu i Korei Północnej. Efektem tej ustawy miałyby być nowa czarna lista. Wskazani właściciele takich aplikacji mieliby 165 dni na odsprzedaż udziałów. Gdyby do tego nie doszło, zostaliby zablokowani przez AppStore czy Google Play. Izba Reprezentantów przyjęła ustawę przytłaczającą większość głosów, zaginęły wówczas tradycyjne podziały na Republikanów i Demokratów.

Ale TikTok nie miał zamiaru poddać się bez walki. Jak opisywał

kańskiego Kongresu trafił projekt ustawy „Protecting Americans From Foreign Adversary Controlled Applications Act”. Zakazuje ona udostępniana w sklepach aplikacji należących do firm z państw uznanych za wrogie: Chin, Rosji, Iranu i Korei Północnej. Efektem tej ustawy miałyby być nowa czarna lista. Wskazani właściciele takich aplikacji mieliby 165 dni na odsprzedaż udziałów. Gdyby do tego nie doszło, zostaliby zablokowani przez AppStore czy Google Play. Izba Reprezentantów przyjęła ustawę przytłaczającą większość głosów, zaginęły wówczas tradycyjne podziały na Republikanów i Demokratów.

Ale TikTok nie miał zamiaru poddać się bez walki. Jak opisywał

go, kogo użytkownik obserwuje. Na TikToku wyświetla się to, co algorytm uważa za najlepsze dla użytkownika. Serwis pokazuje więc to, co doceniają inni użytkownicy i co jest dobrane do zainteresowań i interakcji danej osoby. Jedynie w UE, na mocy Digital Services Act, użytkownicy mogą wypisać się z poleceń algorytmu i oglądać treści chronologicznie.

Algorytm i jego działanie są jednymi z najpilniej chronionych tajemnic TikToka. Ale jego efekty zostały już wielokrotnie przebadane. Naukowcy z Uniwersytetu Browna w USA stwierdzili, że uzależniająca natura TikToka wynika ze sposobu, w jaki jest on zaprojektowany. Składa się na to przede wszystkim fakt, że filmy na TikToku są krótkie, kanał „Dla Ciebie” został całkowicie spersonalizowany, a nieskończone przewijanie sprawia, że zaangażowanie użytkowników przedłuża się. Do tego naukowcy stwierdzili, że odświeżanie kanału podobne jest do pociągania za wąż w automatach do gier: natychmiast pojawia się efekt nagrody lub porażki. Użytkownik otrzymuje strzał dopaminy (potocznie: hormonu szczęścia), który sprawia, że chcemy obejrzeć jeszcze jedno wideo, a potem kolejne. I częściej do aplikacji wracać. Jednak algorytm TikToka oprócz treści rozrywkowych serwuje użytkownikom także nagrania związane z depresją, samookaleczaniem lub dezinformacyjne.

Żaczko pisze: „Żaden rząd nie kontroluje treści, które znajdziesz w TikToku, a twierdzenie, że platforma znajduje się pod wpływem chińskiego rządu, jest całkowicie błędne”.

Struktura korporacyjna TikToka jest skomplikowana, ale możliwa do prześledzenia. TikTok Ltd został zarejestrowany na Kajmanach. Jego właścicielem jest ByteDance z siedzibą w Pekinie. ByteDance należy do założycieli spółki i inwestorów. W 2021 r. chiński rząd zainwestował w jedną z głównych spółek zależnych ByteDance (ByteDance Technology Co.) i przejął jej 1 proc., razem z tzw. „złotą akcją”, która pozwala wpływać na decyzje dotyczące strategicznego rozwoju spółki.

W czerwcu 2024 r. amerykańsko-fińska prof. prawa Anu Bradford mówiła w rozmowie z „Wyborczą”: – TikTok twierdzi, że jej spółka-matka jest chińska, ale istnieje między nimi mur. Ale wiedząc, jak działają Chiny, trudno jest uwierzyć tak w niezależność aplikacji, jak i to, że partia komunistyczna nie chce wykorzystywać przewag, jakie daje TikTok. W efekcie Amerykanie traktują TikToka jako ramię chińskiego rządu, narzędzie Komunistycznej Partii Chin do przekazywania propagandy do Stanów Zjednoczonych i danych Amerykanów do Pekinu. ●

2

• **mld razy**
pobrano aplikację TikToka. To trzecia najchętniej pobierana apka świata

Średnio co

3

• **minuty**
dzwonili telefony w biurach kongresmenów po tym, jak TikTok zachęcił użytkowników, aby sprzeciwili się ustawie, która ma zablokować aplikację w USA

1

• **proc. udziałów**
i tzw. złotą akcję, która pozwala wpływać na decyzje dotyczące strategicznego rozwoju przejął chiński rząd w jednej z głównych spółek zależnych ByteDance. Czyli właściciela TikToka

uyin, a w 2017 r. kupił Musical. ly z siedzibą w Szanghaju i połączył go z TikTokiem; od tamtej pory aplikacja nieprzerwanie zdobywa nowych użytkowników, korzysta z niej 150 mln osób w Stanach Zjednoczonych i niemal tyle samo w Europie.

Rzecznik prasowy TikToka na Europę Środkową, Piotr Żaczko, pisze: „TikTok jest prawdopodobnie najbardziej transparentną platformą w tej kategorii mediów. W ramach TikTok U.S. Data Security Inc. (USDS), zespołu wyodrębnionego w ramach tzw. projektu Texas, zewnętrzny audytor, powszechnie znana, amerykańska firma IT – Oracle, ma dostęp do niespotykanego dotąd w branży pokazu przejrzystości, obejmującego – między innymi – silnik rekomendacyjny, zmiany w aplikacji przed ich przesłaniem do sklepów z aplikacjami lub zasady, według których działa moderacja aplikacji”.

To częściowo prawda. Od 2022 r. TikTok wielkim nakładem sił i pieniędzy stara się odizolować swoją działalność w USA od chińskiej spółki-matki ByteDance. Wynika to z nacisków politycznych, od 2020 r. ówczesny prezydent USA Donald Trump naciskał

Jednak, jak ujawnił magazyn „Fortune” w kwietniu tego roku, po rozmowie z kilkoma byłymi pracownikami TikToka, projekt Texas był w dużej mierze zasłoną dymną i „zabiegiem kosmetycznym”, a oni i ich koledzy w dalszym ciągu ściśle współpracowali z dyrektorami ByteDance w Pekinie już po wejściu projektu w życie. Co więcej, w 2022 r. TikTok potwierdził, że dzięki swojej aplikacji śledził dziennikarzy, którzy rozmawiali z byłymi pracownikami firmy i na tej podstawie pisali teksty śledcze. Śledzenie telefonów miało ujawnić, kto jest źródłem wycieków informacji.

Żaczko pisze dalej: „Podjęliśmy również nadzwyczajne, dodatkowe zobowiązania w 90-stronicowym projekcie Porozumienia o Bezpieczeństwie Narodowym opracowanym w drodze negocjacji z Komite-tem ds. Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych (CFIUS), w tym zgodę na ‘opcję zamknięcia’, która dałaby rządowi prawo do zawieszenia TikToka w Stanach Zjednoczonych, jeśli naruszymy pewne zobowiązania wynikające z porozumienia”.

To częściowo prawda. Na początku marca 2024 r. do amery-

„New York Times”, w odpowiedzi platforma zaczęła wyświetlać użytkownikom w USA specjalne pop-upy nawołujące do dzwonienia do polityków, by sprzeciwić się projektowi nowego prawa. TikTok prosił o podanie kodu pocztowego i od razu wyświetlał numer do biura lokalnego kongresmena. Wysyłał ludziom nawet powiadomienia w tej sprawie.

Biura kongresmenów przeżyły prawdziwy szturm. Ich pracownicy skarżyli się, że telefony dzwoniły bez przerwy, nawet 20 razy na godzinę, czyli średnio co 3 minuty. Było to tak uciążliwe, że niektóre biura zablokowały telefony.

Ustawa została potem przyjęta przez Senat i podpisana przez prezydenta. TikTok i ByteDance 7 maja 2024 r. pozwały administrację USA, argumentując, że ustawa narusza słynną pierwszą poprawkę do konstytucji.

Żaczko pisze: „TikTok staje się nową agorą”.

Cóż, niewątpliwie ta aplikacja jest głosem najmłodszego pokolenia. A to dzięki algorytmowi, który francuski prezydent Emmanuel Macron nazwał „złodniczo niewinnym”. Platforma nie wyświetla treści na podstawie te-

Kiedy mój syn umarł, odczułem ciekawość po jakimś czasie, czy ja go jeszcze spotkam.

• MOJA SPRAWA •

i moja wina

Z LESZKIEM MILLEREM
ROZMAWIA EWA KALETA

EWA KALETA: Muszę panu powiedzieć, że moja koleżanka miała na ścianie przyklejone pana zdjęcie przez całe swoje dzieciństwo.
LESZEK MILLER: Boże.

Pełnił pan ikoniczną funkcję wymarzonego ojca.
– Proszę ją serdecznie pozdrowić.

Dobrze. Przeczytałam tak wiele pana słów, i słów o panu, że już nie wiem, kim pan jest. Z pewnością kimś, kto jest polem do projekcji.
– Sytuacja się zmienia, otoczenie się zmienia, priorytety się zmieniają, no i ludzie się po prostu zmieniają. Ja czasami, kiedy próbuję sobie przypomnieć moje zachowania czy moje dążenia sprzed lat, to się dziwię, że mogłem być albo tak naiwny, albo tak nieodpowiedzialny.

A w jakich sytuacjach pan był naiwny? Albo nieodpowiedzialny?
– Wydaje mi się, że miałem zbyt wielkie zaufanie do ludzi. I to się często niezbyt dobrze kończyło. Może też za dużo wymagałem od ludzi.

I co było potem?

– Przekonałem się, że nie należy zbyt dużo wymagać, bo człowiek jest istotą z gruntu dość słabą i w różnych sytuacjach może zawieść tego, kto w nim pokłada jakieś nadzieje.

Jak to poetka powiedziała: tyle jesteśmy warci, ile nas sprawdzono. Czasem to sprawdzanie bardzo długo trwa. Największe błędy, za które zapłaciłem, wiązały się ze złą oceną ludzi. I teraz gdybym znajdował się w podobnych sytuacjach, tobym na to uważał i nie wymagałbym od ludzi zbyt wiele.

A pan się czuje słaby? Skoro taki jest człowiek w swojej naturze.

– Przeszedłem bardzo wiele trudnych sytuacji, najgorszą, jaka się może zdarzyć, która się zdarzyła w tym domu, czyli śmierć mojego syna. Najpierw powinni umierać rodzice, a dopiero potem dzieci.

Skoro udało mi się te wszystkie problemy znieść, stałem się bardziej odporny. Zahartowałem się. Zna pani tę maksymę, jeśli coś cię nie zabije, to cię wzmocni.

Tak, ale dziś już nikt w nią nie wierzy, wie pan?
– Ja w nią wierzę.

Ja też.

– Uważam, że jestem dobrym przykładem potwierdzającym wartość tych słów.

Opowie mi pan, jak ta maksyma staje się prawdą?

– Musi się nagromadzić kilka momentów, które wydają się na początku nie do przeżycia. I kiedy suma tych zdarzeń przekroczy pewien pułap, to jest w stanie pani uznać się za człowieka, kobietę, który może znieść wszystko.

I człowieka, którego nie można załamać. Ale to jest hart, z tym człowiek się nie rodzi, to się nabywa pod wpływem przeżyć i okoliczności.

A czy czuje się wtedy, że życie jest warte życia?

– Tak, i wie pani, człowiek pozbywa się lęku, często lęku atawistycznego czy jakichś innych lęków, na przykład lęków przed śmiercią.

Nie spodziewałam się, że tak szybko zaczniemy mówić o śmierci. Nie boi się pan?

– Nie. Można powiedzieć, że kropka została postawiona tu, gdzie siedzimy, kiedy mój syn umarł. I ja wtedy nawet odczułem ciekawość, nie od razu, rzecz jasna po jakimś czasie, czy ja go jeszcze kiedyś spotkam.

To osłabiło mój strach.



• **Leszek i Aleksandra Millerowie pobrali się w 1969 roku. W tym roku w kwietniu obchodzili 55 rocznicę ślubu**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGEN-
CJA WYBORCZA.PL

Jest pan..
– Nie, ja jestem niewierzący, jeśli chciała pani o to zapytać, chociaż wychowywałem się w bardzo religijnej rodzinie, wszystkie moje ciotki, moja mama, moi wujkowie byli wierzący. Wierzący, ale bez przesady. To nie byli fanatycy.
Zostałem ministrantem z powodu pragnień mojej mamy, która bardzo chciała mnie zobaczyć służącego do mszy. I kiedy pierwszy raz byłem przy ołtarzu w tej takiej komeżce, widziałem moją mamę i wszystkie moje ciotki, które siedziały w żyrardowskim kościele. Patrzyły na mnie z zachwytem.
Moja rodzina z tamtych czasów to byli tacy typowi polscy katolicy, gdzie doktryna, znajomość Ewangelii była bardzo powierzchowna, to wszystko sprowadzało się do obyczajowości. Było wiadomo, że trzeba chodzić co niedzielę do kościoła i obchodzić najważniejsze polskie święta, zwłaszcza Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ja to traktowałem jako cześć typowej, polskiej obyczajowości, niekoniecznie przesyconej religijnym majestatem.

To jest taki rodzaj religijności, w której zawiera się fantazja, marzenie, że świat ostatecznie okaże się lepszym miejscem, niż się okazuje, bo Bóg istnieje.
– Tak, i czasami się zastanawiałem, że ci ludzie wierzący, oni może w obliczu śmierci są w lepszej sytuacji, bo myślą: no dobrze, może będę musiał umrzeć, ale coś tam po drugiej stronie jest i odrodzę się w innej sytuacji. A ci niewierzący myślą, że tam nic nie ma i trudno, i to wszystko.

Ma pan gorzej w takim razie.
– Tacy jak ja, z podobnym światopoglądem, też nie mają złe.

Szukał pan syna w naturze?

– Ja nie, ale moja żona tak. Kiedy siedzieliśmy tu w ogrodzie i przyleciał jakiś ptak, żona milkła i mówiła: zobacz Leszek.
Też widziałam zmarłego ojca w ptakach.
–Tak? Może dlatego, że ostatnie odlatują.
Jak sobie tutaj siedzę, to oglądam ptaki, które przylatują i staram się je scharakteryzować. Zastanawiam się, dlaczego tutaj nie ma wróbli, kiedyś było ich dużo.
Może dlatego, że to bardzo eleganckie osiedle, panie premierze. Jak pan się czuje z tym, że wszystko się już wydarzyło?
– Odczuwam wielki spokój z tego powodu.
Tylko spokój?
– Chciałbym resztę życia spędzić w tym miejscu, to jest moje ulubione drzewo, pod którym siedzimy. Przypomina mi parasol.

my przy stole, pani przynosi dokumenty, na właściwej stronie odkrywa. Ja wtedy miałem takie wrażenie, taką myśl, wie pani, czy to się dzieje realnie? Czy to się dzieje naprawdę? W końcu ja się nie urodziłem w żadnej rodzinie intelektualistów, biznesmenów, pamiętam swoje żyrardowskie podwórko, gdzie biegало się z kluczem na szyi.
Dlaczego to się akurat panu przytrafiło?
– Razem z moimi kolegami, czyli z Belką i z Cimoszewiczem, dosyć często wspólnie jadalismy kolację, spotykaliśmy się przy winie i parę razy na ten temat rozmawialiśmy. Każdy z naszej trójki, choć innymi drogami, zajął najważniejszą pozycję w polskiej polityce. Bo ja uważam, że premier jest najważniejszy, nie prezydent.
Prezydent jest od trzymania żyrandoli, a premier dysponuje realną władzą. I moi koledzy też tak uważają. Zadaliśmy sobie pytanie: no dobrze, ale dlaczego my?

Kiedy pierwszy raz byłem przy ołtarzu w tej takiej komeżce, wszystkie moje ciotki w żyrardowskim kościele patrzyły na mnie z zachwytem

To prawda
– Bardzo mi zależało na wejściu Polski do Unii Europejskiej, udało się to zrealizować i na koniec spędziłem pięć lat w Brukseli. Ale na początku mojej obecności w Brukseli dostałem taki sygnał, który dał mi do myślenia.
Kiedy zaczyna się kadencja, to trzeba ukonstytuować grupy polityczne. Moja grupa to byli socjaliści i demokraci, druga co do wielkości. Było nas wtedy 150. Pierwsze spotkanie musi ktoś poprowadzić, tak jak w sejmie marszałek senior.
Przyszły więc do mnie panie z sekretariatu i zapytały, czy ja bym nie chciał, nie mógł przewodniczyć pierwszemu posiedzeniu grupy. Powiedziałem, że oczywiście i że to dla mnie to wielkie wyróżnienie. Ale zapytałem, z jakich powodów wybrały właśnie mnie. Odpowiedziały: bo pan jest najstarszy.
Proza życia. Pan tak dobrze znosi kończenie?
– Zauważyłem w pewnym momencie, że zrobiłem już wszystko, że do niczego już się nie przydam.

Nie tęskni pan na za innym widzeniem świata i życia, bardziej beztroskim? Tą soczewką, którą się miało przed wielkimi stratami. Pytam, bo ja nie umiem przestać za tym tęsknić.
– Bo pani jest za młoda. To przyjdzie z wiekiem. Często jeżdżę z żoną na grób naszego syna do Żyrardowa, przechodzę alejkami, a to jest, po pierwsze, w moim rodzinnym mieście, a po drugie, to duży cmentarz. Znałem wiele osób, które tam leżą. Kojarzę nazwiska. Widzę coraz więcej ludzi, którzy zmarli wcześniej ode mnie.
I to mnie skłania do refleksji, że mam jakieś ogromne szczęście, bo tu są moi koledzy albo moi znajomi, albo ludzie, których nigdy nie znałem, ale czytam ich nazwisko, czytam datę urodzenia i śmierci – 10, 15 lat młodszy ode mnie. Więc to też pomaga się uspokoić, nie szaleć. Zobaczyć własne szczęście.

Na cmentarzu?
– Tak. Nawet gdyby ta śmierć pojawiła się teraz, to i tak mam los wygrany na loterii, bo mogłem przeżyć znacznie więcej i zrobić znacznie więcej. Poza tym często pani koleżanki i koledzy w wywiadach pytają, czy jestem usatysfakcjonowany tym, co mnie spotkało, tym, co Polska dla mnie zrobiła, pytają o moje odznaczenia. Dziwią się, kiedy odpowiadam, że ja nie mam żadnych odznaczeń i one są mi niepotrzebne. Bo uważam, że Polska zrobiła dla mnie bardzo dużo.

Polska dla pana? Nie pan dla Polski?
– Polska mi dała przeżycia, które prawdopodobnie nie są do powtórzenia. Na przykład taka scena, kiedy razem z Cimoszewiczem jesteśmy w Atenach i podpisujemy traktat akcesyjny. Jeden z najważniejszych dokumentów w imieniu RP.
Grecy to bardzo ładnie zrobili, pod Akropolem, sceneria ateńska, są wszyscy najważniejsi politycy. No i czytane są nasze nazwiska, podchodzimy, siada-

Przecież każdy z nas spotykał ludzi, którzy w niczym nam nie ustępowali, nawet byli bystrzejści, lepiej wykształceni, lepiej przygotowani, mieli więcej walarów. I wie pani do jakiego wniosku doszliśmy?
Do jakiego?
– Że to przypadek. To tylko spotkanie właściwych ludzi we właściwym czasie i bycie we właściwym miejscu. Dano nam szansę.
Tylko?
– Obok przypadku jest jeszcze ta przywódcza zdolność. Ludzie akceptowali we mnie to, że jestem liderem. Od podwórka. Przed wielką polityką byli drużyny harcerskie. Zawsze wygrywałem z innymi, zawsze mnie wybierano.
Zgubiła kiedyś pana ta charyzma?
– Tak, zdarzyło się, oczywiście, ale to przez moje zadufanie właśnie. Podam pani przykład. Kiedy miałem kłopoty w swoim ugrupowaniu, w SLD, przyszła nowa zmiana, czyli młodzi przywódcy, Olejniczak i Napieralski, postanowili pozbyć się takich dinozaurów jak ja. No i ja kierowany pychą postanowiłem wystartować z innego ugrupowania – z Samoobrony. Wystartowałem z Łodzi i wtedy po raz pierwszy, że tak powiem, rzucono mnie na deski.
Bardzo szybko się przekonałem, że nie budzę już w znanych miejscach sympatii, usłyszałem uwagi typu: panie Miller, panie Leszku, my pana bardzo lubimy, ale tym razem pan jest na niewłaściwej liście. A my tej listy nie akceptujemy i nie akceptujemy tego, co pan robi.

Jak pan zareagował?
– Na początku myślałem, że to tylko takie gadanie, ale potem się przekonałem, że to jest gwóźdź do trumny, i przestrzegałem swoich kolegów, którzy próbowali robić to samo. Podawałem im swój przykład, ale jednak trzeba się przekonać na własnej skórze, że przychodzi pewien czas, kiedy nawet najgłośniejsze nazwisko i najlepszy życiorys polityczny to za mało, żeby wygrać, bo jest się na niewłaściwej liście.

Uwiodła pana władza?
– Raczej poczucie wpływu.
Chodzi o to, że nie jest się widzmem w którymś rządzie, ale kształtuje się spektakl na scenie i jego przebieg. To wielka satysfakcja.

Największa?
– Największa. Ludzie ambitni angażują się w politykę, żeby dokładnie to przeżyć.

Być tym jedynym
– Jednym z kilku, to drużyna, gra kolektywna. Potrzebny jest lider, ale to gra zespołowa.

Ma pan problem z poczuciem, że jest pan zależny od kogoś?
– Teraz już nie jestem zależny.

Razem z wpływem idzie zależność.

– Jak jest się w czynnej polityce i sprawuje się ważną funkcję, to jest oczywiście poczucie, że sprawa zależności czy uzależnienia występuje. I to silnie.

Wszystkie niespodziewane gesty, umizgi, próby pozyskania sojuszników to próba uzyskania pewnego uczucia. Chodzi o to, aby uzależnienie było najmniejsze. Ale dziś, dziś już tego nie ma.

To prawda, jest pan właściwie zależny tylko od prawa natury.

– Tak

Ten stan, o którym pan mówi, wpływ tak pożądaný, musi jednocześnie pana odsuwać od poczucia czegoś przeciwnego.

– Pozwala dać sobie radę ze świadomością, jak wielką cenę płaci się na płaszczyźnie rodzinnej. Wychodziłem z domu o 8 rano i wracałem o 23. Praktycznie nie widywałem się z moją rodziną. Nawet jak była niedziela, bo w niedzielę odbywa się dziesiątki imprez, na których trzeba być.

Za to się płaci. Staralem się nie przynosić polityki do domu, nie rozmawiałem o pracy. Moja rodzina się z tym nie zgadzała.

No i co to dało?

– Chronilem w ten sposób moich bliskich.

I udało się?

– W dużej części się udało, ale oni mieli cały czas pretensje.

Że się pan nie dzieli?

– Tak. Na początku mieli złe wyobrażenie, twierdząc, że ja ich w ten sposób lekceważę. A ja nie chciałem ich chyba martwić, mieli swoje problemy. Nie chciałem, żeby musieli myśleć o moich. Kiedy działo się coś dobrego, to wtedy im o tym mówiłem.

Pan ma poczucie winy, prawda?

– Jeżeli chodzi o syna, to tak. Dlatego, że potem sobie myślałem, że gdybym poświęcił mu więcej czasu, gdybyśmy częściej chodzili na spacer, gdybyśmy częściej rozmawiali, to może by się to nie stało.

Mam kolegów, których synowie albo córki popełnili samobójstwo, i kiedy się spotykamy, to każdy z nas wyciąga jakiś moment, który nie powinien nigdy się zdarzyć, a może miał znaczenie w kontekście decyzji dziecka.

Nie ma pan odpowiedzi.

– Nie mam i nie będę miał.

Ale nadal jej pan szuka.

– Rodzice mają niebagatelny wpływ na wybory swoich dzieci, i ten powszechny brak czasu ma rozliczne konsekwencje. Wspomniała pani, że ma córkę.

Tak. Rozumiem, że to jest ta odpowiedź, którą pan znalazł roboczo na teraz. Że to kwestia pana zaangażowania. Bo mówiąc o czasie, ma pan na myśli zaangażowanie, jak rozumiem.

– Tak, i dlatego kiedy jestem pytany: gdyby pan mógł cofnąć czas, to co, też zająłby się pan polityką? To ja mam pewien problem z odpowiedzią na to pytanie. Bo kończyłem technikum elektryczne i poszedłem do pracy jako elektryk. A zawód elektryka w polskiej polityce ma określone znaczenie, jak pani wie.

Tradycja.

– Byłem przekonany, że będę budował elektrownie, sieci przesyłowe, dużo się tym zajmowałem. Dobrze trafiłem, bo do lokalnej elektrowni. Akurat trwał remont i włączono mnie do ekipy, która ten remont przeprowadzała, miałem przed sobą turbiny. Ludzie mi ufali, byłem dobrym fachowcem, lubili mnie, i dostrzegli pewnie moje liderские cechy. Przychodzili poprosić o pomoc, kiedy mieli dostać podwyżkę i nie dostali. Albo mieli być przeniesieni, ale mimo starań coś nie wychodziło. Interweniowałem, często skutecznie.

W pewnym momencie stanąłem przed dylematem, musiałem sobie zadać pytanie, czy wolę ludzi, czy maszyny. Wybrałem ludzi.

Jadąc tu do pana, pomyślałam sobie, że to ulga móc porozmawiać z kimś, kto przeżył w życiu tak wielką tragedię jak pan, bo moja, mniejsza, jakoś się w niej mieści. Pocieszyło mnie to, że pan o tym mówi.

– Tak?

Tak. Musiał pan sobie wytłumaczyć, że warto żyć.

– Ludzie czasem odchodzą, bo nie mogą znieść poziomemu udręki. Czują, że świat rozpadł się na kawałki, ból jest zbyt głęboki, nie ma innej możliwości.

Pan to rozumie czy zna?

– Uważam, że górkę i dolkę to normalna sytuacja życiowa. Mnie one nauczyły racjonalności i pokory.

O, racjonalności.

– Tak. Stosowałem w życiu dwie zasady.

Pierwsza jest taka, że

kiedy wchodzę do gabinetu z uczuciem triumfu, to wyobrażam sobie potem też, jak będę wyglądał, kiedy go będę opuszczał, za rok, za dwa, trzy albo pięć.

Nie należy zapominać, że się go opuści. Poprzednia władza o tym nie myślała, myśleli, że będą siedzieć w gabinetach do końca świata.

Z Belką i z Cimoszewiczem, dosyć często spotykaliśmy się przy winie i zadaliśmy sobie pytanie: no dobrze, ale dlaczego my?

Druga zasada to taka: kiedy idziesz po drabinie do góry, mijasz wielu ludzi, patrzą czasem z irytacją, ale zazwyczaj najczęściej z uznaniem. Kiedy się będzie schodziło z tej drabiny, ci sami ludzie nie będą już wcale przyjaźni. Warto zrobić coś takiego, żeby ich po drodze do siebie nie zniechęcić.

Radzi pan sobie z emocjami?

– To jest moja słaba strona, stosunkowo łatwo wybucham. Staram się to powściągnąć i nad tym panować. Ale gdyby pani porozmawiała z moją żoną, to ona by się pewnie poskarżyła, że czasem nie potrafię się opanować. To jest moja ostatnia słabość, więc jak ją całkowicie zwalczę, to będę człowiekiem doskonałym.

Pan jednak dobrze myśli na swój temat.

– Trochę żartuję, ale tak właśnie jest. Ja miałem zawsze z tym kłopoty. Staralem się postępować w sposób chłodny i nikogo nie prowokować, ale czasami nagle był jakiś impuls, który wyzwalał we mnie agresora.

Pan krzyczy?

– Krzyczę, rzucam papierami, trzaskam drzwiami, a po pięciu minutach chciałabym wrócić do stanu poprzedniego, ale już się nie da. Potrafię przepraszać. Ci, którzy mnie znają, mówią: tak, tak, wiemy, nic się nie stało.

A potrafi pan zaakceptować świat, nie rozumiejąc go?

– Czasem, sztuka albo literatura wywołuje we mnie ogromne emocje, i ja nie jestem w stanie do końca ich pojąć.

A w życiu, kiedy dzieją się rzeczy, których pan nie rozumie, ale i tak trzeba je zaakceptować. Czy to sprawia panu trudność?

– Ja uważam, że świat idzie ciągle w dobrym kierunku.

Naprawdę?! Chyba żyjemy w jakichś innych światach.

– Zilustruję to pani przykładem. Wieś mazowiecka, zawsze była biedna, to nie jest polska zachodnia. Był maj, piękna pogoda jak dziś, we wszystkich domach paliło się światło. A ja odrabiałem lekcje jeszcze przy lampach naftowych. Niedaleko od tej naszej wsi, jakieś 30 km w stronę Warszawy, mieliśmy rodzinę i od czasu do czasu jeździliśmy tam na imieniny. Pamiętam, kiedy całkiem świadomie zobaczyłem chałupę, która nie miała podłogi, tylko klepisko, a przez ścianę były zwierzęta, po prostu obora.

Więc skąd się bierze moje przekonanie, że świat idzie w dobrym kierunku? Stąd. W przeciwieństwie do pani, bo jest pani na to zdecydowanie za młoda, mogę sobie plastycznie wyobrazić zmianę, która nastąpiła. Potrafię cofnąć się w wyobraźni i przeżyć to jeszcze raz. I jednocześnie powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że świat idzie w dobrym kierunku.

Rozumiem, ale musi mieć pan poczucie, że ludzie się zmieniają.

– Tak. Jednocześnie od antyku wołamy: co za czasy! Międzypokoleniowe pretensje to stała świata.

Panie premierze, muszę powiedzieć, że jest pan naprawdę stary. Jest pan absolutnie pogodzony ze światem i jego naturą.

– Tak, oczywiście

Budzi się pan od razu w tym stanie?

– Budzę się bardzo spokojnie, chociaż były czasy, gdy budziłem się złany potem. Nie ze strachu. Z obawy, czy podołam, czy plan, który sobie naszkicowałem, da się zrealizować. Czy ludzie mnie nie zawiodą.

Mężczyźni w pana wieku często mówią o swoim przeżywaniu świata, jakby go nie przeżywali. Są w stanie go opisać, ale kiedy mówią o uczuciach, to słyszą ich jakby zza ściany.

– Ja nie mam pretensji do świata, proszę pani. Mnie spotkało to, na co zasłużyłem. Zarówno dobre rzeczy, jak i złe. To moja sprawa i moja wina.

Rozumiem, panu wolność daje poczucie odpowiedzialności.

– Tak właśnie jest. Człowiek jest odpowiedzialny za swoje życie.

A intencje?

– Ludzie bardzo łatwo znajdują winnych swoich niepowodzeń gdzieś wokół, ja miałem dobre intencje, ja chciałem, ale to nie wyszło itd.

Z doświadczenia wiem, że decyzje, które podejmujemy, mają swoje konsekwencje, trzeba się z tym pogodzić. Nie można się zasłaniać intencjami. To my decydujemy, a nie okoliczności.

Późno pan dojrzał?

– To trwało długo, poczucie własnej odpowiedzialności kształtuje się w miarę doświadczenia ciała kolejnymi bliznami. Kolejnymi niepowodzeniami. Dobrze mieć przyjaciół albo polityków, ludzi, z którymi się współpracuje, którzy mają te blizny. Najgorsci są tacy, którzy mają ciało gładkie jak pupa noworodka.

Zna pan taki rodzaj człowieka, który pod wpływem blizn zaczyna manipulować światem, zamiast się uczyć?

– Oczywiście, przyznanie się do winy, albo błędu, to jest jedna z najbardziej trudnych czynności człowieka. Zawsze jest ochota, żeby się podzielić albo wskazać: to nie ja, to on. Więc jeżeli człowiek potrafi powiedzieć: tak to moja wina, jest na dobrej drodze. Dla niektórych ludzi jest to niewykonalne.

A pan nigdy nie uległ takiemu myśleniu, żeby wziąć więcej, niż się panu należy. Pieniędzy, władzy, wpływu?

– Co do władzy, to uważałem, że premier ma za mało władzy. Kiedy spotykałem się jeszcze z Donaldem Tuskiem, mieliśmy takie same przemyślenia w tej sprawie.

Jeśli chodzi o dobra materialne, cóż, przez 20 lat mieszkalem niedaleko stąd, w segmencie, było mi tam bardzo dobrze i dalej byśmy tam mieszkali, ale musieliśmy podjąć decyzję. Tutaj mieszkał nasz syn, musieliśmy podjąć decyzję, co robimy, i uznaliśmy, że tamten dom trzeba sprzedać i za te pieniądze dokończyć dom syna i się tu sprowadzić.

Wielu kolegów mówiło mi, żeby stąd uciekać, bo nigdy nie wyzbędziemy się różnych skojarzeń, wizji. Ja z kolei uważałem, że nie da się uciec. Można się gdzieś przeprowadzić, ale wspomnienia, przeżycia zameldują się pod nowym adresem.

Moja żona okazała się twardsza niż ja. Nasz syn umarł w sierpniu, stanęliśmy przed dylematem, jak ma wyglądać pierwsza Wigilia. Żona zdecydowała, że wigilia odbędzie się tutaj i zaprosimy całą rodzinę,

nie tylko z Warszawy, ale również z innych miast. Ja się trochę tego bałem. Zastanawiałem się, co się stanie, jeśli ktoś nie wytrzyma, rozplacze się.

Jak było?

– Było poważnie, ale bez hysterii. Było wolne miejsce i wszyscy wspominali syna, ale nikt się nie zalał.

Przeciwstawiliście się.

– Dokładnie, przeciwstawiliśmy się próbie ucieczki. Ja nigdy nie uciekam, z przeżyciami trzeba się zetrzeć. To będzie być może nowa blizna. Także tak to wygląda, droga pani.

Jeszcze tu sobie chwilę posiedzę, jeżeli pan pozwoli. Jest u pana pięknie, czasem patrzę na takie domy i myślę sobie, że jestem na końcu przewodu pokarmowego społeczeństwa.

– Niech pani sobie pomyśli, że ma pani całe życie przed sobą. Tak wiele może się zdarzyć i z pewnością się zdarzy. Ja jestem do brym przykładem, że można się podnieść i że niepowodzenia nie wynikają z tego, że się człowiek przewróci, ale z niechęci do wstania. Trzeba chcieć wstać, więc niech pani wstanie. ●

Leszek Miller

• (1946) – magister politologii. W latach 2001-04 premier RP oraz przewodniczący Komitetu Integracji Europejskiej. Poseł I, II, III, IV i VII kadencji. W latach 1993-96 minister pracy i polityki społecznej, w 1997 r. minister spraw wewnętrznych. W PRL był członkiem, a następnie sekretarzem i członkiem Biura Politycznego PZPR. Współzałożyciel SdRP. W latach 1999-2004 i 2011-16 przewodniczący SLD. Od 2019 do 2024 r. poseł Parlamentu Europejskiego

Wszystko wszędzie naraż

20 proc. pokolenia Z postrzega siebie jako osoby niebinarne. Nie tylko o płeć chodzi.

Natalia Mazur



I ółty będzie nowym czarnym, dachy – ogrodami, przyjaciele – rodziną. W restauracjach staną długie stoły, przy których jeść będziemy lokalne, sezonowe warzywa. Mężczyźni zajmą się dziećmi i pielęgnowaniem urody, technologia pozwoli porzucić miejskie biura. A przede wszystkim: przestaniemy się bać. Baliśmy się wirusów, terrorystów, pluskwy milenijnej, najwyższy czas wkroczyć w XXI w., erę optymizmu.

Kres lęku Li Edelkoort, prognostyczka trendów, wieszczyła w 2010 r. Violetta Szostak opisała jej przewidywania w „Wysokich Obcasach Extra”. Pamiętam tamten wykład i westchnięcia zachwytu, gdy Edelkoort pokazywała zdjęcia farbowanych kwiatami ubrań.

14 lat później jestem na warsztatach prognozowania trendów prowadzonych przez Sem Devillart. Analityczka kultury twierdzi, że przewidzieć przyszłość możemy tylko dzięki dobrym rozumieniu teraźniejszości. Dzieli się swoją metodą identyfikowana ducha czasów.

Siedzimy przy stołach zarzuconych zdjęciami. W ramach zadania domowego każdy uczestnik warsztatów miał sobie przy-

pomnieć, jakie filmy, książki, dzieła sztuki i propozycje ze świata mody w ostatnim czasie przykuły jego uwagę, uznał je za innowacyjne, świeże, zadziwiające, ważne, choć niekoniecznie musiały się spodobać.

Wśród zdjęć oczywiście okładka „Chłopek”, książka o sztucznej inteligencji, „Happy Apocalypse” z wybuchem na okładce. To część pierwsza procesu – wylapywanie sygnałów. Devillart nazywa to fazą meduzy – dryfujesz w oceanie sygnałów, chwytając je bez żadnej intencji.

Devilleart jest historyczką sztuki, studiowała też semiotykę, design i komparatystykę religii. Jej rodzina często się przeprowadzała, dorastała więc między trzema kontynentami, zna siedem języków. Ducha czasu nazywa po niemiecku – Zeitgeist – pasuje lepiej niż angielski vibe.

Zoologii nie studiowała, nie czerpcie więc z tego tekstu wiedzy o zwierzętach. Drugiemu krokowi patronuje wiewiórka. – Wiewórki zachowują się, jakby miały deadline. Zbierają, organizują, porządkują – mówi Devillart.

Na tym etapie przeglądamy wydruki i szukamy porządku, struktur, które łączą nasze sygnały. „Zobaczcie, tu nie ma żadnych kolorów, wszystko szarobure, błotni-

Przyszłości do życia

- Co nas czeka w przyszłości? W serwisach informacyjnych doniesieniom o fantastycznych wynalazkach towarzyszą zapowiedzi katastrof. Pewne jest jedno: świat będzie się zmieniał, a wśród klęsk i innowacji toczyć się będzie nasza codzienność. Będziemy się uczyć, pracować, mieszkając, odpoczywać, rozwiązywać problemy i doświadczać szczęścia.
- Rozpoczynamy cykl PRZYSZŁOŚCI DO ŻYCIA, w którym chcemy się przyrzyć możliwym scenariuszom przyszłej codzienności. Nie zamieszkamy ani straszyć, ani roztaczać świetlnych wizji. Piszemy o przyszłościach w liczbie mnogiej, bo wierzymy, że nie ma jednej perspektywy i nic nie jest jeszcze przesądzone.
- Ale przyszłość z naszego hasła może być też odczytywana w dopełniaczu. Chcemy PRZYSZŁOŚCI DO ŻYCIA. A czy taka będzie, zależy od tego, jak dobrze przemyślimy ją dziś.

ste”, „I nikt nie pokazuje twarzy, nawet modelki ukryły je w kołnierzach” – słyhać znad stolików. Notujemy na karteczkach skojarzenia: niepokój, indywidualizm, zapach, konfrontacja z tym, co trudne.

Duch czasów lat 20. XXI w. to raczej mroczne widmo. Era optymizmu skończyła się na długo przed tym, jak Kuba Błaszczkowski odważył się wklepać sobie serum w reklamie drogerii.

Trzeciemu krokowi patronuje motyl. Na tym etapie – znając już ducha epoki – ekspert od trendów przekłada go na konkretny produkt, usługę, propozycję dla wydawnictwa, radę dla polityka lub fundacji. „Duch czasów jest taki a taki, ludziom będzie potrzebne to i tamto (albo to i owo zapagną kupić)”.

My mamy wymyślić potrawę dla McDonalda i zaprojektować perfumy dla Chanel. Fajne ćwiczenie dla wyobraźni, choć gdy świat pogrążony jest w lęku, trudno szukać pociechy w zapachach.

W mojej grupie powstają perfumy pachnące powietrzem po deszczu. Moim faworytem jest „komfortowy burger” wymyślony przez grupę ze stolika obok – w smaku ma nas niczym nie zaskakiwać, w dzisiejszym świecie mamy dość niespodzianek.

NATALIA MAZUR: Prognozy Edelkoort były takie pogodne!

SEM DEVILLART: Zmieniła się rzeczywistość wokół nas, ale też to, w jaki sposób ją odczytujemy. A poza tym Edelkoort sprzedaje inspiracje, ja się zajmuję trochę czymś innym.

Pracowaliście razem, prawda?

– Tak, to była moja pierwsza praca, w jej studiu Trend Union w Paryżu.

Studiowanie sztuk wizualnych nauczyło mnie, że z tego, jak ludzie malowali, projektowali domy, można wywnioskować też, jak myśleli. Więcej powiem o tobie, gdy będę wiedziała, jakiej muzyki słuchasz, niż gdy podasz mi swoje wykształcenie i wiek.

Chciałam badać te związki, ale akademia wydawała mi się mało dynamiczna. Lubie przewidywać przyszłość, nie interesuje mnie jednak, co się stanie za 30 lat, bo w tak długim okresie zawsze może się zdarzyć coś, co wywróci mój model. Krótki termin jest lepszy, szybko się dowiaduję, czy miałam rację. Szukałam dziedziny, w której wykorzystam swoje zainteresowanie technologią, muzyką, kulturą narkotykową...

Ktoś powiedział mi: zajmij się modą. Projektanci muszą być na bieżąco z kulturą, by trafić ze swoimi kolekcjami. Moda pędziła, w latach 90. była bardzo szybka. Co trzy miesiące nowe propozycje.

przyswajania niż ten, w którym zagłębiasz się w jakiś tekst.

Myślę, że wielki trend, jakim jest niebinarne myślenie o świecie, to właśnie efekt takiego obcowania z treściami. 20 proc. pokolenia Z postrzega siebie jako osoby niebinarne. Niebinarność dotyczy nie tylko płci, w ich postrzeganiu świata kontury są zatarłe, a wszystko ulega nieustannym zmianom.

Wszyscy żyjemy w multiwersum

Aby przedstawić swoją koncepcję ducha czasów, Devillart cofa się do lat 80. Najpierw zagadka: co łączy kontrastowe getry zakładane do legginsów, taniec electric boogie, w którym każda część ciała sprawia wrażenie tańczącej osobno, z polityką Reagana i Thatcher? Odpowiedź za chwilę. Podpowiem: to jedna z cech ducha tamtych czasów.

Drugim przymiotnikiem, który opisuje tego ducha, jest „duży”. Jak mięśnie Rambo, włosy z trwałą ondulacją, guma Hubba Bubba, poduszki na ramionach, posiadłość Carringtonów z serialu „Dynastia”, nasze ambicje oraz mniemanie, jakie mamy o sobie, gdy wciągniemy kokainę. (Żeby sobie uzmysłowić, jak zmieniło się nasze podejście do superbogaczy, porównaj, jak byli przedstawieni Blake i Crystle z tym, jak sportretowani zostali bohaterowie „Sukcesji” czy „Białego Lotosu”).

W multiwersum światy są równoważne, nie ma ostatecznych instancji, uniwersaliów, Sądu Najwyższego z rozstrzygającym wyrokiem, nawet święte hasło „prawa człowieka” rezonuje słabiej. Spójrzcie na granicę polsko-białoruską, gdzie nieustannie rozbija się o pojęcie „wojny hybrydowej”.

Jeśli tak jak ja dorastaliście w latach 80., możecie kojarzyć pewien obraz, mam wrażenie, że był wszędzie: w książkach dla dzieci, plakatach Unicefu – to radosna wizja przyszłości: kolorowe ludziki tańczące wokół planety. Cały duży świat był nasz, wspólny. „We are the world”. A raczej: „we were”.

Kolorowe ludziki już nie chwycą się za ręce i nie zatańczą wokół planety?

– Pamiętam tę komiksową wizję przyszłości. Idea jednego świata bazowała jednak na wartościach białego mężczyzny, pomijała peryferia, niuanse. Dziś w Stanach Zjednoczonych progresywne siły mówią: „Jesteśmy zróżnicowanym krajem, słusznie będzie dać głos każdej z grup”. I z jednej strony trudno mi nie kochać kogoś, kto chce dać mi głos, z drugiej – to dla mnie trudne, bo byłam wychowana w innych wartościach.

Martin Luther King mówił, że marzy mu się kraj, w którym kolor skóry jego dzieci nie będzie miał znaczenia. Po zabójstwie Goerge’a Floyda ta postawa już nie obowiązuje. Już nie jesteś po prostu dzieckiem

watystów – jest tworzenie realnych, niewirtualnych wspólnot. Ponieważ młodzi coraz bardziej siedzą w urządzeniach, trzeba tworzyć dla nich miejsca, w których mogą się spotykać, świętować, ćwiczyć bycie razem. Wspólnota to konkret, zjawisko z litego świata.

Skąd się biorą nasze myśli

Badaniem tego, jakie treści do nas docierają i jak budujemy z nich wizję świata, zajmuję się Harmony Labs – laboratorium badawcze, w którym Devillart jest częścią zespołu. Sercem laboratorium jest Narrative Observatory, obserwatorium narracji. Na bazie danych pochodzących od ponad 300 tys. osób (które zgodziły się na to dobrowolnie i otrzymują za to wynagrodzenie) minuta po minucie na bieżąco obserwują zachowanie publiczności w przestrzeni medialnej. Co oglądają w streamingu, co na YouTube, jakie widzą paski w telewizji, w jakie newsy klikają, jakie wpisy w social mediach ich angażują, w jakie grają gry.

W ten sposób laboratorium zidentyfikowało cztery główne typy publiczności – każda żyje w innym krajobrazie medialnym. Publiczność, dla której ważna jest wspólnota i wartości liberalne, czyta „New York Timesa”, liberalni zwolennicy autonomii oglądają memy, konserwatyści ze wspólnotowym nastawieniem śledzą Oprah Winfrey, a indywidualistyczni konserwatyści, dla których ważną wartością jest władza, lubią serial „Ancient Aliens”, w którym pseudonaukowe hipotezy o starożytnych astronautach pokazywane są jako fakty (Fox News oczywiście też). To oczywiście tylko przykłady, krajobrazy medialne są bardziej rozbudowane, Harmony Labs zrobiło nawet playlisty na Spotify z ulubionymi piosenkami każdej publiczności.

„Zanim stworzysz swój kontent, dowiesz się, do jakiej publiczności masz przemówić, jak i gdzie” – pisze Harmony Labs na swojej stronie. W połączeniu z danymi demograficznymi analitycy potrafią powiedzieć, jaką część stanów zamieszkuje dana publiczność. A badając detale przekazywanych treści, poszczególne frazy i ich kontekst, ocenić, jakie historie w danej grupie rezonują najskuteczniej.

Przykłady badań? Firma konsultingowa specjalizująca się w storytellingu chciała wiedzieć, jak uodpornić młodych mężczyzn na treści niosące narrację ultranacjonalistyczną. Okazało się, że młodzi wcale po takie treści nie sięgają, to domena starszych mężczyzn. Młodzi za to lubią zabawę i przekraczanie norm. Wizję świata budują z kawałków: z jednego zabawnego filmu czytają, że społeczeństwo jest zepsute, z innego, że istnieje jakiś naturalny porządek oparty na rasie, płci lub religii.

Szczepionkę należy serwować tam, gdzie bywają w poszukiwaniu rozrywki. Dla przedstawicieli badanej grupy istotną wartością jest władza, ale nie lubią, gdy mówi się im, co mają robić – i w tym badacze widzą szansę na to, że będą skłonni przeciwstawić się autorytaryzmowi.

Na zlecenie innej organizacji Harmony Labs szukało odpowiedzi, jak dotrzeć do publiczności z przekazem o zmianach klimatu. Oszacowali, że styka się z nim 7 proc. odbiorców. O zmianach klimatycznych mówi się i pisze przez okazję wiadomości politycznych, tymczasem 40 proc. odbiorców unika newsów w jakiegokolwiek postaci. Jeśli nawet zdarza im się zajrzeć na strony dzienników, to po to, by sprawdzić przepis na zapiekankę ziemniaczaną.

Nie trzeba czytać wiadomości, żeby swoje wiedzieć, rzetelne doniesienia mieszają się w naszych głowach z popkulturą. To przykład z innego badania: po obejrzeniu „Civil War” Alexa Garlanda – osadzonej w przyszłości historii o pracy reporterów podczas wojny secesyjnej w Ameryce – u widzów może wzrosnąć akceptacja dla politycznej przemocy. Harmony Labs zmierzyło to na grupie 800 ochotników, połowie pokazało (tylko!) zwiastun filmu, połowie inną, neutralną treść. Odporna na akceptację przemocy okazała się progresywna pu-

Na placu zabaw możesz usłyszeć, jak jedno dziecko krzyczy do drugiego: „Nie kolonizuj mnie!”

Wraz z zespołem skanowaliśmy więc świat w poszukiwaniu tego, co rozkwita, zaciekawia, jest świeże. Li swoje prognozy przedstawia w efektownych albumach, by stały się natchnieniem dla działów kreatywnych, projektantów sukienek i samochodów, ale nie sądzę, by kiedykolwiek zatrudnił ją np. polityk, bo jest różnica między rozpoznawaniem rzeczy, które zachwycą, a stawianiem diagnozy.

Dziś współpracuję przede wszystkim z branżą wydawniczą. Wydawcy poradników chcą wiedzieć, po jakie książki czytelnicy, którzy chcą poprawić swoje życie, będą sięgali za dwa lata. A to wymaga ode mnie koncentracji na problemach. Nie szukam piękna.

Myślę też jednak, że mroczne fatum jest tym, co się dziś sprzedaje. Sukces telewizji Fox News polega na tym, że treści, które podaje, mają taki fatalistyczny posmak.

Nie jestem na bieżąco z Fox News, choć znam charakter tej stacji, ale myślę, że śledzenie politycznych newsów w jakimkolwiek medium może pogłębiać pesymizm.

– Gościłam niedawno na Gdynia Design Days i choć miałam mówić o designie i technologii, polityka też się pojawiła w dyskusji. Polityka i technologia mają ze sobą wiele wspólnego.

Rozmawialiśmy o dwóch kursach, które widać dziś w Ameryce. Pierwszy to Obama, energia, przyszłość, otwartość. Drugi: „Make America great again”, przeszłość, wycofanie. Myśl konserwatywna kojarzy się z czymś stałym, litym, rzeczy są ustalone. Progresywna, liberalna afirmuje zmienność, innowację, wszystko jest płynne.

I tu wracamy do tego, o czym wspomniałam na początku: do innego sposobu, w jaki czytamy rzeczywistość. Poznajemy ją, nie tylko chodząc po ulicach, naszym źródłem o niej są te urządzenia (Devilleart bierze do ręki telefon i przesuwając palcem na ekranie). Młodzi ludzie robią to cały czas, skrolują, skrolują, TikTok, Instagram, przepływają od wątku do wątku, błyskawicznie metabolizują wiadomości. To zupełnie inny rodzaj

Getry odcięte są przy kostce i kolanie, w electric boogie twoje tańczące ramię odcina się od reszty ciała, a Reagan i Thatcher cięli wydatki publiczne. Drugą cechą tamtego Zeitgeista było cięcie.

A dziś? Współczesną kulturę – twierdzi Devillart – przenika idea multiwersum, organizuje sposób, w jaki postrzegamy samych siebie i nasze otoczenie. Sygnały badaczka znajduje w popkulturze, w serii Marvela, w serialu „Rozdzielenie”, w którym bohaterowie mają inną świadomość, gdy są w pracy i gdy są poza nią, czy w oscarowym „Wszystko wszędzie naraz”, w którym wystarczy, że bohaterka założy prawy but na lewą nogę, by przejść do innej, równoważnej rzeczywistości.

– Jedna duża bańka rozbiła się na setki, tysiące mniejszych. Już nie ma jednej perspektywy, z której oglądamy świat – wyjaśnia Devillart.

Multiwersum przejawia się też w dopuszczeniu do głosu tych, którzy go dotąd nie mieli, nie tylko mniejszości etnicznych i seksualnych, ale też roślin i zwierząt. W wieloświecie wykupujemy książki o sekretnym życiu drzew, oglądamy dokumenty o grzybach rządzących światem, a w Cannes nagrodę dostaje „Io” Skolimowskiego, w którym cała fabuła opowiedziana jest z perspektywy osiołka. Rodem z multiwersum jest tegoroczne biennale w Wenecji: Adriano Pedrosa postawił w centrum dawne peryferia świata sztuki.

W multiwersum anglojęzycznym każdy wybiera sobie swoje zaimki. Jesteś she/her czy może they/their? W polszczyźnie pani minister sama decyduje, czy jest ministrami, ministerką czy może jednak ministrem.

Nie czujecie się jak Avengersi? Znajdę inny przykład. Wieloświatem jest polski wymiar sprawiedliwości. To już nie jest zwykłe starcie „dobrej zmiany” z „obrońcami demokracji”, to skomplikowany labirynt. Powiesz, że to ty masz rację, powołując się na konstytucję? Ha, musisz się uzbroić w prawnicze supermoce, bo w pokoju obok spotkasz kogoś, kto powoła się na Trybunał Konstytucyjny Przylébskiej i będziesz musiał(a) stoczyć ostrą walkę.

w szkole, jesteś czarną dziewczyną, latynoskim chłopcem, dzieckiem azjatyckim. Masz bezpieczne miejsce, w którym możesz w tej swojej grupie przebywać, ale polityki bazują na liczbach: żeby wykreować politykę równości, trzeba cię oznaczyć, scharakteryzować, policzyć.

Zasugerować odmiennność, słabość, z której cię trzeba wyciągnąć.

– I z tego też bierze się cała kultura wrażliwości, po prawej stronie krytykowana jako kultura płatków śniegu. Na placu zabaw możesz usłyszeć, jak jedno dziecko krzyczy do drugiego: „Nie kolonizuj mnie!”. Poczucie opresji, przeżycie traumy – to bardzo silne idee. Stworzyliśmy sobie w głowie szablon – opresor, opresjonowany – i przykładamy go do różnych sytuacji.

I tak, kiedy dorastałam, wizją dobrego świata był ten, w którym wszyscy trzymamy się za ręce. Dziś wizja dobrego świata to wiele równoważnych światów.

Liberałowie czują się swobodnie wśród przenikających się perspektyw, konserwatyści chcą tę rzeczywistość utwardzić, potrzebują reguł, zasad.

– Przyspieszeniu zmian społecznych towarzyszy wzrost niepewności i złożoności. Dzisiejsze odrodzenie się konserwatywnych wartości jest właśnie tego efektem. Dla wielu z nas tempo jest już zbyt duże, zbyt duża jest otwartość, za wielka abstrakcja. Zobacz, narodowy socjalizm narodził się u szczytu Republiki Weimarskiej kojarzonej z wartościami liberalnymi.

Ale skoro wrażenie dużego tempa jest wynikiem tego, jak przyswajamy informacje, to samo narzucenie konserwatywnych praw nic nie da. Zmiana technologiczna już się dokonała, nie cofniemy się do ery sprzed smartfonów.

– Technologia nadal będzie istnieć, choć pewnie coraz więcej będzie treści płatnych i większa kontrola nad nimi, internet nie będzie już taki otwarty jak u zarania. Ale myślę, że tym, czego najbardziej dziś potrzebujemy – co może przekonać także konser-

bliczność ceniąca wspólnotę (czyli ta, która czyta m.in. „NYT”) – ta film odczytała jako ostrzeżenie.

Obserwatorium narracji?

– To jest trochę jak badanie kosmosu. Kiedyś ludzie po prostu podnosili głowy i oglądali gwiazdy, ale wśród nich byli tacy, którzy chcieli poznać prawa, które nimi rządzą, więc zbudowali teleskop. Media są takim niezbadanym kosmosem. Mierzona jest oglądalność, liczone kliki, przeprowadzane sondaże wśród odbiorców – ale to tylko system wodociągowy mediów. Niewiele wiemy o samej naturze informacji, o tym, jak działa. A mnie zawsze fascynowało: jak to się dzieje, że ludzie kiedyś myśleli A, a dziś myślą B.

Myślę, że dziedziną bliską temu, czym się zajmujemy, jest chemia. Trochę trwało, zanim ludzkości udało się zrozumieć naturę materii: dlaczego coś jest bardziej stabilne, co innego szybciej się rozkłada. Idee też mają różną stabilność, a klejem, który je trzyma, są skojarzenia. Feminizm raz kojarzy się z zaslanianiem, raz z odsłanianiem ciała. Pleć, sprawiedliwość też są mało stabilne. Można powiedzieć, że badamy skład chemiczny idei. Jak się pojawiają, zmieniają, umierają, dlaczego budzą emocje.

Młodzi ludzie przez was przebadani sklejąją swoją wizję świata z kawałków. Nie zaglądalej na ultrapravicowe strony, skrajny przekaz sam się układa w ich głowach.

– Podobnie jak to robiliście na warsztatach. Z zebranych sygnałów budowaliście strukturę.

Harmony Labs lustruje publiczność, by określić, jakich trzeba dostarczyć historii, by zmienić jej sposób myślenia. Czy to nie propaganda?

– Przeprowadzamy diagnozę, przekazujemy klientom, co zadziała, co nie, ale on sam decyduje, co z tym zrobi. Budowanie przekazu to nie jest część naszej pracy. Mamy w naszym zespole nadzwyczajnie utalentowanych specjalistów od danych, którzy mogliby się zatrudnić u gigantów technologicznych. Przyszli do nas, niedużej organizacji non profit, bo są przekonani, że tu będą robić właściwe rzeczy. Dbają o obiektywizm, to liczby mają mówić.

Nie ukrywamy naszych metod ani wyników. Przygotowujemy dla klienta dokładną mapę, a to on układa strategię. I jeśli chce – może jej użyć do propagandy.

Albo przekonać się, że swoim przekazem buduje obraz świata, na którym pewnie wcale mu nie zależy, dostarczy kawałków do wspierającej przemoc opowieści. Jak to się stało w przypadku „Civil War”.

– Nie sądzę, że twórcy filmu mieli złe intencje, ale przedstawili swój film – czy raczej zrobił to dział marketingu – jako historię o starciu dwóch sił. Ja identyfikowałam się przede wszystkim z rolą dziennikarki i dla mnie głównym tematem filmu była służba ideałowi obiektywizmu. Dla mnie „Civil War” opowiada o pragnieniu uchwycenia rzeczywistości taką, jaka jest.

Ale wielu ludzi, dyskutując o filmie, ten aspekt pomijało. Przez dwie godziny chłonęli silne obrazy, by potem mówić o rychłym końcu świata. A kiedy coś wizualizujesz, to pierwszy krok do tego, by to się stało.

Publiczności chyba mało zależy na obiektywizmie. Czytając opisy przeprowadzanych przez Harmony Labs badań, co chwila traślałam na informację: ta widownia nie śledzi newsów, nie ogląda wiadomości, nie czyta.

– To klienti mówią nam, jakim publicznościom mamy się przyglądać. Mówi: „Interesuje nas taka a taka grupa, o danych cechach demograficznych, powiedzcie nam, jaki jest jej światopogląd, jakie narracje krążą w jej przestrzeni”. A tak się składa, że klientów interesują bardziej te mroczne grupy odbiorców, to nimi się niepokoją, do nich chcą dotrzeć.

Ale to, że ta publiczność nie śledzi newsów, nie oznacza, że inni też ich unikają. Bo są i takie, które oglądają. Klienci nie są jednak zainteresowani odbiorcami takimi jak my, bo my... jesteśmy OK.

Mam wrażenie, że tradycyjne media mają problem z opowieścią o sobie: nie potrafią przekonać, jak ważna dla społeczeństwa jest rzetelna wiedza.

– Zdaję sobie sprawę z tego, jak poważny to problem, bo widzę ofiary braku tej świadomości. To głównie starsze osoby, z pokolenia boomerów, w wieku mojej mamy. Czytają newsy z dzienników, ale wiele siedzi też na YouTube, a tam możesz wpaść w wir mylnych informacji.

Mam bardzo różnych znajomych – od bardzo progresywnych po konserwatyistów – i utrzymuję te znajomości, by zachować równowagę. Są wśród nich ludzie, którzy do tej pory noszą maseczki, i tacy, którzy wierzą, że ten cały COVID to był spisek Big Pharmacy i Billa Gatesa manipulującego z mikrochipami. Żaden z tych systemów wierzeń nie ma nic wspólnego z doniesieniami naukowców. Informacje ode-rwały się od rzeczywistości jak system finansowy, stały się osobnym bytem i bardziej kształtują rzeczywistość, niż ją odzwierciedlają.

Młodzi ludzie mają większą zdolność wyważania fałszu. Gdy jakieś doniesienie wydaje im się zafalszowane, zbyt wypole-

Jeśli chodzi o karierę – po co wspinać się po drabinie, skoro mogę iść bokiem? Radikalnie zmienić zawód? Różnorodność perspektyw jest zaletą. Im większą liczbą węzłów wiedzy jestem połączona, tym większa jest moja wartość w sieci, im więcej wiem, tym bardziej jestem elastyczna, bardziej wolna. Ponieważ zmiany w społeczeństwie stają się coraz szybsze, tym ważniejsze staje się szybkie uczenie się, a nie większe posłuszeństwo.

Pamiętajmy jednak o tych, którzy źle się czują w wieloświecie. Mówiłaś o potrzebie tworzenia niewirtualnych wspólnot. Jak powinniśmy kształtować naszą przestrzeń?

– Z jednej strony potrzeba nam miejsc publicznych, w których możemy się spotkać, z drugiej – nawigowanie w wieloświecie jest dość wymagające, męczące, czasem trzeba się odciąć. Potrzebujemy więc choćby małych przestrzeni całkowicie prywatnych, w których nikogo nie słyszymy, z nikim nie rozmawiamy.

Cohousing jako przykład mieszkania przyszłości? Każdy ma swój pokój lub mieszkanie, ale z pewnych przestrzeni korzystamy razem?

– Wspólnota jest kluczem. Wydaje mi się jednak, że wspólny salon nie załatwi wszystkiego, potrzeba jakiegoś pokierowania tymi interakcjami.

Dziś musimy wypracować nowy zestaw umiejętności. Wyćwiczyć intuicję, improwizację, umiejętność czytania między linijkami

rowane, mówią, że jest „glazed”, oszkolne. Więc może to kwestia czasu: dorośnie pokolenie, któremu od początku się mówi, że nie powinno wierzyć wszystkiemu, co sły-szy i widzi.

Porażka człowieka sukcesu

W multiwersum mniej jest stałych związków, utrwalonych relacji, ludzie dobierają się w zależności od potrzeb – twierdzi Devillart. Nie wiem, jak przełożyło wieloświat na perfumy albo burgery (choć – patrząc z perspektywy krowy – raczej nie byłoby to burgery wołowe), ale – robię ćwiczenie motyla – życie w multiwersum kojarzy mi się z pracą w turkusowej firmie. W takich organizacjach nie ma działów, departamentów, menedżerów ani na stałe przypisanych stanowisk. Pracownicy sami wyznaczają sobie zadania, tworząc zespoły ad hoc. W tym wykorzystają jeden talent, w drugim inny.

Dla starszych pokoleń to nie do wyobrażenia (przecież wszyscy by bumełowali!), ale może dla młodych, którzy nie znają czasów sprzed smartfonów, będzie to normalny sposób pracy?

– Jak we wszystkim, wiele zależy od skali firmy, ale ogólnie uważam, że tak. Jak mówił Marshall McLuhan: „Kształtujemy nasze narzędzia, a potem one kształtują nas”. Pewne cechy strukturalne internetu wpływają na sposób, w jaki młodzi ludzie organizują swój światopogląd.

Sieć ze swej natury nie jest systemem hierarchicznym, bardziej przypomina kratę, siatkę niż drabinę. Zamiast patrzeć w górę, patrzysz w bok i na ukos. To dotyczy też władzy: po co mi szef, skoro kolega może wiedzieć lepiej, po co szef, skoro podejmowanie decyzji można zautomatyzować. (Jestem przekonana, że algorytmy będą w przyszłości nową siłą regulacyjną). Praca zespołowa z użyciem np. dokumentów Google już ukształtowała nasz sposób działania w organizacjach.

Miejskie przestrzenie są rajem dla indywidualistów – kojarzymy wolność ze swobodą poruszania. Ceną za wolność jest jednak fizyczna samotność. Młodzi ludzie, szczególnie ci, którzy spędzili dużo czasu w wirtualnych klasach, budują w internecie własne mikroświaty, ale też głośno buntują przeciwko pracy online, bo widzą, że „fizyczny plac zabaw” coraz bardziej się zmniejsza. Należą do wirtualnych społeczności i jednocześnie tęsknią za kontaktem z żywym człowiekiem. Jednocześnie nie potrafią się w tej przestrzeni społecznej poruszać, zachowywać, patrzeć w oczy.

Wnuk Carringtona mógłby marzyć o życiu w colivingu, a nie w wypasionej rezydencji dziadka?

– Tak, myślę, że model życia w akademiku mógłby młodego Carringtona pociągać. W USA jest wiele nowych inwestycji skierowanych do młodych profesjonalistów oferujących taką usługę: mikroapartament do zamieszkania, a we wspólnej przestrzeni koordynator wspólnych zajęć.

Muszę jeszcze zapytać – bo o to na pewno jesteś często pytana – jakie książki będziemy czytać za dwa lata.

– Jak wspomniałam, zajmuję się często głównie poradnikami samodoskonalenia. Była era, kiedy świat był jak autostrada – wszyscy wiedzieli, w jakim kierunku należy dążyć. Wydawaliśmy książki o ambicji, efektywności, zdobywaniu celów – raz, dwa, trzy, masz receptę – ale wizja i ambicja mogą wręcz przeszkadzać w nawigowaniu w czasach, które są tak niepewne i wciąż się zmieniają.

Dziś musimy wypracować nowy zestaw umiejętności. Wyćwiczyć intuicję, improwizację, kreatywność, umiejętność czytania między linijkami, odnajdywanie się w sytuacji. Ciekawe jest to, że są to umiejętności bardzo obecne na Południu, wśród ludzi, którzy nie wiedzą, kiedy przyjdzie kolejny czek, nie wiedzą, co będą następnego dnia jedli.

Będziemy się więc uczyć już nie od ludzi sukcesu, ale od biednych?

– Dam ci przykład. Na skrzyżowaniach w Indiach w wielu kluczowych miejscach nie ma ulicznych światel. Tu samochody, tam słoń, tutaj osioł, krowa, ktoś próbuje przejechać riksą, ludzie idą, szaleństwo. Ale nie ma wypadków, każdy jest uważny. Światła mogłyby spowodować chaos. W Szwajcarii – przeciwnie – tam światła uliczne są doskonale zorganizowane, ale tam katastro-

fę spowodowałoby ich wyłączenie. Więc jeśli świat coraz bardziej przypomina skrzyżowanie w Mumbaju, wymyka się kontroli, trzeba być elastycznym, by w chaosie poczuć się dobrze.

To chyba nie jest czarna wizja przyszłości.

– Pomyśl o tym: chaos współczesnego świata to także szansa dla nas. Technologia się rozwija, maszyny są coraz mądrzejsze, za to my możemy rozwijać nasze typowo ludzkie zdolności, naszą wrażliwość. ●



FOT. BRIAN WANIEWSKI/HARMONY LAB

OGŁOSZENIE

Kraj/34336942

przyszłości
do życia

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wyborcza.biz

wysokieobcasy.pl

REKLAMA

MECENAS I PARTNER
MERYTORYCZNY

INVEST
KOMFORT

twórca programu
insightstudio

eprasa.pl b64bf81dfb

Widzowie
kochają, kiedy drga
jej powieka,
a nozdrza się
rozszerzają.

PORCELANOWA, ALE NIE LALKA

Marta Górna

Wielu z was, Szanowni Czytelnicy, pewnie zadawało sobie pytanie: Czy Nicole Kidman jest w ogóle dobrą aktorką? Jeśli talent przeliczamy na filmowe trofea, to oczywiście, prosta matematyka. Oscar plus cztery nominacje do tej nagrody, pięć Złotych Globów, Emmy, BAFTA; na stertę aktorskich laurów dorzuciła też niedawno Puchar Volpiego, najważniejsze wyróżnienie weneckiego festiwalu.

To prawda, że do perfekcji opanowała granie jednej bohaterki: zimnej, uprzywilejowanej fładry z przedmieść, sztywniary z kijem w tyłku, chłodnej matki, opanowanej paniusi, której życie właśnie roztrzaskało się na kawałki. Albo sama je roztrzaskała, i to z dziką satysfakcją.

Gra więc najczęściej role bardzo do siebie podobne. I najbardziej zaskakuje, kiedy podejmuje ryzyko, wychodzi ze swojej szufladki. Daje się wówczas poznać jako aktorka wybitna. Nicole Kidman jest wtedy bravurowa i zachwycająca.

Przez ostatnie ćwierć wieku zdarzyło się to jednak ledwie kilka razy. Widać za dobrze wychodzi jej kreowanie wyniosłych blondyn na skraju załamania nerwowego, kobiet sukcesu, które jednym spojrzeniem potrafią skuć pomieszczenie lodem. Idzie więc trochę na łatwiznę, gra to, co wie, że zadziała. I tak jak chcą widzowie. Bo oni Kidman za te role kochają. Uwielbiają patrzeć, jak jej maska opanowania spada, idealnie uformowane nozdrza się rozszerzają, a powieka drży nerwowo jak u sapera.

Kolejne okropne babsko

Do dziś uważam, że najlepsza Kidman to ta z „Za wszelką cenę” Gusa Van Santa: narcystyczna, groteskowa pogodynka, inkarnacja Machiavellego, psychopatka, która szczęśliwe stadło stworzyłaby z Patrickiem Batemanem z późniejszego o kilka lat „American Psycho”. Rolę dostała, bo zadzwoniła do Van Santa i powiedziała, że urodziła się, by zagrać Suzanne Stone. W jej głosie było coś, co sprawiło, że reżyser jej uwierzył.

Wspaniała była też w musicalu „Moulin Rouge!” Baza Luhrmanna jako kurtyzana Satine, roztańczonej i rozśpiewanej przedmiot pożądania wielu mężczyzn. Slapstickowa, wyrazista i uwodzicielska, czasami histeryczna i egzaltowana.

W „Dogville” Larsa von Triera, w oszczędnej scenografii, zeszła wraz ze swoją bohaterką do ostatniego kręgu piekła. W „Futrze. Portrecie wyobrażonym Diane Arbus” Stevena Shainberga była fotografką zakochaną w sąsiedzie pokrytym gęstą sierścią. W „Pokusie” Lee Danielsa zagrała fryzjerkę prostytutkę, która śle listy miłosne do zwyrodniałego mordercy i w biały dzień siła na plaży na głównego bohatera. Bo tak postępuje się z oparzeniem meduzy.

W „Niszczycielce”, bez makijażu i z ciemną, zaniedbaną strzechą, tak inną od jej nieodłącznych złotych pukli, jako sterana życiem detektyw jest tak doskonała, że trudno ją na ekranie rozpoznać.

Świetna jest też w thrillerze erotycznym „Babygirl” Haliny Reijn, który przyniósł jej właśnie uznanie w Wenecji. Gra w nim dyrektorkę generalną, która wdaje się w romans z młodym stażystą.

Media rozpisują się też o innej jej najnowszej roli, w netfliksowym serialu kryminalnym „Para idealna”. Kidman gra w nim Greer Garrison Winbury, znów okropne babsko i słynną pisarkę. O swojej bohaterce mówi, że „nigdy nie wiadomo, na czym się z nią stoi”. Oprócz tego, że naturalnie niżej.

Sama Kidman sprawia podobne wrażenie. Posągowa i chłodna w obejściu, na ekranie i poza nim wygląda, jakby zeszła z Olimpu i na chwilę zaszczyciła swoją obecnością nas, zwykłych śmiertelników.

Porcelanowa, wkurzająco perfekcyjna. Ma sznyt gwiazdy europejskiej, nie hollywoodzkiej. Wpada na czerwony dywan nienagan-na i wymuskana, a potem wraca do swojej pilnie strzeżonej prywatności.

Jej wygląd od czterech dekad jest pożywką dla tabloidów. Tym, że miała operacje plastyczne i że „z trudem porusza twarzą”, media zajmują się przy okazji każdej jej nowej roli. Fakt, wygląda inaczej niż nawet 25 lat temu, a cerę ma niespotykanie gładką jak na 57-latkę. W „Wikingu” Roberta Eggersa jej twarz mogła skołować. Nie wyglądała na skandynawską królową w średnim wieku, sprawiała wrażenie, jakby bliżej wiekiem było jej do ekranowego syna, 48-letniego Alexandra Skarsgård. Jego żonę grała zresztą w „Wielkich kłamstewkach”.

Być może, jak wiele hollywoodzkich aktorek w wieku dojrzałym, broni się jak może przed rolami matek i babć. Nie każdy chce iść ścieżką Diane Keaton, która od 20 lat gra ekscentryczną seniorkę to romansującą, to gaszącą rodzinny pożar. I nie można Kidman winić. Przez dekady ciężko pracowała na to, by nieprzerwanie być na szczycie.

W tym czasie grała w kinie klasy B (jak wiele początkujących aktorek), filmach arthouse’owych, komiksowych superprodukcjach („Barman Forever” czy „Aquaman”),

Świetna jest w thrillerze erotycznym „Babygirl”, gra szefową, która wdaje się w romans z młodym stażystą

kinie akcji („Peacemaker”), produkcyjniakach szytych pod Oscara („Wzgórze nadziei”, „Godziny”) i musicalach. Polubiła się też z serialami, w których – np. w „Wielkich kłamstewkach” czy „Dziewięciorgu nieznamych” i „Od nowa” – doszlifowała popisową minę wyniosłej gospodyni domowej na granicy implozji, dumnej reprezentantki wyższej klasy średniej.

Nie zawsze były to role dobre, bo i jej zdarzało się wystąpić w gnioście. Nieznośna była np. w „Australii”, nieśmieszna w komedii „Czarownica”. Całe szczęście, bo można by powątpiewać, czy Nicole Kidman w ogóle jest człowiekiem.

Tęsknota za obcasami

A jest z pewnością. Bywa niezręczna, nie-pewna siebie. W czasie wywiadów nieraz dukąła zdenerwowana i skrępowana. Jakby pod maską chłodu skrywała nieśmiałość. Kiedy w 2003 r. odbierała Oscara dla najlepszej aktorki – jak kpili zazdrośnicy, za występ swego doczepianego nosa w „Godzinach” – przez dłuższą chwilę nie mogła wydusić z siebie sensownego zdania. Wzruszona i zestresowana płakała i śmiała się na przemian.

Składa się ze sprzeczności. Z jednej strony można się z nią utożsamiać. Bo jak tu nie czuć wspólnoty z babką z nieporządnym kokiem na czubku głowy, w butach na płaskiej podeszwie, świeżo upieczoną rozwódką, która krzyczy z radości po sfinalizowaniu rozwodu? Ale to ta sama kobieta, która ma figurę baletnicy i cerę porcelanowej laleczki, na pierwszy rzut oka nieprzystępna i nieosiągalna. Najbardziej ze współczesnych aktorek przypomina Grace Kelly, królową elegancji i klasy ze złotej ery Hollywood. Zagrała ją zresztą poprawnie w średnio udanym filmie.

Mimo potknięć Kidman od 40 lat płynie z falą jak wytrawna surferka. Czasami z deski zmiata ją morski bałwan, ale ona zawsze wypływa na powierzchnię. Metaforycznym balwanem był też jej były mąż Tom Cruise. Ich małżeństwo przechodziło kryzys już

na planie głośnego filmu „Oczy szeroko zamknięte” Stanleya Kubricka, który inspirację do filmu o gnijącym małżeństwie czerpał ze związku gwiazdorskiej pary.

Kidman i Cruise poznali się pod koniec lat 80. podczas zdjęć do sportowego filmu „Szybki jak błyskawica”, zagrali również w przygodowym – i kiczowatym – „Za horyzontem”: o irlandzkiej dziedzicze i parobku, którzy wspólnie uciekają na Dzikie Zachód i tam znajdują bogactwo i miłość.

To właśnie po sfinalizowaniu rozwoju z nim paparazzi sfotografowali ucieszoną Kidman w drodze z biura jej adwokata. Po rozstaniu z niższym o 10 cm Cruise’em zakpiła w programie Davida Lettermana, że wreszcie „może nosić buty na obcasie”. Wcześniej śmiała się nerwowo, niepewna, co odpowiedzieć słynnemu dziennikarzowi na pytanie o rozwód.

Ale ćwierć wieku po rozstaniu z gwiazdorem niewiele osób pamięta jeszcze, że Cruise i Kidman kiedyś byli power couple show-bizu. Kidman stworzyła się na nowo. W jednym z wywiadów przyznała, że szum wokół rozstania z Cruise’em, jedną z największych gwiazd filmowych, popchnął jej karierę naprzód. Dzięki temu zaczęła dostawać propozycje, które pozwoliły jej pokazać talent.

O doświadczeniu ze scientologią nie mówi wcale. Wiadomo jedynie, że nie wstąpiła do Kościoła scientologicznego, którego Tom Cruise jest ambasadorem i wiernym wyznawcą. Podobno właśnie z tego powodu scientolodzy postanowili zniszczyć ich małżeństwo. Obawiali się, że Kidman odciągnie męża od spraw prawdziwie ważnych. Para adoptowała wspólnie dwoje dzieci, które zostały z ojcem i praktykowały scientologię. Kidman w wywiadach podkreśla, że szanuje ich decyzję i że będzie wspierała swoje dzieci we wszystkim, co postanowią.

Aktorska supermoc Nicole Kidman

Nie tylko widzowie ją kochają. Uwielbiają ją również reżyserzy. Na łamach „New York Timesa” Australijczyk Baz Luhrmann, który z Kidman pracował dwukrotnie, zachwala: „Jest wspaniałą aktorką charakterystyczną i jednocześnie może zamienić się w gwiazdę, która poniesie cały film”.

Reżyser „Godzin” Stephen Daldry dodaje: „Jest nieustraszona w swojej grze i doborze postaci, oryginalna i spragniona przygód. Ma nieustanną potrzebę podejmowania wyzwań i nigdy nie osiada na laurach”.

Jane Campion – u niej Kidman zagrała jedną ze swoich lepszych ról w „Portrecie damy” – dorzuca: „Jej aktorską supermocą jest to, że może ukazać ból, wykorzystując wybuchową mieszanekę smutku, upokorzenia i bezsilności, a przy tym być żywa i delikatna. Tak właśnie pokazuje, że jej bohaterki zostały złamane, ale nie zamierzają się poddać. Poza oczywiście biedną Virginią Woolf, która nie miała w sobie wytrzymałości Nicole”.

Musi mieć w sobie pokłady determinacji. W wywiadach podkreśla, że jest nieśmiała, a jako dziecko zmagala się z jękaniem. – Nie lubię sama wchodzić do zatłoczonej restauracji, nie przepadam za samotnym chodzeniem na imprezy – mówiła magazynowi „The Talk”. Reutersowi powiedziała z kolei, że za każdym razem, gdy wchodzi na plan, wydaje jej się, że nie umie grać. – Próbowałam się wycofać niemal z każdego mo-

jego projektu, w każdej chwili mogę podsunąć reżyserowi listę z nazwiskami aktorów, które mogą coś zagrać lepiej, przekonać go, by postawił na kogoś innego – mówiła w 2003 r. – Moja mama powtarza, że może powinnam zrezygnować z aktorstwa, bo zbyt wiele mnie to kosztuje. Widzi mnie jako pisarkę, kogoś, kto prowadzi odosobniony tryb życia. Zgadzam się z nią.

Urodziła się na Hawajach. Jej rodzice, Australijczycy, kończyli tam wtedy studia. Dzięki temu Kidman od urodzenia ma podwójne obywatelstwo – amerykańskie i australijskie. Przez trzy pierwsze lata dzieciństwa mieszkała z rodzicami w Waszyngtonie, a potem cała rodzina wróciła do Australii, gdzie Kidman zaczęła chodzić do szkoły baletowej i już jako trzylatka podobno wykazywała się talentem aktorskim. Świadomie o tej profesji zamarzyła jednak kilka lat później, podczas seansu „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. To nie Judy Garland zrobiła na niej jednak wrażenie, ale Margaret Hamilton, która w legendarnym musicalu wcieliła się w Złą Czarownicę ze Wschodu.

Dziewczyna, która przerasta innych o głowę

Rude loki, alabastrowa cera i 180 cm wzrostu – to wszystko predestynowało Kidman do tego, by zwracać na siebie uwagę. Rzuciła więc liceum, by skupić się na aktorstwie, i już w 1983 r., w wieku 16 lat, zadebiutowała w familijnym filmie „Boże Narodzenie w buszu”.

Reżyser jej kolejnego filmu – Howard Rubie – przyznał po latach, że wybrał Kidman w czasie przesłuchania, bo o głowę przewyższała inne kandydatki. W tej samej dekadzie Kidman i jej ruda czupryna zagrały też m.in. w kultowym dziś filmie „Bandy-ci kontra BMX” – o dzieciakach na rowerach na tropie rabusiów banków – i filmie karate „Królowie nocy” oraz komedii „Smaragdowe miasto”.

Przełomem dla jej kariery był jednak dopiero dreszczowiec „Martwa cisza”, w którym pewne małżeństwo wciąga na pokład swojej łodzi rozbitka o ponurych intencjach. Kidman stworzyła tu z Billym Zane’em tak nienawistny, pełen napięcia duet, że mentalnie dostrzeżono ją w Hollywood.

Pierwszą nominację do Złotego Globu dostała już na początku lat 90. – za występ w filmie „Billy Bathgate” na podstawie prozy E.L. Doctorowa. Krytycy chwalili jej występ w tym średnim filmie, pisali o ironicznym wycuciu komediowym, a kolejne role tylko utrwaliły jej popularność.

Można domniemywać, że przed hollywoodzkimi drapieżnikami chroniło ją małżeństwo z Cruise’em, maszynką do zarabiania pieniędzy i pupilem księgowych wielkich wytwórni.

Z Harveyem Weinsteinem, upadłym gigantem fabryki snów, Kidman zrobiła sporo filmów, m.in. „Wzgórze nadziei”, „Godziny”, „Innych” czy „Dziewięć”, po 2017 r., kiedy przez show-biz przetoczył się ruch #MeToo, wyznała, że Weinsteina zawsze unikała, nigdy też nie padła ofiarą jego umizgów. Twierdzi, że o oskarżeniach wysuniętych wobec byłego producenta dowiedziała się dopiero kilka lat temu.

Nicole Kidman od początków kariery angażuje się w działalność charytatywną. Jest ambasadorką dobrej woli UNICEF-u, włącza się w kampanie na rzecz przeciwdziałania przemocy wobec kobiet i zalegalizowania małżeństw jedнопłciowych w Australii, a jako Amerykanka popiera Demokratów.

W 2006 r. Kidman wyszła za piosenkarką country Keitha Urbana, niższego od siebie o 2 cm. Kiedy kilka dni temu australijska reporterka nazwała jej małżeństwo „idealnym”, Kidman wyraźnie się obruszyła. – Nie wierzę, że cokolwiek może być idealne – powiedziała.

A jednak, przez cztery dekady pozwała nam wierzyć, że sama jest niebezpieczną blisko ideału. Gdyby grała hollywoodzką gwiazdę – nazwijmy ją np. „Nicole Kidman” – w serialu Netflix’a, mielibyśmy prawo spodziewać się jakiegoś zwrotu akcji, drgającej powieki i rozszerzonych nozdrzy. ●

Katarzyna Staszak

Branża wellness jest jak ocean. Na wielką wodę składają się morza, zatoki, cieśniny, kanały. W pojęciu wellness też sporo się mieści – i budowa przydomowej sauny, i sok z selera. Rynek dobrego samopoczucia wart jest globalnie 1,8 biliona dolarów. Rządzą nim chwilowe mody, które pomaga kreować Instagram, czy – jeszcze szybciej – TikTok, ale dla biznesu ważniejsze są społeczne trendy.

Z najnowszej analizy firmy doradczej McKinsey wynika, że wiatr na wellnessowym oceanie się zmienia: „Konsumenci przejmują większą kontrolę nad swoim zdrowiem i oczekują od firm dostarczania skutecznych, popartych naukowo rozwiązań”.

Co to konkretnie oznacza? Co będzie sprzedawać się lepiej a co gorzej?

Gwyneth Paltrow optymalizuje siebie

Dziś ze wszystkich mediów społecznościowych przemawiają do nas eksperci od zdrowia i dobrego samopoczucia. Jedną z pierwszych takich influencerów była Gwyneth Paltrow, amerykańska aktorka z Oscarem na koncie. Jej firma Goop wyrosła z newslettera, który aktorka zaczęła wysyłać w 2008 r.

Na początku pisała głównie o jedzeniu. Z czasem Goop pokazywał coraz więcej produktów, które można kupić. A założycielka firmy była ich testerką. Zachęcała do sprzedaży tworzonych przez swoją firmę suplementów, kosmetyków, ubrań. Filmy na Instagram kręciła w swojej łazience lub kuchni. Produkty, były warte wysokiej ceny, bo ją zachwycaly, bo przysięgała, że działają, bo się od nich uzależniła.

– Pomyślałam, że moim powołaniem jest coś więcej niż całowanie Matta Damona na ekranie – tak Paltrow tłumaczyła w serialu dokumentalnym Netflix, dlaczego założyła firmę. O filozofii Goop powiedziała, że to stopniowe dążenie do optymalizacji siebie.

To Paltrow wprowadziła niszowe pomysły na poprawę samopoczucia do wielkiego biznesu. Pierwsza sprzedawała wibratory obok balsamu do ciała. Dziś erotyczne gadzety stoją na półkach Rossmanna. Co roku rynek dobrego samopoczucia wart jest na świecie coraz więcej, jednak w firmie Paltrow ten dział nie rósł od trzech lat. Dlatego Goop go zamyka i zwalnia część pracowników. Zostaje z kolekcją ubrań, kosmetykami i jedzeniem.

Możliwe, że wellness w wydaniu Goop przestał pasować do zmieniających się oczekiwań klientów. Konsumenci chcą już nie tylko tego, co modne, zadają sobie pytanie: „Co mówi nauka?” – twierdzą analitycy z McKinsey.

A to pytanie nigdy nie było ważne w imperium Paltrow. Kontrowersje i spory z lekarzami sprzyjały jej biznesowi. Przykład: za każdym razem, gdy dr Jen Gunter, ginekolożka, autorka „Biblii waginy” krytykowała na blogu nowy pomysł Paltrow, jeszcze więcej osób odwiedzało stronę Goop.

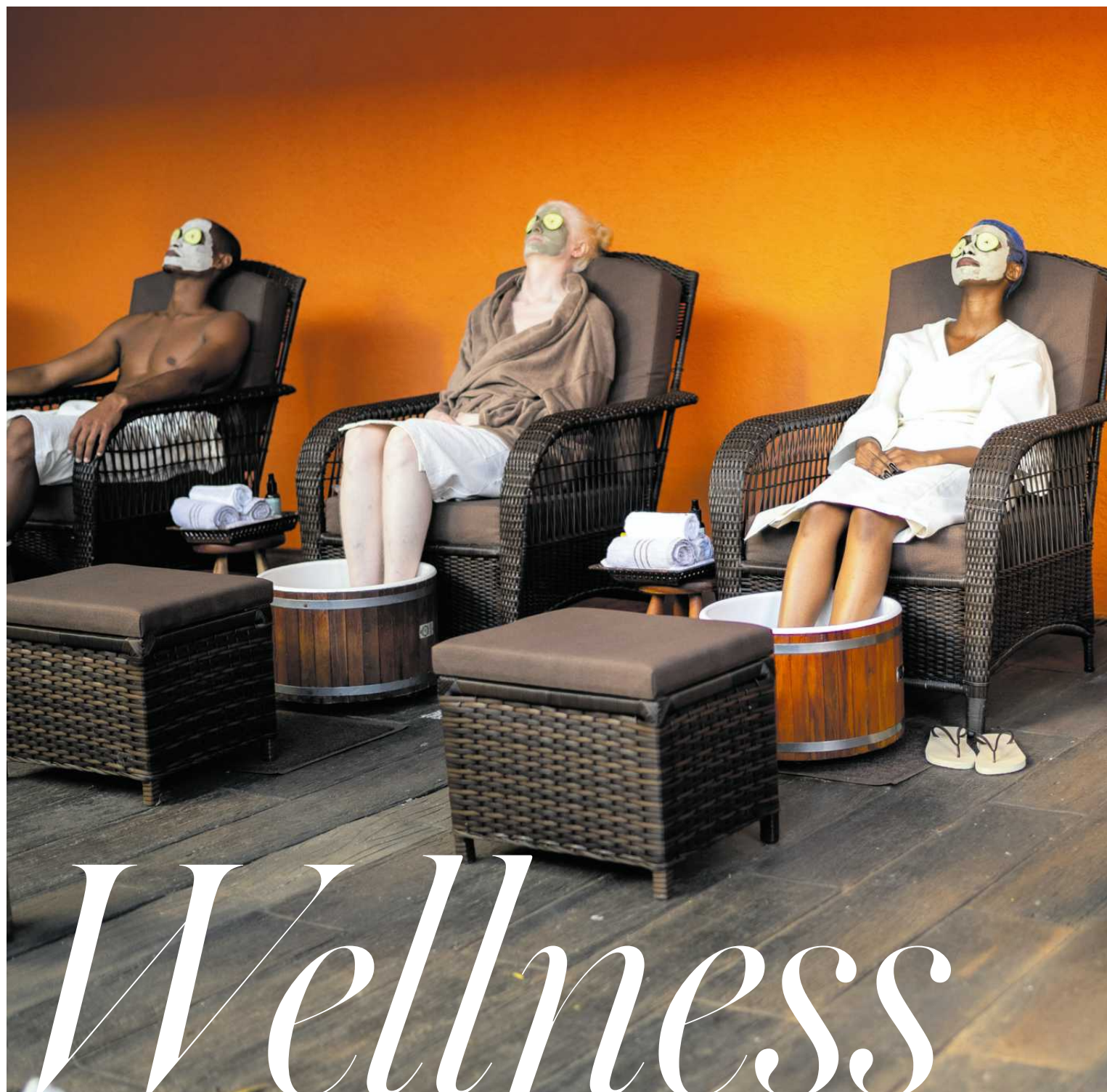
Czy Paltrow naprawdę wierzyła we wszystkie porady i produkty swojej firmy? Np. w to, że warto mówić do pitej wody? Możliwe, że najbardziej szczerą była na spotkaniu ze studentami Harvard Business School, którym powiedziała, że może „zmonetyzować te gałki oczne”. W domyśle – sprzedać da się wszystko.

Zamykając dział wellness przyznaje, że nie o każdą sprzedaż warto walczyć.

Komu wierzyć i co kupić?

– Gwyneth Paltrow, jako dobra biznesmenka, reaguje na trendy. Bardzo się z tego cieszy jako naukowiec, który walczy z szamańskimi praktykami dotyczącymi zdrowia – mówi prof. Tomasz Sobierajski, socjolog, kierownik Ośrodka Badań Socjomedycznych na Uniwersytecie Warszawskim.

– Działalność Gwyneth Paltrow to spektakularny przykład nadużyć w branży well-



Wellness DO LECZENIA

Jak słyszę opowieści o zbieraniu ziół o północy podczas pełni księżyca, to nie kupuję. Mój krem nie musi być naturalny, ma działać

ness. Aktorka twierdziła np., że leczy swoje łęki ozonowaniem odbytu i promowała jadeitowe, douchowowe jajka. Miały m.in. równoważyć hormony, regulować cykl miesięczkowy, poprawić libido. W rzeczywistości stosowanie jajka groziło infekcją – przypomina prof. Sobierajski.

Z powodu obietnic dotyczących jadeitowych i kwarcowych jajek waginalnych firma Goop została pozwana przez kalifornijski urząd ochrony konsumentów. W ramach ugody musiała zapłacić 145 tys. dol. Było to w 2018 r. Ta „przygoda” nie sprawiła, że Gwyneth Paltrow ostrożniej promowała kolejne pomysły na poprawę zdrowia. O zaletach wpuszczania ozonu w odbyt opowiedziała w wywiadzie w zeszłym roku, chociaż przed używaniem tego gazu przestrzega amerykańska Agencja Żywności i Leków.

Z powodu takich opowieści z uwagą sama śledzę instagramowe relacje Paltrow. Jestem ciekawa, co nowego pojawia się na rynku „dbania o zdrowie”.

– Rynek pseudonaukowych porad i produktów, niestety, będzie jeszcze wzrastać, choć widać pierwsze sygnały zmiany.

W 2023 r. Ipsos zbadał zaufanie do konkretnych zawodów. Łącznie w 31 krajach największym zaufaniem cieszyli się lekarze (wskazało ich 58 proc. ankietowanych) i naukowcy (57 proc.). W Polsce pierwsze miejsce zajęli naukowcy (55 proc.), a lekarze byli za nimi (45 proc.) – mówi prof. Sobierajski.

Najmłodsze pokolenia dysponujące własną pensją wydają na dbanie o zdrowie więcej niż boomersi. Nie tylko z powodu takiej czy innej mody. Czują, że potrzebują takiego wsparcia. Osoby w przedziale wiekowym 35-44 lat najniżej oceniają swój wellbeing, czyli dobrostan – wynika z raportu przygotowanego na zlecenie Benefit System.

Cyfrowy przewodnik poszukiwany

Wśród elementów podnoszących dobrostan mieszkańcy Polski wymieniają w tym raporcie: niezależność finansową (72 proc.), dobre zdrowie fizyczne (68 proc.), poczucie bezpieczeństwa (64 proc.), czy zdrowie psychiczne (63 proc.).

Od zakupów nie poprawi nam się poczucie bezpieczeństwa, a oszczędności tylko zmniejszą, ale w suplementach widzi-

my rozwiązanie problemów zdrowotnych. A masaż czy internetowy kurs oddychania mogą pomóc zmniejszyć stres, czyli poprawić zdrowie psychiczne.

Ponieważ rynek dobrego samopoczucia jest wielki jak ocean lubimy mieć przewodników. Niemal połowa Polaków szuka w internecie informacji dotyczących dobrego samopoczucia i zdrowia. Dla 21 proc. miejscem takich poszukiwań są media społecznościowe, blogi i podcasty – podaje raport marki Maczfit „Sztuka dobrego jutra”. Możemy zaufać lekarce, influencerowi albo konkretnej marce.

Eksperti różnią się charyzmą, sposobem opowiadania o zdrowiu, a przede wszystkim stopniem wiarygodności. Przez lata działania mediów społecznościowych staliśmy się bardziej wyczuleni na przesadne wychwalanie produktów, czyli – jak podaje raport McKinsey – zwodniczy marketingu. Dlatego znaczenia nabierają zalecenia, które słyszymy od lekarzy.

„Zalecenia lekarzy są trzecim co do wielkości źródłem wpływu na decyzje zakupowe konsumentów w Stanach Zjednoczonych” – podaje McKinsey. Decyzja-



mi z działu wellness rządzi po pierwsze impuls – kupujemy, gdy widzimy produkt w sklepie, a po drugie rekomendacje przyjaciół.

W mediach społecznościowych lekarze mają ogromne grupy followersów. Np. pediatra dr hab. n. med. Wojciech Feleszko w dwa lata zebrał sto tysięcy obserwujących. O czym mówi? O odporności dzieci, chorobach zakaźnych, konieczności szczepień, czy o pomocy w nagłych wypadkach. Często cytuje badania naukowe. Z mitami o zdrowiu i szkodliwymi praktykami lubią rozprawić się ginekolożka dr n. med. Agnieszka Nalewczynska czy dermatolożka dr n. med. Małgorzata Huczek.

O północy na łące czy w laboratorium?

Inny trend, który wpływa na branżę wellness to zwycięstwo tego, co potwierdzone klinicznie nad tym, co „czyste”, czy inaczej – naturalne. „Konsumenci zaczęli odchodzić od produktów wellness zawierających czyste lub naturalne składniki na rzecz produktów zawierających składniki przebadane” – zauważają eksperci z firmy McKinsey.

Przypomniałam sobie niedawne spotkanie ze znajomymi. Rozmowa zeszła na ulubione kosmetyki. – Jak słyszę opowieści o zbieraniu ziół o północy podczas pełni księżyca, to nie kupuję. Mam 44 lata. Mój krem nie musi być naturalny, ma działać – powiedziała koleżanka.

Tendencja wybierania tego co „naukowe” zamiast tego co „naturalne” najbardziej widoczna jest – według analityków – w kategoriach dostępnych bez recepty witaminy i suplementów. W tych produktach Polacy są wprost zakochani.

• **Rynek dobrego samopoczucia jest wart globalnie 1,8 biliona dolarów. Ale klienci stawiają teraz na opinie ekspertów. Zapewnienia infulcerek, że coś działa – już nie napędzają sprzedaży suplementów, gadżetów i zabiegów** FG TRADE/GETTY IMAGES

– W Polsce sprzedaż suplementów rośnie rok do roku o miliard złotych i nikt nie ma kontroli nad tym rynkiem. Mało wiemy o świecie, który istnieje poza naukowym obiegiem, a ma związek ze zdrowiem. Ostatecznie jego ofiary trafiają do systemu zdrowia – mówi socjolog.

Niektóre suplementy mogą poważnie zaszkodzić. – 20 proc. uszkodzeń wątroby, w tym ciężkich, jest skutkiem stosowania leków ziołowych i suplementów diety i ten odsetek rośnie z każdą dekadą. Wiele osób naraża się na interakcje lekowe, bo łączy preparaty przepisane przez lekarza z tymi bez recepty. Leki, preparaty ziołowe i suplementy diety powinniśmy brać tylko wtedy, gdy są konieczne i zalecane przez lekarza – przestrzega hepatolog dr n. med. Jan Gietka, ordynator I Oddziału w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie.

Większość suplementów jest na coś – na bóle stawów, na przejedzenie, na wzdęcia. Reklamy przedstawiają pigułki jako cudowne środki na każdą dolegliwość. Nie dowiemy się, skąd pochodzą składniki (zazwyczaj z Chin) ani co sądzi o tych składnikach nauka. Jednak najmłodsze polskie firmy wyczuły trendy – niektóre ujawniają dane o pochodzeniu surowców. Przy produktach podają listę badań naukowych, oferują konsultacje dietetyczne.

Pokolenie Z dba o zdrowie bez wyrzeczeń. Restrykcyjna dieta i pobudka o 5 rano, żeby ćwiczyć? To nie dla nich

Dziś suplementy często kupujemy, bo ktoś je polecił – przyjaciółka czy influencer. W przyszłości, dzięki sztucznej inteligencji, zalecenia będą dobierane indywidualnie – prognozują badacze trendów.

Wielkie koncerny farmaceutyczne długo gardziły rynkiem suplementów, teraz traktują go poważnie. Kupują mniejszych producentów lub zakładają własne spółki-córki.

Zmęczeni kulturą hiperzdrowia

Poszczególne pokolenia różnią się w podejściu do dbania o zdrowie. I nie chodzi tylko o to, że z wiekiem przybywa dolegliwości. Przedstawiciele pokolenie Z chcą dbać o zdrowie w sposób bardziej spokojny i zrównoważony niż przedstawiciele generacji X i Y. Restrykcyjna dieta i wstawania o 5 rano, żeby medytować i ćwiczyć? To nie dla nich. Wolą „pasywny wellness”, czyli bierne podejście do dobrego samopoczucia, ponieważ są zmęczeni kulturą hiperzdrowia – tłumaczy największą na świecie firmą badającą trendy WGSN.

Dla młodszych osób zdrowe odżywianie jest ważne, ale ma przychodzić w sposób naturalny i kojarzyć się z zabawą a nie wyrzeczeniami.

Czym więc dla generacji Z jest wellness? Wszystkim, co poprawia samopoczucie, a nie tylko zestawem określonych produktów i usług. 73 proc. zetek z Europy i USA uważa, że ktoś może ćwiczyć i jeść niezdrowe jedzenie w ciągu jednego dnia, bo jedno i drugie może być dobre dla jego samopoczucia.

Kiedy młodszy dają sobie więcej luzu, czterdziestolatki już wydają coraz więcej na produkty spowalniające starzenie. Branża długowieczności – z ang. longevity – dynamicznie się rozwija. Już niedługo będziemy mogli testem ze śliny określić w domu swój wiek biologiczny. Czyli sprawdzić, czy mamy tyle samo lat, ile daje nam PSEL czy mniej. A potem, oczywiście, kupić odpowiednie suplementy, kosmetyki i jedzenie.

Wszyscy, bez względu na wiek, obsesyjnie interesujemy się tym, co dla naszego zdrowia najbardziej naturalne i dostępne bezpłatnie – snem. Masowo zaniedbujemy dbanie o daną nam przez naturę supermoc. Albo wydaje nam się, że nie potrafimy o nią sami zadbać. Stąd zainteresowanie aplikacjami i urządzeniami monitorującymi sen. Jeden z moich najbardziej popularnych tekstów w Wyborczej dotyczył spania pod osobnymi kołdrami. Można powiedzieć – nawiązując do wypowiedzi Gwyneth Paltrow- że branża wellness zmonetyzowała sen. Dostarcza nam gadżetów do sypialni, kołdry obciążeniowe, specjalne poduszki, olejki zapachowe i suplementy.

Kolejne wielki temat, które rynek wellness zaczyna na poważnie zagospodarowywać to menopauza. Na szczęście (także dla mnie, kobiety w okresie perimenopauzy) towarzyszy temu wyspy badań naukowych dotyczących zdrowia hormonalnego. Przez lata naukowcy raczej ignorowali ten temat. Można więc liczyć, że dostaniemy nowe rozwiązania oparte na wiedzy naukowej.

Transformacja menopauzalna zainspirowała inną znaną aktorkę – Naomi Watts. Założyła wellnessową firmę dla dojrzałych kobiet, ale od początku otoczyła się lekarzami. Swoje produkty też promuje z własnej łazienki i kuchni.

Placebo dobrze nam robi

Czasem trudno odróżnić marketing od medycyny. Przykładem są dożyły wlewy witaminowe. Kroplówka kojarzy się z poważnym zabiegiem medycznym. Dożylna terapia podawane są w klinikach, spa, hotelach, a także z dowozem do domu.

W klinice blisko mojego mieszkania stoi rząd foteli, jakie kojarzymy z oddziałami chemioterapii. Klientom ma być wygodnie, podanie koktajlu witaminowego trwa nawet 1,5 godz. Najpopularniejsze są wlewy z witaminą C, ale do wyboru jest też m.in. selen, L-karnityna, koenzym Q10, kurkumina, cynk. Kroplówki mają pomóc na włosy, libido i chorobę Alzheimera.

Lekarze mówią, że takie kroplówki to bardzo drogie sikanie, bo ciało szybko chce się pozbyć nadmiaru jakiejś substancji. Rzecznik Praw Pacjenta kilkadziesiąt razy interweniował w sprawie kroplówek witaminowych opisywanych przez kliniki jako terapie wspomagające leczenie poważnych chorób. Zarzucał klinikom stosowanie wlewów bez wcześniejszego sprawdzenia stanu zdrowia pacjentów i stwierdzenia ewentualnych niedoborów witaminowych.

Mimo ostrzeżeń klientów nie brakuje. Co kieruje ludźmi, którzy korzystają z dożylnych wlewów? Wiara. Jeśli procedura kosztuje cię czas i 800 zł, a do tego ryzykujesz zakażeniem, musisz wierzyć, że to działa. A poczucie, że zrobiło się coś dla swojego zdrowia jest bardzo przyjemne.

W medycynie znany jest efekt placebo. Zdarza się, że pacjent, który przyjął placebo zamiast prawdziwego leczenia, naprawę zdrowie. Nawet sama porada udzielona przez lekarza może wpłynąć na samopoczucie.

Jeśli kupisz suplement z kolagenem na poprawę jakości skóry, zobaczysz u siebie poprawę jakości skóry. Jak inaczej wytłumaczysz sobie, że wydałaś 200 zł na zmienne odpadki z rzeźni. ●

wyborcza magazyn wyborczej		WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski; MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieślak WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (główny), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczok, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia) WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11	DRUK: Wyborcza sp. z o.o. PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwias Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44 Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Była ikoną wyzwolonych kobiet, została ikoną reakcyjnej prawicy.

Kinga Strzelecka-Pilch

Beżowa szminka na ustach i czarna kredka na górnej i dolnej linii rzęs. Wytapierowane, wylakierowane bujne blond włosy. Grzywka z przedziałkiem na środku. Duże, zdrowe, białe zęby wystające zza rozchylonych uwodzicielsko warg. Wąska talia, zarysowane biodra i podkreślona linia ramion – ideał Christiana Diora.

I Bóg stworzył kobietę – specjalnie dla męskich fantazji z lat 50. Kobietę pełną sprzeczności, żywiol niezrozumiały dla mężczyzny, kobiecą i dziewczęcą, demona i anioła, femme fatale.

Brigitte Bardot urodziła się 28 września 1934 roku w Paryżu. Francuska gwiazda w tym roku obchodzi 90 urodziny. A właściwie nie obchodzi. Nie będzie narodowej fety, państwowych obchodów ani nawet ogólnokrajowej retrospektywy filmów. W świeżutkim wywiadzie dla francuskiej prasy, który ukazał się 19 września. Bardot wyznaje: „Wypiję lampkę szampana z dwoma, trzema osobami, które będą tego dnia przy mnie. Ale nie mam ochoty na nic. Chcę tylko spokoju. Poza tym jestem w żałobie. Po Alainie [Delonie]. I w żałobie po moim psie. Nie mam ochoty na świętowanie”.

Szkoda. Bo jest jedną z ostatnich żyjących ikon kina w prawdziwym, dawnym tego słowa znaczeniu. A także ikoną stylu, popkultury, kobiecości XX wieku. Dorównywała jej tylko Marilyn Monroe. Wśród gwiazd jej pokolenia została jeszcze Catherine Deneuve (80 lat) i Sofia Loren (90 lat).

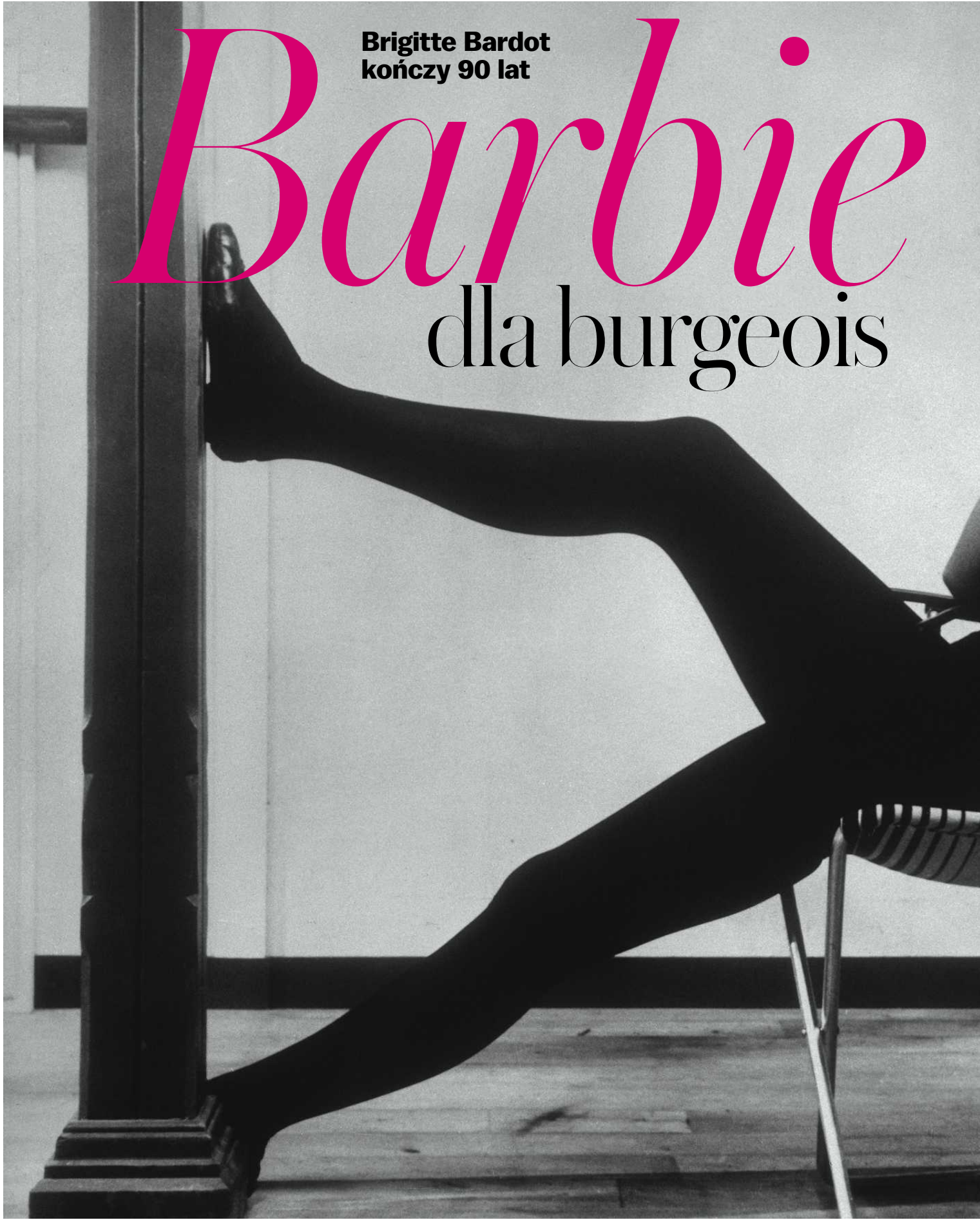
Bardotka przeżyła niemal wszystkich i regularnie żegna odchodzących pełnym szacunku, lecz zdawkowymi komunikatem. Na liście niedawno zmarłych są jej byli partnerzy, aktorzy Jean-Louis Trintignant i Alain Delon oraz Jane Birkin, która po rozstaniu Brigitte ze słynnym francuskim kompozytorem Serge’em Gainsbourg’em została jego kobietą i mużą i zaśpiewała piosenkę „Je t’aime... moi non plus”, pierwotnie napisaną właśnie dla Bardot. Brigitte odmówiła jej wykonania obawiając się skandalu.

Gracie i świadomość ciała wyniosła z zajęć baletu, na które zapisala ją matka. Uczęszczała na nie wraz z młodszą siostrą Marie-Jeanne, potocznie Mijanou, dziś 86-letnią paryżanką. Bardotce zawdzięczamy noszenie balerinek nie tylko w tanecznych salach, rozpropagowała ten rodzaj obuwia. Podobnie jak biustonosz o płtykich miseczkach, które pozwalały jej na noszenie głębokich dekoltów bez konieczności pokazywania bielizny. Kobiety oszalały też na punkcie makijażu à la Bardot. Czarnych kresek jaskółek i mocno podkreślanych oczu.

To również za sprawą matki Brigitte została modelką. Pozowała już jako piętnastolatka dla magazynu, w którym pracowała przyjaciółka rodziny. Chwilę później trafiła do jednego z wydań kultowego „Elle”. To właśnie tam zauważył ją jej przyszły mąż, reżyser, scenarzysta i playboy swoich czasów, Roger Vadim. Wakacje 1950 roku spędzili wspólnie na Francuskiej Riwierze. On miał 22 lata, ona 16. Ze ślubem musieli czekać, aż Brigitte osiągnie pełnoletniość.

Małżeństwem byli pięć lat. Wystarczyło, by zaryzykować tezę, że to Vadim, a nie Bóg stworzył tę kobietę. Wprowadził ją do świata kina, zachęcał do castingów, przy nim utleniła włosy z ciemnego blondu na kultowy ciepły, jasny odcień i zmieniła styl ubierania się.

Najważniejszym punktem w karierze Bardot, który dał jej status ogólnowswiatowej gwiazdy i ikony, był właśnie film „I Bóg stwo-



• Bardotka na planie „Życia prywatnego” Louisa Malle’a, filmu o kłopotach gwiazdy filmowej, 1962 r.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Wskazówki Bardotki dla młodszej koleżanki:
Zachowuj się tak, jakbyś chciała przespać się z każdym, kogo spotkasz. Jesteś piękną kobietą, korzystaj z tego, to nie potrwa długo

• Z Jean-Louis Trintignantem w „I Bóg stworzył kobietę” Rogera Vadima z 1956 roku.

FOT. NANA PRODUCTIONS/SIPA/EAST NEWS

1 RP



• **Brigitte Bardot demonstruje przeciwko transportowi żywych zwierząt. Bruksela, 1995 r.** FOT. JACQUES COLLET/AFP/EAST NEWS

• **Z Jane Birkin w filmie Rogera Vadima „Gdyby Don Juan był kobietą” z 1973 roku.** FOT. NANA PRODUCTIONS/SIPA/EAST NEWS



rzył kobietę” z 1956 roku, napisany i zrealizowany przez Vadima. Równie ważny okazał się w karierze samego reżysera – autorski debiut od pomysłu do gotowego filmu okazał się hitem w Stanach Zjednoczonych.

Historia jest prosta – młoda Juliette łamie męskie serca w Saint-Tropez, w tym serce Michela, którego zagrał Trintignant. Reżyser podkreślał, że Juliette reprezentuje nowoczesny typ kobiecości, „jest kobietą swoich czasów, pozbawioną poczucia winy, łamiącą społeczne tabu, jej seksualność jest całkowicie wyzwolona”. Do historii kina przeszła scena tańca Brigitte/Juliette, która demonstruje swoją urodę, niezależność i przekorę. Jej mambo jest dzikie, jej policzki są czerwone, jej zielona spódnica podkreśla jej figurę i odsłania nogi aż do czarnych fig. Scena trwa długo. Kamera śledzi demonstrującą siłę kobiecości bohaterkę.

Bardot, choć w pełni wykorzystała swoje fachowe umiejętności taneczne, wspominała, że ten taniec był całkowicie improwizowany: „Oddałam się instynktom. Tańczyłam, jak miałam ochotę, dałam się nieść muzyce, to tyle”. Sceną zachwycała się sama legenda feminizmu Simone de Beauvoir.

Ekranowi zakochani, Juliette i Michel, stali się parą w rzeczywistości, co spowodowało rozstanie Bardot z Vadimem w 1957 roku. Przetrwała jednak jej miłość do Saint-Tropez i południa Heksagonu – jak nazywają Francuzi swój kraj – którą dzielają miliony jej rodaków ciągnących w gigantycznych korkach na Lazurowe Wybrzeże w sierpniu każdego roku. Od 1958 roku jest właścicielką tamtejszej posiadłości La Madrague, gdzie obecnie mieszka i ukrywa się przed całym światem. W 1963 roku zaśpiewała nawet piosenkę o tym miejscu i o nostalgii związanej z opuszczeniem letniego domu na okres jesienno-zimowy.

Już za życia wyraziła życzenie, aby rezydencja po jej odejściu stała się muzeum, a dochód ze sprzedaży biletów zasilił Fundację Brigitte Bardot. Podobnie jak Alain Delon – który w tym roku został pochowany na terenie swojej posiadłości, przy ukochanych psach – chce spocząć we własnym ogrodzie. „Imię, data urodzenia, data śmierci. Mały drewniany krzyż. Nic więcej. Chcę być pochowana jak moje psy, koty, konie, barany, do których dołączę”.

W ojczyźnie „I Bóg stworzył kobietę” nie odniósł na początku wielkiego sukcesu komercyjnego, Vadim musiał poczekać na premierę w Stanach, by docenił go Stary Kontynent, co nie przeszkodziło Bardotce zostać elektryzującą sensacją festiwalu w Cannes ’56. Francuska prasa była zachwycona młodą aktorką i okrzyknęła ją przyszłą wielką gwiazdą, skazaną na sukces. Bardot odwiedziła wtedy mieszkającego w pobliżu w Valauris Pabla Picassa, który oprowadził ją po swojej pracowni. Co prawda nigdy jej nie namalował, jednak większość portretów tego modelki Lydii Corbett jest ludzko podobna do Bardot.

Trudno ustalić, kto był pierwowzorem „dziewczyny z kucykiem”. 74-letni malarz i 21-letnia aktorka nie spotkali się już później, ale ten jeden raz wystarczył. Zdjęcia z tamtego dnia wydrukował „Life”. Bardot weszła z hukiem do świata sztuki, kultury i show-biznesu.

W tym samym roku jesienią pojechała do Londynu na coroczną galę Royal Command Performance, gdzie poznała nie tylko królową Elżbietę, ale również samą Marilyn Monroe. Z podziwem wspominała ame-

rykańską aktorkę: „Monroe była dla mnie wzorem kobiety, nie tylko ja marzyłam, żeby być taka jak ona. Była piękna, urocza i krucha”. Do historii przeszło zdjęcie, na którym Bardot grzecznie i nisko dyga przed monarchinią.

Ale ta grzeczna dziewczyna ze zdjęć wcale nie jest tak układna. Nie boi się bezpośrednio wyrażać poglądów. Również tych pod prąd społecznym trendom.

Zaczęła progresywnie i z przytupem – wyprzedziła epokę w humanizacji zwierząt domowych, przyczyniając się do wzrostu świadomości ekologicznej zwykłych ludzi, uwrażliwienia opinii publicznej na prawa zwierząt i popularności ekologicznego aktywizmu w latach 70. Jako jedna z pierwszych celebrytek oddała się działalności charytatywnej, porzucając wielką karierę. Ale poza tym jej poglądy nie układają się w pakiet, jakiego oczekuje się współcześnie od wyzwolonych kobiet ze świata kultury i sztuki. Jest ekstremalnie lewicowa, tylko jeśli chodzi o prawa zwierząt.

„Z wiekiem jestem coraz bardziej zbuntowana” – wyznała w jednym z ostatnich

GENERAL



FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

WYPAROWAŁ

Zapomnieliśmy o zasługach Wojciecha Jaruzelskiego. Przecież byli. Oto nowe polskie białe plamy.

Andrzej Romanowski*

Gdy wywiadująca niegdyś Wojciecha Jaruzelskiego Teresa Torąńska zadała mu wszystkie już pytania, rozmówca sam wywołał pytanie dyżurne: o stan wojenny. „Bez stanu wojennego – powtórzył swą stałą opinię – niemożliwy byłby Okrągły Stół”. „Nie zgadzam się z panem” – odpowiedziała Torąńska i zakończyła rozmowę.

Trudno mieć pretensje, że nie argumentowała – był to w końcu wywiad Torąńskiej z Jaruzelskim, a nie odwrotnie. A jednak to zakończenie... jakże jest charakterystyczne! Wszak od 40 lat tak właśnie w Polsce rozmawiamy. Nie jesteśmy w stanie uwolnić się od własnych przeżyć i emocji. Na argumenty Jaruzelskiego odpowiadano nie tylko aktami strzelistymi nienawiści, ale oskarżeniami prokuratorskimi i procesami sądowymi, bywało, że i przemocą fizyczną. Iluż to z nas nie potrafiło uznać, że może ma on jakąś rację.

Jest dla nas za trudny. Wnuk powstańca styczniowego i syn weterana wojny polsko-bolszewickiej, przeszedł ze swym szlacheckim rodowodem i herbem Ślepowron drogę dokładnie odwrotną niż jego przodkowie. I nawet odwrotną niż on sam, 16-latek: uczeń gimnazjum ojców marianów, katolik i harcerz, kultuwający legendę lwowskich Orłąt. Oraz on 18-latek: zesłaniec i sybirak. W latach stanu wojennego moje środowisko uznawało Jaruzelskiego za janczara. Po-

gład, że „on coś jednak ocalił”, usłyszałem tylko od starego antykomunisty, emigranta w Londynie.

W kraju bowiem nie zdawaliśmy sobie sprawy z zagrożeń roku 1981. Ale czy to nas usprawiedliwia? Czyżbyśmy nie znali historii? Nie wiedzieliśmy, w jakim miejscu na ziemi i w jakim systemie żyjemy? Wiele lat później prof. Jerzy Wiatr odnalazł czechosłowacki dokument z 1981 r., zawierający plan podziału Polski na trzy strefy okupacyjne.

Stan wojenny jako warunek Okrągłego Stołu? Ta teza, dla Torąńskiej niemożliwa do przyjęcia, jest może i tak zbyt łagodna. Wszak zagrożone mogło być wtedy coś znacznie większego niż polska transformacja ustrojowa. Nie wiem, na jakim szczeblu i w jakim stadium decyzyjności należy lokować wspomniany dokument. No i strefy okupacyjne to jeszcze nie rozbiory.

A jednak gdyby rzeczywiście do nich doszło, jakich represji dla spacyfikowania rodaków i jakiego serwilizmu wobec hegemonu trzeba by było użyć, by ci hipotetyczni okupanci uznali, że nie są już potrzebni? A o tym, czy są potrzebni, decydowaliby przecież oni sami. Bo najgorsze, co w 1981 r. mogło nam się przydarzyć, to wypuszczenie polskiej sprawy z polskich rąk.

Tego większość społeczeństwa nie rozumiała. I w wielkiej swej części nie rozumie do dziś. W myśl patriotycznego stereotypu Jaruzelski w grudniu 1981 r. powinien był swój życia los rzucić na stos. Tyle że razem z życiem własnym rzuciłby na stos życie państwa, które – choć nie suwerenne – było przecież polskie, a po październiku 1956 r. dobiło się tak wyjątkowej odrębności, że nazywano je, z nieuchronną ironią, „najweselszym barakiem w socjalistycznym obozie”. Naprawdę nie byłoby szkoda?

Bo przecież rezultat był przesądzony. „Socjalistycznej Polski, bratniej Polski nie opuścimy w biedzie i nie damy jej skrzywdzić” – deklarował już w lutym 1981 r. Leonid Breżniew. Sąsiedzi Polski mieli – pi-sze gen. Franciszek Puchała – „istotną przewagę nad

Wojskiem Polskim: w dywizjach 5-krotną, w czołgach ponad 7-krotną, a w lotnictwie niemal 4-krotną”. No i wojska sowieckie były na miejscu, stacjonowały w Polsce. Czy zatem odpowiedzialny przywódca mógł podjąć decyzję inną niż stan wojenny? Jaki zaś zamysł towarzyszył wyprowadzeniu wojska z koszar, to dopiero ostatnio wykazał Robert Walenciak.

Że stan wojenny był dramatem, a w niejednym przypadku tragedią – temu nikt nie przeczy. I nigdy temu nie przeczył Jaruzelski, który przy każdej okazji przeproszał i odpowiedzialność brał na siebie. Znamy jednak proporcje: każda kolejna doba trzydniowego zamachu stanu Józefa Piłsudskiego w maju 1926 r. pochłaniała znacznie więcej ofiar niż rządy Jaruzelskiego nie tylko w stanie wojennym, lecz w ogóle w latach 80. Po drugie: los internowanych i uwięzionych, choć trwający znacznie dłużej, nie da się jednak porównać z brutalnością, która spotykała byłych posłów zamkniętych w roku 1930 w twierdzy brzeskiej. Po trzecie zaś i najważniejsze: po roku 1981 utrzymano wszystkie polskie odmienności.

A to wydawało się nie do obrony, bo właśnie polskie odmienności – prywatna własność chłopska, niezależny Kościół, szczątkowy polityczny pluralizm, więzi z Zachodem – stały się w oczach Kremla zarzewiem solidarnościowej kontrrewolucji, to one w pierwszym rządzie były skazane na unicestwienie. Że Jaruzelskiemu udało się mimo wszystko je zachować, to dlatego, że pod ręką miał zawsze żelazny argument: mimo tych odmienności sami zapalnialiśmy nad sytuacją.

Jednak konserwowanie odmienności, wiecznie niedokończona polska rewolucja – to wszystko nie mogło budzić entuzjazmu Kremla. Ale co mógł robić? Zdecydować się na usunięcie Jaruzelskiego, za-fundować sobie nową fazę chaosu? Nie byłyby to – w czasie Afganistanu i Ameryki Ronalda Reagana – koszty jednak zbyt wysokie?

Tymczasem Jaruzelski od początku postawił na to, co było wtedy najważniejsze: odbudowę miejsca Polski w świecie. Najpierw jednak – w „socjalistycznej wspólnocie”. W „bratnich krajach” był wszędzie – nawet w Korei Północnej, gdzie ścisła dłoń Kim Ir Sena. Wszędzie przekonywał, że polska prawowierność jest nienaruszona.

Ale od 1984 r. szerzej już wyprowadzał państwo polskie z międzynarodowej izolacji. Był jednak ostrożny i czujny – wszak wciąż, aż do czasu Gorbaczowa, działała przy KPZR „komisja do spraw Polski”. Lecz mimo tej ostrożności i czujności powoływał – zaraz na początku stanu wojennego – nowe organy. Owszem, były one fasadowe: Rada Społeczno-Gospodarcza, Konsultacyjna Rada Gospodarcza, Narodowa Rada Kultury... Owszem, fasadowe było też OPZZ: leżało w interesie władz, bo trzeba było dać społeczeństwu nowe związki zawodowe. A przecież OPZZ nigdy nie było tak dyspozycyjne, jak niegdyś CRZZ. To była cena autentyczności – choćby

wem nacisk Moskwy ani na chwilę nie zelżał. A przecież znajdzie się też w życiu Jaruzelskiego fakt mało znany: ufundowanie na Powązkach – jeszcze w roku 1972 – pomnika nagrobnego straconego w PRL-u gen. AK, Emila Fieldorfa „Nila”. Jaruzelski wystawił ten nagrobek z własnych funduszy i na własną odpowiedzialność. Z pewnością robić tego nie musiał.

Jeżeli więc przyjąć taką logikę jego życia, nie powinno zaskakiwać to, co jest w niej tak na pozór szokujące. Na przykład ów szantaż ze stycznia 1989 r., na X Plenum KC PZPR, którym Jaruzelski – razem ze współpracownikami – wymusił na partii zgodę na relegalizację „Solidarności”. Tej samej „Solidarności”, którą wcześniej zepchnął do podziemia.

Nie dziwi też, że uznał wyniki wyborów z 4 czerwca 1989 r., choć tylu towarzyszy nalegało na ich unieważnienie. Nie dziwi wreszcie powołanie na premiera Tadeusza Mazowieckiego, jednego z liderów „S”, choć wcześniej, pamiętajmy, posła na Sejm PRL-u z ramienia opozycji koncesjonowanej, katolickiej grupy „Znak”.

Jaruzelski jest dla nas za trudny. Wnuk powstańca styczniowego i syn weterana wojny 1920 roku, harcerz kultywujący legendę lwowskich Orląt, sybirak. A na koniec komunista

względnej. I choćby tylko fasadowej.

Po co jednak, wciąż na samym początku stanu wojennego, zdecydował Jaruzelski o powstaniu Trybunału Konstytucyjnego i Trybunału Stanu? Ten drugi posłużył w 1984 r. do postawienia w stan oskarżenia Piotra Jaroszewicza i Tadeusza Pyki, więc mógł być również w interesie władz. Ale ten pierwszy?

W 1986 r. Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie niezgodne ze stanowiskiem rządu. Czy naprawę był Jaruzelskiemu potrzebny? A po co było powołanie w 1986 r. Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa (stenogramy z jej posiedzeń były drukowane bez cenzury). Albo utworzenie w 1987 r. urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich? Obsadziła go wtedy prof. Ewa Łętowska. Jak widać, dokonywał Jaruzelski – może czasem swoistej, na pewno jednak konsekwentnej – demokratyzacji.

Jak bowiem Władysław Gomułka siedział niegdyś w destalinizację, tak Wojciech Jaruzelski siedział w coś, co można by nazwać dekomunizacją. Nie tylko dlatego, że wcielał w życie niejedną z postulatów „Solidarności”. Przede wszystkim dlatego, że mimo wszelkich rytualnych zakłęb sprawdził czynnik ideologiczny niemal do zera. Wszak partię zastąpiła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego – czy mógł być wyraźniejszy znak bankructwa systemu?

Wystarczy jednak, że zamiast o dekomunizacji będziemy mówić ostrożniej: o prekursorstwie wobec pierestrojki. Gdy w roku 1986 r. Gorbaczow i Jaruzelski nawiązali przyjaźń, wyraźnie to kontrastowało z niechętnym pierestrojce stanowiskiem Ericha Honeckera czy Gustáva Husáka.

Można oczywiście rzec: Jaruzelski zawsze trzymał z Moskwą, ktokolwiek był tam u władzy; że zawsze realizował interesy Moskwy. A jednak bliskie – i równoprawne – związki z Gorbaczowem były czymś wyjątkowym i w tym przypadku niewątpliwie służyły postępowi polskiej liberalizacji. Być może ze swym rodowodem, z przeżyciami młodości i z powiązaniami rodzinnymi był Jaruzelski wręcz „skazany” na poluzowywanie ideologicznego gorsetu. W każdym jednak razie w klimacie pierestrojki poczuł się ten żołnierz jak w środowisku naturalnym i własnym.

To prawda, że w jego życiu znajdą się też dziesiątki przykładów postawy odwrotnej. Prawda też, że w latach 1983-85 następowało dodatkowe przykręcanie śruby. Niczego więc nie usprawiedliwiają, zaważmy jednak tę oczywistość, że polityka jest grą zespołową i sztuką kompromisu, a przed Gorbaczowem

Jaruzelski postawił na ciągłość, nie na rewolucję. Przez cały czas swej prezydentury trzymał nad rządem Mazowieckiego parasol ochronny. A przecież – nieraz mi to powtarzał Krzysztof Kozłowski – wystarczyłby bunt jednego batalionu wojska, a rząd zostałby zmieciony.

Ten niezwykle tandem Mazowiecki – Jaruzelski działał półtora roku: ten pierwszy podejmował decyzje, ten drugi je podpisywał. Jak bardzo jednak ten drugi mógł wciąż jeszcze przeszkadzać, to widać w pełni dopiero dziś: w postępowaniu Andrzeja Dudy. Tymczasem Jaruzelski, dawny pogromca „Solidarności”, grał teraz wobec „Solidarności” zaskakująco lojalnie, czysto i honorowo. Odegrał rolę ochrony do wewnątrz (przed reakcją partyjnego betonu) i na zewnątrz (przed reakcją przeciwników Gorbaczowa w ZSRR). W okresie przejściowym była to rola nie do przecenienia.

Dotąd nie powstał bilans tej prezydentury – tak jak nie powstał żaden bilans sprawowanej przez niego władzy: I sekretarza, premiera, przewodniczącego Rady Państwa. Więc tylko tytułem przykładu wymieńmy dwie zasługi prezydenta PRL/RP Wojciecha Jaruzelskiego.

O pierwszej jeszcze czasem się pamięta, choć zazwyczaj opatruje się ją krętaskimi komentarzami (co również sam kiedyś zrobiłem w „Tygodniku Powszechnym”). Mam na myśli wizytę Jaruzelskiego w Moskwie w kwietniu 1990 r., w trakcie której agencja TASS opublikowała oświadczenie o sowieckiej odpowiedzialności za Katyń. Takie było ukoronowanie zabiegów Jaruzelskiego, zainicjowanych w 1987 r. powstaniem polsko-sowieckiej komisji do usuwania z historii „białych plam”. W rezultacie Jaruzelski stał się pierwszą w historii głową państwa polskiego, która złożyła hołd pomordowanym w lesie katyńskim.

Nieznała pozostaje natomiast rola Jaruzelskiego w sprawie wyjątkowej wagi dla Krakowa: reaktywowania Polskiej Akademii Umiejętności. Wiadomo, że bezzwłocznie przychylił się do wniosku grupy uczonych i podpisał coś, co nie wymagało ustawy, bo PAU nigdy nie została zlikwidowana. Ale w jakim konkretnie dniu złożył swój podpis, o tym opracowania milczą. Ba, w ogóle prawie nie wspomina się tu prezydenta, a jeżeli nawet się wspomina, to bez nazwiska. Jaruzelski wyparował. Oto nowe polskie białe plamy.

Te 17 miesięcy prezydentury były ukoronowaniem życia Jaruzelskiego. A jednak nastąpiły po niej 24 lata wypełnione potęgającymi się oskarżeniami prokuratorskimi i procesami sądowymi. Te lata na

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jan Lechoń*

Legenda

Wszystkie słowa podniosłe, któreś znał ze szkoły,
Muzyka starych pieśni, wolności anioły,
Księżę Józef na koniu, wiszący nad biurkiem
I olbrzymi Batory w malej czapce z piórkiem,
I młodzieniec z Grottgera, co żegna swą miłą,
Pocztówka z Białym Orłem – wszystko to ożyło!
I oto między nimi jako brylant krwawy
Świeci mur zburzonego Katedry ołtarza,
Leży kamień zwyczajny z ulicy Warszawy,
Stara chustka służącej, czapka gazeciarza.
Wśród stalowych husarzy skrzydlatego szyku
Widzisz pana niskiego w czarnym meloniku.
A dalej, gdzie więzienia gruby mur i wieże,
Generała Kleeberga podniesiona głowa
I słyszysz – (czyś mógł myśleć?) – równie piękne słowa
Jak tamte, które kiedyś umilkły w Elsterze.



*Jan Lechoń – 1899-1956, poeta, eseista, tłumacz, krytyk. Współtwórca grupy Skamander. Wiersz ukazał się w nowojorskim „Tygodniowym Przeglądzie Literackim Koła Pisarzy z Polski” nr 44/1942. Tutaj za: Lechoń, „Poezje zebrane”, opracował i wstępem opatrzył Roman Loth, Wyd. ALGO, Toruń 1995.

FOT. NAC

zawsze już pozostaną polską hańbą, tak jak świadectwem polskiego barbarzyństwa pozostaną praktyki lustratorsko-dekomunizatorsko-ipeenowskie, a także zwyczajne chuligańskie szczucie, przed którym nie cofnięto się nawet na pogrzebie generała.

Jednak te poczynania polskich katolików uwidoczniły raz jeszcze te cechy Jaruzelskiego, które pokazała już jego prezydentura. Ale im większe były jego honor, godność i klasa, tym większa stawiała się nienawiść. Ileż to razy chciano go zdegradować do stopnia szeregowca. Na szczęście cofnięto się przed tym. A honor „Solidarności” ratowała tylko garstka ludzi, wśród niej dawny więzień Jaruzelskiego, Adam Michnik.

Odzyskanie niepodległości jest zawsze wypadkową wielu czynników. Jeżeli jednak fakt zaistniały w roku 1918 łączymy z osobą gen. Józefa Piłsudskiego, to fakt zaistniały w 1989 musimy łączyć z osobą gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Czy znaczy to, że umniejszam znaczenie „Solidarności”? W żadnym wypadku – Jaruzelski nic by nie osiągnął, gdyby nie stały nacisk społeczeństwa: nacisk, którego „S” była najważniejszym elementem (wyjałowiona z idei PZPR nie byłaby w stanie, jak w październiku 1956 r., znaleźć się, choćby w części, w awangardzie przemian).

Nie umniejszam też znaczenia Gorbaczowa, którego rządy były dla naszej emancypacji kluczowe (choć z całym, tak typowo polskim, brakiem logiki wolimy pamiętać tylko o rządach Reagana). W każdym razie, jak Piłsudski ucieleśnia początki II Rzeczypospolitej, tak Jaruzelski ucieleśnia początki III RP. Obaj przywrócili Polsce niepodległość.

Taka formuła, choć nieuchronnie upraszczająca, powinna zyskać prawo obywatelstwa. ●



FOT. FILIP RADWAŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. dr hab. Andrzej Romanowski**

● polonista, literaturoznawca. Pracuje na Wydziale Polonistyki UJ i w Instytucie Historii PAN. Ostatnio wydał: „Polska: kalejdoskop kultur”. Tytuł tekstu – „Wyborcza”

Ja temu panu **ręki nie podam**

Polaryzacja na sterydach, którą rozkręcił u nas Jarosław Kaczyński, zbiera ofiary po obu stronach sporu.

Arkadiusz Gruszczyński

Krótką książka Jerzego Czecha „Fenomen pisizmu” jest analizą politycznych i ideowych wyborów pokolenia „Solidarności”, którego część dała się zaczadzić ideologii Jarosława Kaczyńskiego. Autor przygląda się tym postawom, a ściślej swoim byłym przyjaciółom z podziemnej „S”, którzy dzisiaj popierają PiS.

Czech, wybitny tłumacz, badacz kultury, wyklada na blisko stu stronach ewangelię oświeconego demokraty. Pisząc o politycznych antagonistach, opowiada się po stronie państwa prawa, reguł demokratycznych, praw kobiet i mniejszości, a z lękiem i niedowierzaniem spogląda na tych, którzy nie akceptują wolnych sądów i głosują za demokracją nieliberalną spod znaku Orbána. I cały czas dziwi się, że jego byli koledzy z „S” zaufali antydemokratycznej opowieści zaproponowanej przez Kaczyńskiego. Jest bezlitosny dla tej części inteligencji.

PiS wygrywał wybory, bo Kaczyński i jego współpracownicy potrafili odpowiedzieć na ekonomiczne oczekiwania niższych warstw klasy średniej, która co prawda była dumna z nowych autostrad, „orków” i wyremontowanych chodników, ale co miesiąc brakowało jej ludziom kilkuset złotych na nieco wygodniejsze życie. Finansowe korzyści dla „cynicznych wyborców”, o których pisali Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, to najważniejszy element agendy politycznej PiS-u.

Zarazem politycy PiS-u do perfekcji opanowali posługiwanie się hasłami godnościowymi, które trafiły w czuły punkt części polskiej inteligencji. „Wstawanie z kolan” czy „zakończenie niemieckiego dyktatu” - Kaczyński i inni ideolodzy prawicowej rabacji powtarzali do znudzenia te slogany.

Pewna część inteligencji wierzy, że porządek ustanowiony po 1989 r. jest obarczony błędem, grzechem pierworodnym. Część starszych profesorów, publicystów czy pisarzy nie akceptuje liberalnej demokracji czy prostego faktu, że polska gospodarka nadal dopiero goni Zachód. Młodszy konserwatyści wierzą, że Polska może „wstać z kolan” i dyktować Europie własne warunki polityczne, to w ich głowach - pod hasłem pracy dla Polski - rodzą się nonsensowne pomysły budowy CPK zamiast sensownej polityki odpowiedzialnej na wykluczenie komunikacyjne.

Warto dokładniej zrekonstruować poglądy wyborców PiS-u. Nie zajmuję się tu osobami wykluczonymi ekonomicznie, które opuściła polska lewica. Miały one prawo do rozgoryczenia czy poszukiwania winnych rozkładu systemu państwa opiekuńczego. Interesuje



• 23.07.2023. Miasto Stawiski (woj. podlaskie). Jarosław Kaczyński na pikniku „Z miłości do Polski” zorganizowanym przez PiS w czasie kampanii wyborczej
FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

mnie inna grupa wyborców, która czyta regularnie radykalnie prawicowe tygodniki, ogląda z satysfakcją polskie odmiany Fox News i brzydzi się „Wyborczą”. Te osoby wierzą w układ, który rządzi Polską od 1945 r.

Według tej narracji dzisiaj naszym krajem kieruje trzecie już pokolenie UB, wnuki katów ścigających „żołnierzy wyklętych”; komuniści i lewacy przejęli media, urzędy państwowe, podpisywali niekorzystne dla Polski umowy międzynarodowe, atakowali od zawsze Kościół katolicki i chcieli zniszczyć naród polski.

Elity III RP - jak chce prawicowa inteligencja - wmawiali Polakom, że zwykli ludzie zabijali Żydów w czasie II wojny światowej, a powojenni partyzanci byli zwykłymi bandytami. Polska odrodziła się dopiero w 2015 r., kiedy pełnię władzy przejął Kaczyński.

Dopiero wtedy mogła się rozpocząć praca na rzecz budowy „prawdziwie wolnej Polski”: wyborcy PiS-u gorąco popierali wymianę prezesów sądów, zwalnianie dyrektorów sądów i teatrów czy obsadzanie swoimi ludźmi mediów publicznych. Właśnie na tym miała polegać sanacja: na głębokiej wymianie elit.

Inteligencja popierająca politykę PiS-u popiera też atakowanie polityków niemieckich, zrywanie sojuszy z Francuzami, krytykowanie rządów na Zachodzie. Zmiany obyczajowe i światopoglądowe postrzega jako atak na konserwatywne wartości, choć jak pisał Michał Szuldrzyński, nawet konserwatyzm musi w końcu zacząć odpowiadać na zmieniające się zachodnie społeczeństwa.

Czech pisze o swoich przyjaciółach z „S”, którzy odnaleźli się po

pisowskiej stronie: „Przed laty mogliśmy razem działać w Solidarności, a dzisiaj, zwłaszcza jeśli działają w Akademickim Klubie Obywatelskim im. Lecha Kaczyńskiego, nie kwalifikują się według mnie do podania ręki. Chciałbym zrozumieć, jakie są tego powody. Różnice zdań istniały i wtedy, spieraliśmy się czasem gorąco, nie było jednak między nami nienawiści”. Jednak zamiast zrozumienia napisał esej o wielkim zdziewieniu.

Lista postaci, z którymi Czech dzisiaj nie rozmawia, jest długa. Precyzyjnie wyjaśnia swe motywy, rekonstruuje również poglądy byłych przyjaciół. Oto przykład, który dobrze oddaje charakter książki.

Czech opowiada o koleżance, z którą w latach 80. pracował na UAM w Poznaniu. Potem wyemigrowała do USA, tam kontynuowała pracę akademicką. Przez długie lata czytywała „Tygodnik Powszechny”, dystansowała się od swojej konserwatywnej rodziny. Głosowała na Baracka Obamę.

Kiedy w 2019 r. wróciła do Poznania, zaczęła powtarzać prawicową narrację, uwierzyła choćby w czarną legendę Komitetu Obrony Demokracji, i w to, że Polska pod rządami PiS-u się rozwija. Czech zerwał z nią przyjaźni.

Polaryzacja na sterydach, którą rozkręcił Kaczyński, zbiera więc ofiary po obu stronach sporu. Ludzie szybko zapomnieli, ale przecież jeszcze rok temu każdy tydzień przynosił polskiej polityce nowe wstrząsy, próby dyskredytowania rozmaitych grup, szczyście na opozycję czy prześladowanie aktywistów.

Policja biła kobiety na ulicach, mniejszości seksualne były wykorzystywane w propagandzie jako

przykłady deprawacji, a aborcja porównywana do zbrodni popełnianych w Auschwitz. Społeczeństwo było rozdarto, ale też zmęczone tą ciągłą nawalanką, która sączyła się z mediów publicznych, prywatnych tygodników hojnie dotowanych przez ministerstwa i spółki skarbu państwa, z reklam i przemówień najważniejszych osób w państwie.

Staram się zrozumieć emocje Jerzego Czecha i jego przyjaciół z pokolenia pierwszej „S”, zastanawiam się, dlaczego emocje w jego książce są aż tak rozedrgane. Aż do 15 października 2023 r. moje pokolenie, które nigdy nie doświadczyło politycznych emocji rodem z początku lat 80. czy euforii z 1989 r., nie było w stanie pojąć, że ktoś zrywa przyjaźnię z powodu różnic światopoglądowych.

Przecież w korporacjach pracują w jednych pomieszczeniach wyborcy Konfederacji, Nowej Lewicy i Koalicji Obywatelskiej, a tematów politycznych po prostu się unikało. Przy rodzinnym stole spoglądało się z pobłażliwością na tych, którzy nagle zaczynają narzekać na Tuska, Kaczyńskiego lub Czarastego.

Śmiało można więc powiedzieć, że 15 października był momentem przełomowym dla generacji urodzonych po 1989 r. Zagłosowali masowo na partie demokratyczne ze względu na łamanie praw kobiet i prawicowe szaleństwo PiS-u. Wtedy istotnie coś się zmieniło w młodym pokoleniu, ideowe spory, a także wspólnota sprzeciwu wobec władzy i odniesione zwycięstwo udowodniły, że polityka ma jednak głęboki sens.

Ale czy z tego powodu zrywamy przyjaźnię ze zwolennikami PiS-u? Kilkoro moich znajomych

po 2015 r. zaczęło pracować dla rządu. Wcześniej byli raczej związani z lewicowymi środowiskami intelektualnymi, ale po wprowadzeniu programu 500+ uwierzyli, że mogą pod kierunkiem pisowskiego rządu tworzyć sprawne państwo.

Kolejni znajomi pracowali dla instytucji kultury przejmowanych przez nominatów PiS-u. Uważali, że dzięki temu mogą ocalić tkankę instytucjonalną, nawet za cenę pracy z prawicowymi ideologami. Dziwiłem się tej naiwności, a teraz oni dziwią się, że nigdzie nie mogą znaleźć pracy. Ich wybory, ideologiczne fikolki, zaufanie antydemokratycznej władzy, być może koniunkturalizm ukryty za fasadą troski o państwo - nie jestem sędzią, który mógłby oceniać cudze życie.

Antoni Dudek postawił kilka miesięcy temu tezę, że konserwatywna rewolucja w wydaniu PiS-u nie udała się, bo Kaczyński nie przejął nikogo z przedstawicieli liberalnych elit.

„Porwał się na wymianę całej elity państwa, a miasta większe od Stalowej Woli były po prostu poza jego zasięgiem”. Ta niemoc PiS-u dotyczy „każdego istotnego obszaru, gdzie się buduje elity, tworzy przywództwo. Uniwersytetów, świata kultury, wolnych zawodów czy dużego biznesu. Kaczyński nigdzie nie był w stanie poszerzać swoich wpływów (...), wręcz przeciwnie - konsekwentnie je tracił.

Jedyne, co mu wychodziło przez te osiem lat, to utrzymywanie większości w Sejmie (...). PiS miał przez cały ten czas ogromną władzę, ale jedynie na samym szczycie aparatu państwa, co jednak nie przekładało się na kreowanie nowej elity, jeśli nie liczyć różnych groteskowych przedsięwzięć ministra Glińskiego” - mówił historyk w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

Po stronie Kaczyńskiego i jego sanacji opowiedziały się pomniejsze postaci - kilku doktorantów, historycy sztuki, którzy nie potrafili odnaleźć się w muzeach, dziennikarze, których skusiły astronomiczne zarobki.

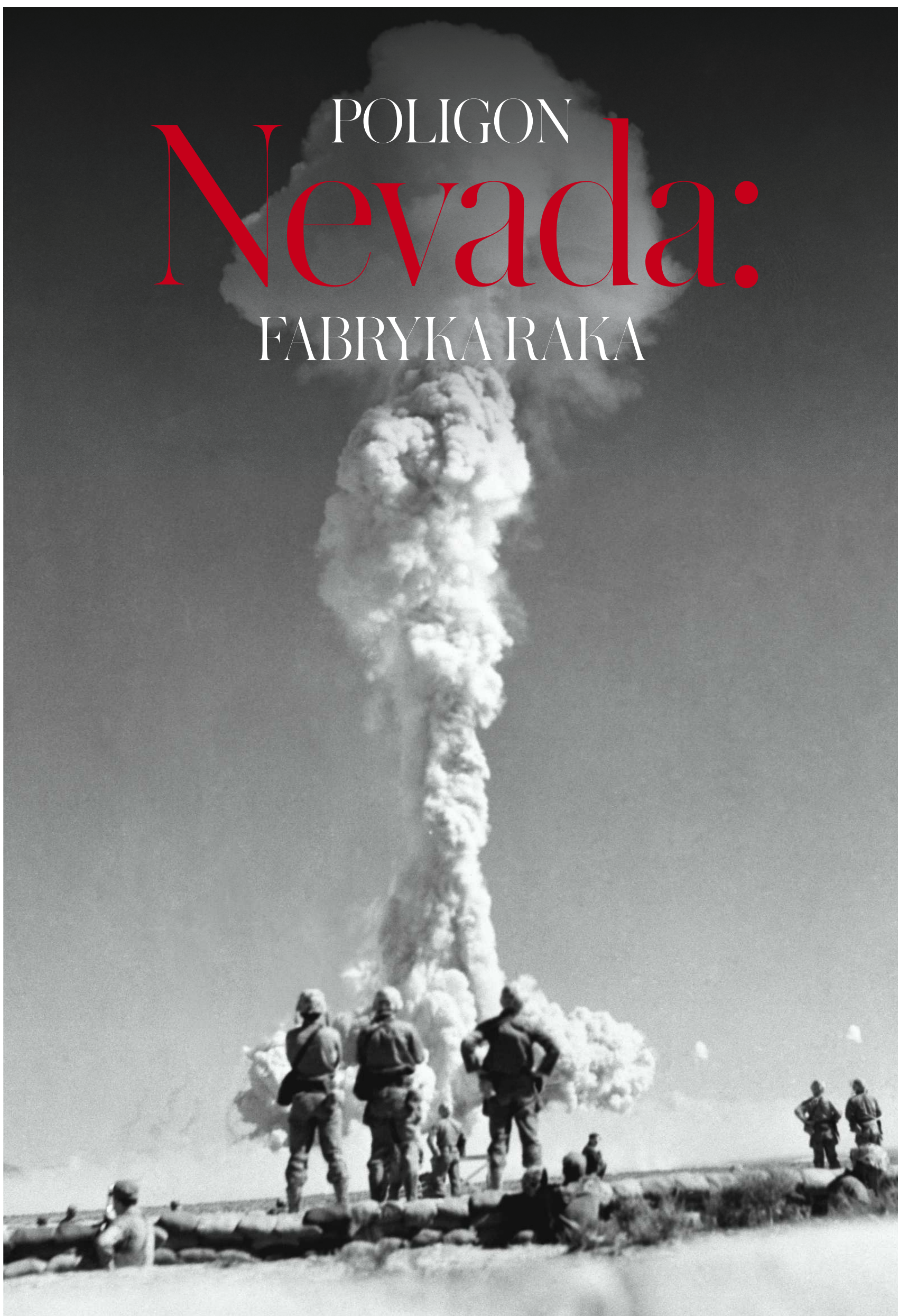
Jasne, Kaczyński miał swoich intelektualistów - prof. Andrzeja Zybertowicza, Bronisława Wildsteina, Czesława Bieleckiego czy dziś już nieżyjących Marka Nowakowskiego i Jarosława Marka Rymkiewicza - ale ta lista nie powiększyła się w ostatnich ośmiu latach o znaczące nazwiska. Dlatego „Fenomen...” jest tak krótką książką. Na szczęście.

Jerzy Czech jednak trzeba czytać, bo mówi sporo o skutkach dziejącej się na naszych oczach historii. Choć wielu uwag zawartych w jego książce nie wypowiedziałbym na głos, nigdy nie nazwałbym swego oponenta „kimś tępym” czy „dziadem”. Czech to robi non stop. ●

Jerzy Czech, „Fenomen pisizmu”, wydawnictwo Austria 2024



• Amerykańscy marines obserwują grzyb po próbie nuklearnej. Poligon Nevada, 1 maja 1952 roku
FOT. BETTMANN ARCHIVE / GETTY IMAGES



John Wayne był przekonany, że umiera, bo jest palaczem.
Nie łączył tego z pobytem na poligonie Nevada podczas kręcenia filmu „Zwycięzca”.

Maciej Jarkowiec

1 RP

Szóstego sierpnia 1945 roku, w dniu, w którym na Hiroszimę spadła bomba atomowa, 20-letni student fizyki Ted Taylor napisał list do rodziców. Dzielił się obawami co do przyszłości ludzkości; jądrowy wyścig zbrojeń może nas wszystkich unicestwić – pisał. Jednocześnie twierdził, że jeśli przywódcy mądrze skorzystają z nowej technologii, atom może doprowadzić do ustania wszelkich konfliktów zbrojnych.

Zafascynowany niszczycielską siłą, a jednocześnie potencjałem drzemiącym w atomie Taylor postanowił specjalizować się w fizyce jądrowej. Cztery lata później dostał pracę w tajnym laboratorium w Los Alamos, w Nowym Meksyku, gdzie Ameryka budowała najpotężniejsze bomby świata. Niewiele później został tam czołowym naukowcem. To on zaprojektował najbardziej wydajną broń zimnej wojny – najmniejsze bomby jądrowe o największej mocy.

Jednak już na początku lat 60. wyrażał żal za dotychczasową karierę. Doszedł do wniosku, że przywódcy nie są odpowiedzialni i jego praca może doprowadzić do końca świata. Rozpoczął działalność na rzecz redukowania arsenałów jądrowych.

EKSPLOZJE KU UCIESZE GAWIEDZI

Dekadę wcześniej, na początku 1953 roku, zespół kierowany przez Taylora w Los Alamos zaprezentował armii nową bombę, opatrzoną kodem Hamlet. Jak się wkrótce okazało, było to najbardziej wydajne urządzenie, jakie do tej pory wyszło z Los Alamos – stosunkowo niewielka ilość materiału rozszczepialnego dała moc dwa razy większą niż w bombie Little Boy zrzuconej na Hiroszimę.

Hamlet szybko doczekała się zdrobnienia Harry i pod osłoną nocy została przewieziona na poligon do Nevady. Tam na 19 maja 1953 roku zaplanowano test. Bombę umieszczono na 300-metrowej wieży. W odległości dziesiątek kilometrów od strefy zero w miasteczkach Utah i Nevady oraz w samym Las Vegas ludzie na kilka godzin przed świtem gromadzili się na wzgórzach, żeby podziwiać eksplozję. Testy były w tamtym czasie rozrywką dla mas.

Rok wcześniej, w kwietniu 1952 roku, w czasie pierwszego w dziejach jądrowego wybuchu transmitowanego na żywo przez radio i telewizję reporter depeszował: „Zakładamy ciemne gogle. Odwracamy głowy. Sygnał informuje o detonacji. Czekamy zaleconą ilość czasu i patrzymy. Nieziemsko jasna chmura rozkłada się coraz wyżej jak gigantyczny parasol. Przychodzi fala gorąca, a po chwili fala uderzeniowa – tak silna, że przewraca niektórych ludzi. Później – wydaje się, że po upływie godzin – słoneczny rozbłysk powoli blaknie”.

Podobnie było teraz, gdy o godzinie 4.05 rano czasu lokalnego eksplodowała bomba Harry. Stalowa wieża pod nią wyparowała w ułamku sekundy, a grzyb, który wzbił się pod niebo, było widać z odległości ponad 150 kilometrów.

Kilka godzin później Frank Butrico, pracownik Komisji Energii Atomowej monitorujący promieniowanie w pięciotysięcznym St. George w Utah, oddalonym o 200 km od strefy testów, zerwał się na równe nogi. Wskazówki na wszystkich miernikach wyszły poza skalę. Butrico zatelefonował do przełożonych. Byli zdziwieni. Prognozy tuż przed testem zapowiadały wiatr o kierunku przeciwnym do St. George. Butrico dostał polecenie, by wziąć prysznic i czekać na dalsze instrukcje.

Wiele lat później, kiedy popularny stanie się film z Clintem Eastwoodem o brutalnym policjancie, bomba, która wybuchła tamtego dnia, zostanie nazwana Brudnym Harrym.

MIASTO NAUKOWCÓW

W sierpniu 1939 roku prezydent Franklin Delano Roosevelt dostał list od Alberta Einsteina: „W najbliższej przyszłości uran może się stać źródłem energii. Nowe zjawisko umożliwi konstruowanie bomb o niewyobrażalnej mocy”.

Do napisania listu Einsteina przekonał niejaki Leo Szilard – imigrant węgierskiego pochodzenia. Szilard urodził się w Budapeszcie, a wykształcił w Berlinie. Był pośród pierwszych fizyków pracujących nad reakcją łańcuchową rozszczepiania jąder atomowych uranu. Po dojściu Hitlera do władzy, tak jak wielu uczonych żydowskiego pochodzenia, wyemigrował z Niemiec do USA. Za jego radą Ein-

stein ostrzegał Roosevelta, że jeśli Niemcy pierwsi zbudują bombę atomową, wygrają wojnę.

Dwa miesiące po otrzymaniu listu prezydent powołał cywilno-wojskowy zespół do badań nad uranem. Początkowo jego budżet był skromny. Dopiero po japońskim ataku na amerykańską bazę w Pearl Harbor na Hawajach, 7 grudnia 1941 roku, uruchomiono nowy, zasilony milionami dolarów program, który wkrótce opatrzono kryptonimem Projekt Manhattan. Jego nadrzędnym celem stało się wyprodukowanie pierwszej bomby jądrowej świata.

W lutym 1943 roku odcięta od świata elitarna szkoła z internatem dla chłopców Los Alamos Ranch School w Nowym Meksyku nagle zakończyła działalność. Niewiele wcześniej do jej drzwi zapukali ludzie w mundurach. Szkoła i otaczające ją stępy zostały zakupione przez rząd. Żeby skoordynować pracę licznych ośrodków badawczych nad reakcjami jądrowymi, potrzebne było centralne, tajne laboratorium. Zdecydowano, że powstanie ono właśnie tutaj.

Decyzję o tej lokalizacji forsował Robert Oppenheimer, dobiegający czterdziestki profesor z Uniwersytetu Kalifornii w Berkley. To on miał zostać szefem laboratorium. Nowojorczyk z pochodzenia, jako dziecko przyjeżdżał do Nowego Meksyku z rodzicami na wakacje. Z okien laboratorium chciał mieć widok na ukochane góry Sangre de Cristo. Poetka Peggy Pond Church, córka założyciela Ranch School, zanotowała wrażenia po tym, gdy pierwszy raz go ujrziała: „Wpadał do budynków internatu w swoich

– Robiliśmy to, co robią wszystkie dzieci.
Bawiliśmy się w kałużach, lizaliśmy lody ze śniegu, jedliśmy warzywa prosto z ogrodu.
U dziadków w Morgan, piliśmy mleko prosto od krowy. Potem ludzie w naszej dzielnicy zaczęli chorować. Gdy miałam osiem lat, koleżanka z klasy przyszła do szkoły z ogoloną głową

MARY DICKSON, SALT LAKE CITY

kowbojskich butach, wybiegał tylnymi drzwiami, sprawdzając kuchnie i sypialnie. Był jak ptak przelatujący z gałęzi na gałąź w gęstej puszczy, pełen neurotycznej energii, z błękitnymi oczami, które zdawały się obejmować wszystko jednym spojrzeniem”.

Wraz z Oppenheimerem do Los Alamos przyjechały buldożery. Rodziny okolicznych ranczerów dostały 48 godzin na opuszczenie swoich domów i gospodarstw – często budowanych od pokoleń. Najbardziej opornych przekonywano łufami karabinów. Bydło zabijano lub rozpędzano. Dopiero po wielu dekadach wyjdzie na jaw, że rodziny latynoskie dostały niższe odszkodowania od białych.

W kilkanaście tygodni na stepach Nowego Meksyku wyrosło miasto naukowców – Los Alamos. Było najpilniej strzeżoną operacją ówczesnego świata: badaczom, z których wielu nie miało nawet amerykańskiego obywatelstwa, zakazano informować o pracy najbliższych członków rodziny.

LUD WYBRANY Z ATOLU BIKINI

Oppenheimer wiedział, że jeśli przegra wyścig z Niemcami, diabeł zapanuje nad światem. Wypalał kilkadziesiąt papierosów dziennie i wypijał kilkanaście kaw. Stres zredukował go do 45 kilogramów wagi. 16 lipca 1945 roku o świcie, pośród wychudzłych, przemęczonych mężczyzn, z których część wiwatowała, a część lkała, wygłosił ponoć zdanie zaczerpnięte z hinduskiej księgi „Bhagawadgita”: „Stałem się Śmiercią, niszczycielem światów”.

Chmura w kształcie grzyba po detonacji pierwszej w dziejach bomby atomowej wzbiła się na wysokość 12 kilometrów. Wieża, na której umieszczono ładunek, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki, a piasek wokół niej w promieniu setek metrów zamienił się w zielone szkło.

Następne bomby zbudowane w Los Alamos spadły na Hiroszimę i Nagasaki, zabijając na miejscu 120 tysięcy ludzi. Wojna się skończyła. Rozpoczął się wyścig zbrojeń między USA a ZSRR. Amerykanie testowali atomówki na Wyspach Marshalla – łańcuchach koralowych atoli na północ od równika, między Hawajami a Indonezją. W 1914 roku zamieszkująca tam od kilku tysięcy lat ludność znalazła się pod okupacją japońską. W 1944 roku kontrolę przejęli Amerykanie.

Dwa lata później ich namiestnik komodor Ben Wyatt przemówił do mieszkańców atolu Bikini. Oznajmił im, że są ludem wybranym – to na ich ziemi moce dobra będą testować bomby, które pokonają moce zła. „Dla dobra ludzkości” – tak dosłownie się wyraził – polecił im opuścić domy i przenieść się na oddalony o niemal 200 kilometrów atol Rongerik.

Mieli tam być bezpieczni. W następnych latach USA przeprowadziły na Wyspach Marshalla 67 prób jądrowych.

Z czasem stwierdzono, że lokalizacja jest zbyt oddalona od Stanów Zjednoczonych, niewystarczająco chroniona przed szpiegami. Rozpoczęto poszukiwania terenów pod próby na terenie kraju. W 1950 roku około stu kilometrów na północ od Las Vegas w Nevadzie i niewiele dalej na zachód od St. George w Utah, na terenie pustyni, gdzie latem temperatury sięgają 40 stopni, a zimą dmą lodowate

wiatry, powstał poligon. Niektórzy badacze zgłaszali sprzeciw, twierdząc, że skupiska ludzi są zbyt blisko. Eksperci rządowi uznali jednak, że „teren jest względnie niezamieszkaný”.

NOWE ZŁOTO

Stewart Udall w czasie drugiej wojny światowej wyzwał Europę Zachodnią jako strzelec pokładowy na bombowcu. Później skończył studia prawnicze w rodzinnej Arizonie. Został kongresmanem. Sekretarzem zasobów wewnętrznych w administracjach Johna Kennedy’ego i Lyndona Johnsona. Współtworzył pierwsze ustawy o ochronie powietrza, wód, zagrożonych gatunków zwierząt i roślin, utylizacji odpadów. Powoływał do życia nowe rezerваты i parki narodowe. Zatrudniał czarnych na stanowiskach zarezerwowanych wcześniej dla białych. W szczycie nuklearnego wyścigu zbrojeń z poetą Robertem Frostem polecał do ZSRR namawiać Nikitę Chruszczowa do rozmów o rozbrojeniu. Gdy odszedł z rządu, w swojej kancelarii w Waszyngtonie brał sprawy związane z ochroną praw człowieka i środowiska.

Dowiedział się o górnikach z kopalni uranu w Navajo Nation – autonomicznym regionie zajmującym 70 tysięcy kilometrów kwadratowych w Utah, Nowym Meksyku i Arizonie. W latach 1944-86 prywatne firmy na zlecenie rządu wydobyły w Navajo Nation cztery miliony ton uranu. Gdy nuklearny wyścig zbrojeń dobiegł końca, kopalnie zamykano. Na ziemiach Nawahów pozostało ponad 500 opuszczonych odkrywek i setki wysypisk oraz stawów, dokąd zwożono odpady. Co trzecie gospodarstwo





domowe w 250-tysięcznym Navajo Nation żyje do dziś bez dostępu do nieskażonej wody. Już w latach 70. Udall pojechał na Zachód, spotkał się plemiennymi liderami. Jeździł po kraju Nawahów, pukał do drzwi i zbierał zeznania.

Odkrywki działały też na sąsiednich terenach zamieszkałych w większości przez mormonów. Odwiedziłem kiedyś pozostałości jednej z nich w mieście Monticello w Utah. Otwarto ją w 1942 roku. W całym regionie, w promieniu kilkuset kilometrów, kopalnie wyrastały wtedy jedna obok drugiej. Z innych części kraju zjeżdżali mężczyźni ubrani w spodnie khaki, wyposażeni w kilofy i liczniki Geigera. Otwierały się restauracje, kina, warsztaty naprawcze, sklepy. Rząd budował drogi i mosty na niedostępne dotąd odludzia.

Gazety pisały, że uran jest nowym złotem. Da broń do walki o pokój i atomową energię, która zamieni Amerykę w Eldorado.

Kopalnia w Monticello zatrudniała ponad 200 górników. Przez kilkadziesiąt godzin w tygodniu wdychali uwalniający się z uranu radon – promieniotwórczy gaz szlachetny. W przerwach na lunch jedli kanapki, siedząc na skażonych skałach. Wracali do domów w skażonych ubraniach, przytulali żony i dzieci. Radon nie ma zapachu, jest niewidzialny – górnicy nie mieli pojęcia, że się trują. Badania przeprowadzone dekady później wykazały, że przeciętny górnik podczas kilkunastu lat pracy przyjmował łączne promieniowanie 44 razy silniejsze od tego w Hiroszimie.

Dziś w miejscu, gdzie była kopalnia, do drzew przybite są tabliczki z nazwiskami zmarłych górników. Na ścianie wiaty zapisano relację świadków. Lekarz powiedział: „Przybyłem do Monticello, żeby prowadzić gabinet w małym, rolniczym miasteczku. Okazało się, że wszedłem do fabryki raka”.

I WYBUCHŁA ATOMOMANIA

Gdy Stewart Udall robił kwerendę na terenach uranowych odkrywek, Gordon Eliot White, reporter „Deseret News”, najstarszej mormońskiej gazety, publikował teksty o epidemii raka wokół poligonu Nevada. W 1977 roku Udall przeczytał jeden z nich – o ludziach umierających w oddalonym o kilkaset mil od Navajo Nation St. George.

W 1953 roku, kilka miesięcy po pierwszych testach jądrowych, ranczer z terenów przylegających do poligonu Nevada, zaganiając stado do zagrody, wziął owcę za boki i skóra została w jego dłoniach. Owce na ranczach zaczęły padać. Po latach jeden z hodowców opisze: „Wyglądały jak podpie-



• Obserwatorzy oświetleni blaskiem eksplozji bomby atomowej podczas testu na poligonie Nevada przeprowadzonej 15 kwietnia 1955 roku FOT. SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

zione w mikrofali”. W 1953 roku zdechły cztery tysiące sztuk. Ranczerzy podejrzewali, że przyczyną był radioaktywny opad docierający z poligonu.

Jednak większość mieszkańców czuła się bezpiecznie. Trwała wojna propagandowa między USA a ZSRR i ludzie w St. George i innych miastach Utah – z których wielu porzuciło pracę na farmach, żeby zatrudnić się w budowanych tu fabrykach zbrojeniowych – wierzyli, że zagrożeniem jest komunizm, a nie amerykańscy naukowcy po sąsiedzku testujący bomby.

Transmisje telewizyjne z wybuchów doprowadziły do atomomanii. Turyści z całego kraju zjeżdżali do Las Vegas oglądać eksplozje. Miasto drukowało przewodniki z datami prób i opisami przygotowanych w związku z nimi atrakcji. Hotele prześcięły się w aranżowaniu tarasów widokowych.

Atomowe grzyby ozdabiały pocztówki, zabawki, koszule, talerze, szklanki. Restauracje oferowały atomowe dania, kasyna atomowe koktajle, salony piękności atomowe fryzury.

O północy, w wigilie prób, startowały bombowe imprezy, których kulminacją była poranna eksplozja. Wzbijające pod niebiosa grzyby witano pijackim śpiewem.

TRZASKI W LICZNIKU GEIGERA

Gdy ranczerzy złożyli pozew w sądzie o odszkodowania za przetrzebione stada, rząd zapewniał na wokandzie, że stężenia radioaktywnych pierwiastków są niskie, nie mają wpływu na zdrowie zwierząt i ludzi. Hodowcy przegrali.

Waszyngton o bezpieczeństwie zapewnił też ekipę hollywoodzkiej superprodukcji „Zdobycy”, z Johnem Wayne’em w roli głównej. Wiosną 1954 roku, kilkanaście miesięcy po detonacji bomby nazwanej później Brudnym Harrym, przybyła ona do St. George na zdjęcia. Wayne wybierał się z synami na wycieczki po malowniczych szlakach czerwonych wzgórz wokół miasta. Gdy 13-letni Patrick Wayne zbliżał licznik Geigera do kamieni, słychać było

trzaski. Ale jego ojciec twierdził, że urządzenie musi być popsute. Rząd nie mógł ich przecież okłamać.

Dekadę później mieszkańcy St. George i innych miast zaczęli umierać na raka. Wcześniej statystyki zachorowań były w Utah niższe niż średnia dla całego kraju, co tłumaczono abstynencją mormonów. W latach 70. w niektórych hrabstwach były już kilka razy wyższe. Mieszkańcy przypomnieli sobie o ranczerach, którzy dawno temu próbowali walczyć o prawdę w sądach. Zwoływali spotkania. Na jedno z nich przyjechał z Salt Lake City Gordon Eliot White, reporter „Deseret News”.

ZAPOMNIANE KRÓLIKI DOŚWIADCZALNE

Gdy Stewart Udall przeczytał artykuł White’a, pojechał do St. George. Połączył sprawę górników z Navajo Nation i mormonów z okolic poligonu Nevada. W śledztwo zaangażował żonę i czwórkę dzieci. Docierali do świadków i dokumentów. Ustalili, że

List

Relacjami z Dulagu zajmował się mój ojciec

Akcja „Iskra-Dog” był bezprecedensową konspiracyjną kwerendą naukową oparta na autentycznych, na gorąco zbieranych relacjach świadków.

Szanowny Panie Redaktorze, pozwalam sobie odnieść się do tekstu „Wspomnienia z Dulagu 121”, który towarzyszy wywiadowi z Panią Małgorzatą Bojanowską – dyrektorką Muzeum Dulag 121 („Ale Historia”, 21-22 września 2024). Sam wywiad, przeprowadzony przez Pana Redaktora Piotra Głuchowskiego, bardzo ważny i bardzo ciekawy, podobnie jak opublikowane wraz z nim

wspomnienia pięciu świadków – więźniów Obozu.

Chciałabym odnieść się do notki bibliograficznej dotyczącej pierwszego wspomnienia (dr Izabeli Wolfram), która jest niepełna i nieścisła, i może wprowadzić Czytelnika w „pomieszenie”. Brzmi następująco: „Relacja przekazana po wojnie Edwardowi Serwańskiemu (za: [dulagl21.pl](#))”. Sugeruje tym samym „przypadkowość” osoby odbierającej relację, bowiem nie ma podanego źródła, skąd pochodzi.

Tymczasem, ten wspomnieniowy zapis pochodzi z książki w opracowaniu Edwarda

**Akcja „Iskra-Dog”
był bezprecedensową
konspiracyjną
kwerendą
naukową oparta na
autentycznych, na
gorąco zbieranych
relacjach
świadków**

Serwańskiego pt. „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.” (Instytut Zachodni, str. 210). Jest to pierwsza, najwcześniej wydana (kwiecień 1946) źródłowa publikacja o zbrodniach niemieckich w czasie powstania, która została włączona do akt procesowych w Norymberdze (wyszła jako tom II „Documenta Occupationis Teutonicae”). Sama zaś książka jest pokłosiem zorganizowanej przez Edwarda Serwańskiego (mojego ojca) AKCJI „ISKRA-DOG” – unikatowej, brawurowej, ale opartej na ściśle naukowych zasadach operacji zbierania dowodów zbrodni niemieckich (opracowanych w formie 314 tzw.

Protokołów) jeszcze w trakcie trwania powstania, a także parę miesięcy później (zbieranie relacji zostało zakończone w styczniu 1945 roku).

A zatem, czy można by uprzejmie prosić o uzupełnienie notki bibliograficznej, np. w taki sposób: Relacja „Izabeli Wolfram pozyskana w ramach Akcji Iskra-Dog i w formie Protokołu (nr 164) zamieszczona w książce „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.” (w opracowaniu Edwarda Serwańskiego).

Pozwolę sobie jeszcze dodać, że materiały z akcji zostały również wykorzystane przez mojego ojca w wydanej już

już w Los Alamos w latach 40. Komisja Energii Atomowej (AEC) miała dane o zabójczym wpływie testów nuklearnych na ludzi. Terenowi wysłannicy ostrzegali, że stężenia radioaktywnych pierwiastków w kopalniach uranu oraz w miastach wokół poligonu przekraczają normy.

W latach 1951-62 na poligonie przeprowadzono ponad sto naziemnych wybuchów jądrowych. Do dziś pozostały po nich kratery. Aby sprawdzać siłę rażenia, na pustyni budowano mosty, domy – umeblowane, z lalkami wielkości ludzi usadzonymi na sofach i w fotelach. W bezpiecznej – jak sądzono – odległości postawiono rzędy ławek dla oficjeli obserwujących próby. Sześć mil od strefy zero w okopach kryły się setki żołnierzy. Na sygnał syren klękali w pozycjach embrionalnych i zakrywali głowy ramionami. Chwilę później wychylali się, aby zobaczyć grzyba. Najbliżej, 300 metrów od punktu detonacji, umieszczano zamknięte w klatkach psy.

Upór Udalla doprowadził do przesłuchań w Kongresie. Raport zatytułowany „Zapomniane króliki doświadczalne” stwierdził, że rząd zataił prawdę o szkodliwości. Udall powiedział: – Ludzie z AEC przyjęli założenie, że są pierwszą linią frontu zimnej wojny. Kłamali z poczuciem dumy, z przekonaniem, że wypełniają patriotyczną misję obrony narodu.

Przedstawił wewnętrzną korespondencję AEC po wybuchu bomby nazwanej Brudnym Harrym w maju 1953 roku. Rząd wiedział, że chmura radioaktywnego pyłu w wyniku nieoczekiwanej zmiany kierunku wiatru została zagnana nad St. George. Tamtego popołudnia ludzie zgłaszali się do szpitala z poparzeniami, mdłościami i innymi objawami. Nie było procedur ochrony mieszkańców. Komunikat radiowy nakazujący pozostanie w domu dotarł zbyt późno i tylko do tych, którzy mieli włączone odbiorniki. Dzieci z przedszkoli bawily się tamtego dnia na podwórkach.

RZĄD UZNAŁ NAS ZA ZBĘDNYCH

Dopiero w 1990 roku Kongres powołał wart sto milionów dolarów fundusz odszkodowawczy. W ustawie napisano: „Życie górników w kopalniach uranu i mieszkańców terenów wokół poligonu Nevada zostało bez ich wiedzy narażone w interesie bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych”.

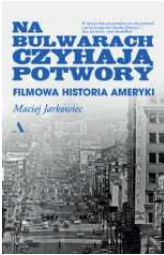
Kolejne dziesięć lat na ustawę czekały rodziny ludzi zatrudnionych w latach

40. i 50. w laboratoriach w Los Alamos oraz żołnierzy z atomowych poligonów. W 2000 roku Kongres przyznał, że radiacja doprowadziła do śmierci tysięcy osób. W roku 2010 Narodowy Instytut ds. Raka napisał w raporcie, że nawet połowa zachorowań na nowotwory pośród mieszkańców Wysp Marshalla może być spowodowana promieniowaniem po amerykańskich testach jądrowych.

O wiele wcześniej, już w roku 1980, magazyn „People” wyliczył, że z 220-osobowej ekipy „Zdobycy” (nie wliczając statystów) na raka zachorowało dziewięćdziesiąt jeden osób. Czterdzieści sześć zmarło.

Nowotwór zabił m.in. reżysera Dicka Powella, gwiazdy Agnes Moorehead w 1974 roku, Susan Hayward, Pedra Armendárizę i samego Johna Wayne’a. Największy patriota pośród ludzi kina łączył chorobę z nalogiem – przez całe życie wypalał kilka paczek papierosów dziennie. Nigdy nie wypowiedział się o testach na poligonie Nevada. W bibliotece Uniwersytetu Utah w Salt Lake City są filmowe nagrania wywiadów ze starszymi mieszkańcami stanu, którzy mówią o sobie „the Downwinders” – ludzie ze stron, w które wieje wiatr. Gdy byli dziećmi, wspinali się z rodzicami na wzniesienia, żeby podziwiać jądrowe wybuchy.

Mary Dickson, Salt Lake City: – Robiliśmy to, co robią wszystkie dzieci. Bawiliśmy się w kałużach, lizaliśmy lody ze śniegu, jedliśmy warzywa prosto z ogrodu. Gdy jeździliśmy do dziadków w Morgan, piliśmy mleko prosto od krowy. Potem ludzie w naszej dzielnicy zaczęli chorować. Gdy miałam osiem lat, koleżanka z klasy przyszła do szkoły z ogoloną głową. Później zniknęła. A później ojciec innej koleżanki zmarł na raka mózgu. A inna dziewczynka zawsze mówiła, że ją bołą nogi. Wstyd mi, ale naśmiewaliśmy się z niej, uważaliśmy za hipochondrykę. A później umarła na raka kości. Ja otrzymałam diagnozę raka trzustki w 1985 roku. Prowadziłyśmy z siostrą listę znajomych z naszej dzielnicy zabitych przez raka. Gdy siostra zmarła w 2001 roku, na liście były 54 osoby. Jesteśmy tu garstką mormonów i Indian. Rząd uznał nas za zbędnych. ●



Nakładem Wydawnictwa Agora ukazała się właśnie książka Macieja Jarkowca „Na bulwarach czyhają potwory. Filmowa historia Ameryki”

w 1946 roku publikacji o obozie wysiedleńczym w Pruszkowie pt. „Dulag 121 -Pruszków” (Wydawnictwo Zachodnie Poznań.) Rok później była już prawie gotowa do druku trzecia książka, ale aresztowanie i uwięzienie ojca, a także długie lata Jego inwigilacji i cenzury naukowej przez służby ubeckie, spowodowały, że ukazała się ona dopiero w 1965 roku pod tytułem „Życie w powstańczej Warszawie” (PAX).

Na koniec chciałabym powiedzieć, że akcja „Iskra-Dog” – bezprezidentsowa konspiracyjna kwerenda naukowa, bezcenna, bo oparta na autentycznych, na gorąco zbieranych wstrząsających relacjach świadków wydarzeń o niepowtarzalnym zna-

czeniu dowodowym (Norymberga), jest dzisiaj nieomalże zapomniana i mało cytowana w literaturze przedmiotu (stąd kłopoty w zapisie bibliograficznym). Jednak ostatnio, powoli, zaczyna przechodzić swój renesans. Dla przykładu, 21 września w Muzeum Dulag, odbyło się spotkanie z cyklu 80. rocznica Wysiedlenia Powstańczej Warszawy z Panią dr Agnieszką Pragą pt. „Naoczni świadkowie – Edward Serwański i Akcja Iskra-Dog”.

Będę bardzo wdzięczna za uściślenie notki bibliograficznej, a chociażby podanie źródła skąd pochodzi relacja dr Wolfram. ●

Z wyrazami szacunki i serdeczności, Małgorzata Wryk

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Okruchy historii

Zanim na Wołyniu spróchnieją kości

Urzędnicy ukraińscy odrzucają wszystkie polskie wnioski o ekshumacje ofiar UPA.



Czasami parę lekko rzuconych zdań odsłania więcej niż długi referat pełen ogólnych i wieloznacznych sformułowań. Do tej kategorii należy zaliczyć wypowiedź Dmytra Kuleby podczas Campusu Polska. Były już minister spraw zagranicznych Ukrainy, pytany o ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej, odpowiedział, że w Olsztynie, dokąd trafiali wysiedleńcy z akcji „Wisła”, nie wypada zadawać takich pytań, ponieważ „gdybyśmy dzisiaj zaczęli grzebać w historii”, to długo można by „wypominać sobie te złe rzeczy, które Polacy uczynili Ukraińcom i Ukraińcy Polakom”, zresztą z ekshumacjami „nie mamy problemu” (choć nie można ich prowadzić).

Słowa Kuleby odebrano jako bezceremonialne lekceważenie nie tylko masowych mordów z czasów II wojny światowej, ale też pamięci o tych wydarzeniach kultywowanej przez współczesnych Polaków.

Minister w gruncie rzeczy stwierdził: żadnych złudzeń, prowadzimy konsekwentnie politykę historyczną, która polega na symetrii polskich i ukraińskich win.

Czy to prawda? Gdy chodzi o Wołyń ’43, oczywiście nie! Nie chodzi nawet o to, że Polaków zginęło wielokrotnie więcej niż Ukraińców. Sprawą kluczową jest fakt, że to najwyższe kierownictwo OUN i UPA podjęło w 1943 roku decyzję o fizycznej depolonizacji całego obszaru Wołynia i Galicji Wschodniej zamieszkivanego przez ponad milion Polaków. Potwierdzają to wypowiedzi i decyzje dowódcy UPA Romana Szuchewycza, który w sierpniu 1943 roku zaakceptował „wołyńską taktykę” i zdecydował o jej wprowadzeniu w Galicji. W wyniku planowych antypolskich czystek do maja 1945 roku zginęło około 100 tys. ludzi, a 300-400 tys. ratowało się ucieczką (kolejne prawie 800 tys. wywieźli później Sowieci).

Polskie podziemie też popełniało zbrodnie, z zemsty wybijając czasem całe wsie, jednak robili to lokalni komendanci. Dowództwo AK nie wydało rozkazu deukrainizacji choćby powiatu.

Współbrzmi z Kulebą głos szefa ukraińskiego IPN Antona Drobowycza, który w wywiadzie dla radia Wnet stwierdził, iż żadnego zakazu ekshumacji nie ma. No tak, nie ma, „tylko” urzędnicy ukraińscy odrzucają wszystkie polskie wnioski z prośbą o ich przeprowadzenie. A odrzucają, bo Polacy nie chcą umieścić na

mogile w Monasterzu tablicy z nazwiskami pochowanych tam poległych w walce z NKWD partyzantów. Sam nie rozumiem tej ciągnącej się od 2019 roku wojny o pomnik w Monasterzu i m.in. na łamach „Ale Historia” protestowałem przeciwko bezsensownemu uporowi polskiego IPN w tej sprawie. Jednak tu też nie możemy mówić o symetrii.

Mogila w Monasterzu w końcu istnieje i została odnowiona, tymczasem kości polskich ofiar leżą w bezimiennych i nieznanych dołach śmierci, pozwoli zamieniając się w próchno. Może najpierw odnajdziemy ich szczątki i pochowamy, a później wrócimy do dyskusji, czy mogiły opatrzyć tablicami z nazwiskami?

Są głosy, że podawana liczba 100 tys. polskich ofiar jest zawyżona i wzięta z sufitu. Tymczasem jest ona efektem badań wielu historyków i dokumentalistów. Jedni „od dołu” liczyli mozołnie nazwisko po nazwisku i wieś po wsi, drudzy „od góry” porównywali wszystkie dostępne spisy ludności: polskie, niemieckie, sowieckie. Polski parlament w swoich uchwałach oparł się więc na badaniach akademickich, a nie nacjonalistyczno-kresowych, które mówią o 120-130 tys. ofiar.

Co ciekawe, w Polsce łatwo zobaczyć, kto jest kim: realiści, w tym osoby życzliwe Ukrainie, mówią o 100 tys. ofiar, kresowi nacjonaści o 120-130 tys., a „wołyńscy antyszczepionkowcy” oczekują rezygnacji z wyników pracy naukowców.

Często słyszę, że społeczeństwo ukraińskie nic nie wie o zbrodni wołyńskiej i trzeba poczekać, aż edukacja poczyni postępy. Ten argument powtarzany jest od ćwierć wieku, brakuje natomiast wysiłków na rzecz upowszechniania wiedzy na ten temat. Hołdujący temu przekonaniu w istocie mówią, że sprawa zbrodni wołyńskiej jest polskim problemem wewnętrznym. Wojna i polskie wsparcie dla Ukrainy, jak pokazują wypowiedzi Kuleby i Drobowycza, nie zmieniły nastawienia ukraińskich elit w tej sprawie ani o jotę. Dlatego stanowisko polskiego rządu zapowiadające uzależnienie poparcia dla europejskich aspiracji Ukrainy od rozliczenia zbrodni wołyńskiej przyjmuję bez entuzjazmu, ale ze zrozumieniem. Skoro Wołyń ’43 jest tylko naszym problemem, to może zmiana nastawienia polskiego rządu powinna być wyłącznie zmartwieniem ukraińskich negocjatorów?

Jestem przekonany, że miejsce Ukrainy jest w zjednoczonej Europie. Co takiego złego jest jednak w tym, że wielu Polaków chce, by zbrodnię na polskiej ludności Wołynia nazwać zbrodnią? A jeśli tak trudno wykrztusić z siebie taką ocenę, to może warto choć pozwolić Polsce na pochowanie jej zabitych dzieci, zanim ich kości zamienią się w proch. ●

ZASŁONIĘTE PRZEZ JEDWABNE

Pogrom opisany przez Jana Tomasza Grossa w „Sąsiadach” nie był ani najważniejszy, ani największy. Nie rozpoczął też pogromowej fali

Z MIROŚLAWEM TRYCZYKIEM*
ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Drugi raz wchodzisz do tej samej rzeki?

MIROŚLAW TRYCZYK: Moja poprzednia książka „Miasta śmierci” ukazała się dziewięć lat temu. Następnie, w 2020 roku, opublikowałem „Drzazgę. Kłamstwa silniejsze niż śmierć”, reportaż z podróży po miastach pogromowych. W tym czasie wydarzyło się dużo, jeśli chodzi o naszą wiedzę o pogromach, do których doszło w Polsce latem 1941 roku – pojawiły się nowe informacje, zdjęcia. Więcej też wiemy o sprawcach pogromów. O tym chciałem napisać w nowej książce.

Ważne było też to, że po 2015 roku polskie państwo i jego polityka historyczna zrobiły wiele, żeby wypaczyć obraz II wojny światowej. Przez te dziewięć lat dorosło już pokolenie ludzi, którym towarzyszyła ta propagandowa wizja historii. Dlatego uznałem, że muszę tę historię napisać na nowo.

Czym były te lata dla historii II wojny światowej?

– Przez osiem lat tworzone kontropowieści. Mamy teraz w przestrzeni społecznej nie tylko dwa obrazy Zagłady i wojny, ale też dwie różne, konkurujące ze sobą, wizje tego, jak wyglądały wtedy relacje polsko-żydowskie. Dlatego „Miasta pogromów” są książką, która nie tylko włącza się w istniejące dyskusje, ale

próbuje raz jeszcze przypomnieć o najważniejszych faktach.

„Nie tylko Jedwabne”. To bardzo perswazyjny podtytuł, ustawiający kierunek lektury twojej książki.

– Dyskusja wokół Jedwabnego skierowała nas na bardzo jednotorowe widzenie, można wręcz powiedzieć, że wypaczyła obraz wydarzeń z 1941 roku. Wydaje mi się, że w pewnym momencie znaleźliśmy się w czymś w rodzaju historyczno-narracyjnego ślepego zaułku.

Przez 24 lata dyskutowaliśmy przede wszystkim o Jedwabnem. W tym czasie zaczęto podważać sprawstwo pogromu dokonane przez mieszkańców miasta, mnożono wątpliwości. Tymczasem warto sobie uświadomić, że pogrom, do którego tam doszło, nie był ani najważniejszy, ani największy. Nie rozpoczął też pogromowej fali, do której doszło tamtego zbrodniczego lata 1941 roku. Jednak to, że od Jedwabnego zaczęliśmy dyskusję, sprawiło, że nadano mu takie znaczenie. Myślę, że dla wielu osób mogło być to wygodne.

Dla kogo?

– Dla wszystkich tych, którzy chcieli zminimalizować zgubne dla polskiej pamięci historycznej skutki książki Jana Tomasza Grossa. To on rozpoczął dyskusję o polskim sprawstwie pogromów w 1941, pisząc w „Sąsiadach” o pogromie w Jedwabnem, ale to nie on ją kontynuował przez następne 24 lata.

Kontynuowali ją kreatorzy polskiej pamięci głównie spod znaku IPN, którzy

skupili się na Jedwabnem i w zasadzie pominęli inne pogromy z lata 1941 r., bo tak było wygodniej dla polskiej narracji historycznej. W Jedwabnem bowiem można było mówić o wpływie Niemców, choćby tylko w aspekcie tzw. sprawstwa kierowniczego. To było ważne, by w jakiś sposób obarczyć ich winą. Taki zabieg pozwalał wybielić polską pamięć historyczną. Gdyby opowiedzieć o pogromach z lata 1941 rozpoczęto od innej miejscowości, sprawa wyglądałaby inaczej.

Gdzie i kiedy doszło do pierwszego pogromu w 1941 roku?

– 25 czerwca 1941 roku w Szczuczynie, tuż po przejściu frontu. Nie trwał jeden dzień. Kolejnych zbrodni pogromowych dokonywano tam jeszcze do 20 lipca. A nawet dłużej – gdy Niemcy utworzyli getto w Szczuczynie, miejscowi wybierali z niego kobiety i mordowali je w okolicznych lasach.

Do kolejnych pogromów dochodziło w Jasionówce między 27 a 28 czerwca, Wąsoczku 4-5 lipca, dwa dni później w Radziłowie, a dopiero później w Jedwabnem. Dla wybuchu tej zbrodniczej fali mordy, których dokonano w Szczuczynie czy Radziłowie, miały dużo większe znaczenie niż ten w Jedwabnem.

Gdy przyglądamy się wszystkim tym miejscowościom, bez trudu możemy dostrzec, że przed wojną były one uznawane za bastiony endecji. Dochodziło w nich do dużych, masowych wystąpień antyżydowskich, o których opowiadałem w „Miejskach pogromów”.

Wielu osobom pogromy kojarzą nie tylko z Jedwabnem, ale też z Niemcami,

którzy zmusili polską ludność do zabijania Żydów.

– Próbuję pokazać, że po książce Grossa zle zdefiniowaliśmy pogrom jako wydarzenie, które jest efektem wybuchu jednostkowej, gwałtownej przemocy, która może się dokonać pod wpływem obcej zachęty. Po 2000 roku w polskiej narracji zaczęto przedstawiać wydarzenia pogromowe w Jedwabnem jako efekt przyjazdu do miasteczka Niemców, którzy zachęcali polską ludność do wystąpienia przeciwko swoim sąsiadom, czyli ludziom, z którymi wcześniej żyli w pokoju i przyjaźni. Zatem w wyniku jakiejś ognistej przemowy do zgromadzonych na jedwabieńskim rynku mieszkańców i pod groźbą kary ludzie rzucili się mordować. To perspektywa pozbawiona logiki, zupełnie nieprawdopodobna z punktu widzenia psychologii, wiedzy o ludobójstwach. I przeciwko takiej narracji napisałem „Miasta pogromów”.

Czasem myślę, że chciałbym poznać człowieka, który ma taką zdolność, aby stanąć na rynku dowolnej miejscowości i wygłosić mowę tak płomienną, że po niej większość słuchających stwierdzi, że będą zabijać ludzi, z którymi współżyli, współmieszkałi przez ostatnie dziesiątki lat.

Pogrom to wybuch przemocy, ale wybuch będący końcowym etapem, kumulacją, do której prowadzi wieloletnia dehumanizacja, najpierw słowna, potem fizyczna agresja połączona z symbolicznym napiętnowaniem ofiar. Pogrom poprzedzają akty przemocy na bardzo wielu poziomach – pobicia, zastraszania, zabójstwa.



▲ **Mirosław Tryczyk, autor książki „Miasta pogromów. Nie tylko Jedwabne”**

FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

◀ **Zdjęcie wykonane przez niemieckiego korespondenta Gerharda Gronefelda podczas pogromu w Jasionówce 28 czerwca 1941 roku. Na placu przed kościołem widać stłoczonych Żydów pilnowanych przez Niemców** FOT. BPK / DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM / GERHARD GRONEFELD

▶ **Jedna spośród 300 macew, które przetrwały do dziś na żydowskim cmentarzu Jasionówce** FOT. ERYK STAWIŃSKI/REPORTER



Do pogromu społeczność musi dojrzewać, i ten proces nie jest kilkugodzinny czy kilkudniowy. A niemal cała narracja wokół Jedwabnego skupia się na aspekcie niemieckiej prowokacji. Dlatego wydaje mi się konieczne, by raz jeszcze przyjrzeć się historii pogromów, rządzącym nimi mechanizmom i wskazać sprawców.

Jak wygląda pamięć o pogromach w miejscowościach, o których piszesz? – Z rozlicznych badań nad ludobójstwami czy masowymi zbrodniami wiemy, że ostatnim etapem każdego z nich jest kłamstwo. Wspólnoty, oddziały militarne, grupy ludzi, którzy dokonują masowych zbrodni, starają się je później ukryć, zakłamać. Tak było w Rwandzie czy byłej Jugosławii. Tak samo jest teraz, gdy chodzi o zbrodnie popełniane przez Rosjan na mieszkańcach Ukrainy.

Zatem to, z czym się spotykamy, gdy zaczynamy upominać się o prawdę historyczną, to kłamstwo. Od wielu lat staram się przywracać pamięć o pogromach – zarówno w Szczuczynie, jak i Radziłowie. Poza pomnikami postawionymi tam w latach 70. przez lokalne władze, na których umieszczono fałszywe inskrypcje, mówiące o tym, że w tym miejscu faszysti zamordowali określoną liczbę osób, w przestrzeni publicznej nie znajdziemy żadnych informacji o pogromach.

Dobrym przykładem jest Szczuczyn, gdzie przez dziesiątki lat teren cmentarza żydowskiego służył do wypasu bydła. W 2017 roku wraz z przyjaciółmi, Michałem Panderą i Piotrem Grzegorkiem, udało mi się zainterweniować w mediach na tyle sku-

tecnie, że miejscowy burmistrz wydał zakaz wypasu zwierząt w tym miejscu. Teraz, po dziesięciu latach pracy ze społecznością mieszkańców Szczuczyna, współpracy z Fundacją Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego i Komisją Rabiniczną do spraw Cmentarzy przy Naczelnym Rabinie Polskim oraz innymi ludźmi dobrej woli, takimi jak ksiądz Wojciech Lemański, jesteśmy blisko tego, by na cmentarzu żydowskim w Szczuczynie postawić pomnik poświęcony ofiarom pogromu. Na marginesie muszę dodać, że to jest wręcz niezwykle, jakie metody stosowano do zacierania śladów po masowych grobach – nieraz takie miejsca zamieniano na przykład na wysypiska śmieci...

Do bardzo ciekawej i pokrzepiającej na duchu sytuacji doszło we wsi Bzury, nieopodal której w lesie Dybelka, późną jesienią 1941 roku polscy chłopcy ze Szczuczyna zamordowali 20 dziewczyn żydowskich z tego samego miasta. Udało się odnaleźć miejsce ich pogrzebania, choć lepiej mówić – ukrycia ich ciał...

Dlaczego lepiej tak mówić?

– Nie mamy do czynienia z grobami, tylko dolami śmierci, w których sprawcy ukryli zwłoki swoich ofiar. W lesie Dybelka udało się to miejsce odkryć dzięki wskazaniu lokalnego świadka. W 2017 roku stanęła tam tablica pamiątkowa, a przed rokiem, dzięki zaangażowaniu potomków szczuczypińskich Żydów i grupy Polaków, udało się ustawić w jej miejsce dwujęzyczną hebrajsko-polską, większą tablicę. Mieszkańcy Bzury i okolicznych wiosek, takich jak Boczek, Wierzbowo i Dybła, dbają o to miejsce,

ozdabiają je, umieścili tam przedwojenne zdjęcia Żydówek ze Szczuczyna, a leśnicy z nadleśnictwa Grajewo ufundowali znaki kierujące do tego miejsca.

Nie byłoby tego jednak bez szoku, który wiele osób przeżyło na początku tego wieku po zapoznaniu się z historią pogromu w Jedwabnem. Myślisz, że przez te 24 lata zmieniło się w Polsce nastawienie wobec tego tematu?

– Na pewno to są już inne emocje niż te, które towarzyszyły dyskusjom po premierze książki Grossa. Choć to fenomenalna, przełomowa dla polskiej pamięci historycznej książka, to debata, która miała miejsce po jej wydaniu, wypaczyła szerszy obraz historii. Skupiając się na Jedwabnem, nie tylko wiele osób uwierzyło, że to przypadek jednostkowy i kumulacja całego zła, ale też nastąpiło napiętnowanie mieszkańców miasteczka. To było pozbawione sensu, ponieważ w tamtym czasie większość sprawców pogromu już nie żyła. Natomiast ich potomkowie w żaden sposób za zbrodnie popełnione przez swoich przodków nie powinni odpowiadać.

W mediach trwała debata, natomiast niemal nikt nie pracował wtedy z lokalną ludnością i jej pamięcią – choćby w szkołach. Trzeba pamiętać, że każda zbrodnia zostawia w sprawcach ślady, które w postaci traum przechodzą na kolejne pokolenia. W konsekwencji cierpią rodziny. Nie dziwi mnie, że Jedwabne, po książce Grossa, stało się twierdzą zamkniętą na wszelkie działania związane z pamięcią. To był też świetny punkt startu dla negacjonistycznej

kontrnarracji, która przez ostatnie osiem lat dostała olbrzymie wsparcie rządowe.

Jakie są elementy tej kontrnarracji?

– Zmienia się punkt ciężkości. Mówi się o Polakach, ofiarach sowieckich wywozek, podkreślając rolę Żydów, którzy jakoby mieli stać za tymi działaniami. Co prowadzi do wniosków, że Żydzi sami na siebie sprowadzili pogromy jako karę. Przy tej okazji nie mówi się o tym, że wśród 330 tysięcy ludzi wywiezionych przez Sowietów z polskich Kresów Wschodnich około 20 proc. stanowili właśnie Żydzi.

Mojsze Farberowicz w księdze pamięci Szczuczyna opisuje, jak tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej przyszła po niego NKWD-owska trójka, każąc mu w 15 minut się spakować. Paradoksalnie wywózka na Wschód uratowała mu życie, bo kilka dni później wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i 25 czerwca 1941 zaczął się pierwszy pogrom w Szczuczynie. Z trzech tysięcy szczuczypińskich Żydów do momentu utworzenia tam getta 20 lipca 1941 r. przeżyło 370. Biorąc pod uwagę wcześniejsze przesiedlenia i zabójstwa, zakładam, że w pogromach w Szczuczynie między 25 czerwca a 20 lipca 1941 zamordowano od 1500 do 1800 Żydów. Także w Jedwabnem Żydzi byli wywożeni przez Sowietów.

Do Jedwabnego jeżdżę co roku i nie mogę narzekać – teren pomnika jest zadbane, co roku podczas uroczystości upamiętniających ofiary pogromu wszystko przebiega





w miarę spokojnie. Ale to wymiar publiczny. W wymiarze prywatnym niemal nikt nie chce już o tym rozmawiać.

Niedawno, podczas jednej z rocznic, miałem tam niezwykle ciekawą rozmowę – po lewicy stał młodzieniec z flagą ONR-u, a po prawicy dziewczyna z dzieckiem na ręku, która prowadziła z nim i ze mną dyskusję. Wprost mówiła, że młodzieniec się myli, bo jej babcia opowiadała, że zbrodni dokonali Polacy i nie ma o czym dyskutować. Cytuję na końcu książki wypowiedź Wioletty Walewskiej, kobiety urodzonej w Radziłowie w latach 80. XX wieku, która w „Karcie” w 2016 roku opublikowała bardzo mądry, przenikliwy i poruszający tekst na temat pogromu i pamięci o nim.

Pisze tak: „Nauczyciele nie mówili o tym na lekcjach, a my nie rozmawialiśmy między sobą. Mijałam to miejsce wiele razy i nigdy nie czułam niczego szczególnego. Było jednak coś, co na lata zapadło mi w pamięć – słowa moich rodziców, którzy jako pierwsi powiedzieli mi wprost: to polscy sąsiedzi z Radziłowa mordowali Żydów – przecież każdy to wie, ale nikt się do tego nie przyzna. Świadome zniekształcanie pamięci o Żydach jest złem”.

Minęło już ponad 80 lat. W końcu, do cholery, powinniśmy zacząć mówić prawdę. I tę prawdę sobie opowiedzieć, może jakoś domknąć ten temat. Tuż obok nas leje się krew, nie mamy wielu powodów do optymistycznego spoglądania w przyszłość, obserwujemy powtórkę wydarzeń, które miały już miejsce w historii. Dlatego, żeby uświadomić sobie, do czego prowadzą niektóre działania polityków, warto mówić prawdę, a nie uprawiać politykę historyczną.

Przeglądasz się narracjom tworzoną przez Polaków i Żydów. Czy w żydowskiej pamięci pogromy cały czas były obecne?

– Historycy żydowscy skupieni wokół Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej tuż po wojnie zaczęli zbierać materiały na temat zbrodni popełnionych w czasie Holocaustu, nie mając chyba nawet świadomości skali tego, co się wydarzyło. Zbierali świadectwa i relacje zarówno od świadków żydowskich, jak i Polaków.

Historykiem, który w najbardziej intensywny sposób zaangażował się w te badania, był Szymon Datner. Relacje przez niego zebrane to doskonałe źródło wiedzy. Bazując na tym zbiorze, pani Helena Datner, jego córka, napisała fantastyczną książkę „Zagłada Białegostoku i Białostoczczyzny. Notatki dokumentalne”. Datner przed wojną był nauczycielem gimnastyki w białostockim gimnazjum i jego uczeń, Menachem Finkelsztajn, przeżył razem z najbliższą rodziną pogrom w Radziłowie. W 1946 roku Datner wysłuchał zeznań jego i jego rodziców.

Finkelsztajn mówi tam, że 7 lipca, tuż przed pogromem, do Radziłowa przyjechali „czterema samochodami” Niemcy „z Polakiem ubranym w uniform narodówki”. Ta relacja była przez lata omijana przez badaczy.

Na przykładzie pogromu w Radziłowie widać spore różnice między zeznaniami świadków. Żydzi częściej mówią o tym, że to Polacy mordowali. I nie dlatego, że zostali przymuszeni, ale z przyczyn „ideowych”. Polska narracja kierowała się w stronę jednoznacznego wskazania na niemieckie sprawstwo. Robili tak zarówno prokuratorzy z Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, jak i późniejsi prokuratorzy z Instytutu Pamięci Narodowej. Kiedy nie udawało się przypisać bezpośredniego udziału, to musiało istnieć chociaż „sprawstwo kierownicze”. Tak przecież czytamy w umorzeniu śledztwa dotyczącego Jedwabnego oraz w umorzeniu śledztwa w sprawie pogromu w Radziłowie.

Często też – pisząc o Polakach, którzy brali udział w pogromach – historycy zapominali się przyjrzeć ich przeszłości. Przedstawiano ich po prostu jako zdegenerowany prymityw, podlaskich chłopów, „ciemny lud”. Jednak gdy zaczynamy przyglądać się ich biografiami, okazuje się, że to osoby wy-



• Tablica pamiątkowa postawiona z inicjatywy Mirosława Tryczyka w lesie koło miejscowości Bzury, gdzie Polacy zamordowali w 1941 roku kilka Żydów. FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / WYBORCZA.PL

Wydarzenia w Jedwabnem przedstawiano u nas jako efekt przyjazdu do miasteczka Niemców, którzy zachęcili polską ludność do wystąpienia przeciwko swoim sąsiadom, czyli ludziom, z którymi wcześniej żyli w pokoju i przyjaźni. To perspektywa pozbawiona logiki

kształcone, przedstawiciele miejscowych elit, np. nauczyciele o zdecydowanych poglądach politycznych, często endeckiej przeszłości organizacyjnej. Nawet gdy już przyznajemy, że Polacy mieli swój udział w pogromach, to szukamy jakichś okoliczności łagodzących, bo przecież źli ludzie są wszędzie. Ot, kilka czarnych owiec.

Dzięki temu nie trzeba się zastanawiać, jaka ideologia doprowadziła do wybuchu pogromów, co tych ludzi ukształtowało – jakie problemy społeczne, idee, religia. Obraz prymitywnych, zmanipulowanych przez Niemców mętów jest dużo łatwiejszy do przyjęcia.

Byłem konsultantem przy filmie Wojciecha Smarzowskiego „Wesele” i pamiętam, jakie toczyły się dyskusje nad budowaniem narracji w tym filmie. Tam też sytuacja pogromowa została pokazana w duchu narracji, która kształtowała się na początku XXI wieku. W scenie tuż przed pogromem widzimy stół z niemieckimi oficerami, którzy piją wódkę, jedzą kielbasę. Wokół nich trwa pogrom. Ale widz wie, że to Niemcy rządzą. Tak jakby mieli możliwość w każdej chwili przerwać mordy. To nie ma za wiele wspólnego z rzeczywistością wyłaniającą się z zeznań świadków. Nie podobał mi się ten pomysł, ale niewiele miałem tu do powiedzenia, liczyła się dramaturgia.

Powojenne procesy niektórych uczestników pogromów w niczym nie przybliżyły nas do prawdy?

– Oskarżenia zawsze zrzucali winę na Niemców, którzy ich podjudzali. Dzięki temu mogli uniknąć najwyższego wymiaru kary, czyli kary śmierci. Świadkowie żydowscy zeznający przed tymi sądami zwykle mówią, że Niemcy zachowywali się biernie albo że w ogóle żadnych Niemców nie było, jak w Szczuczynie.

Często zeznający mówili o różnych jednostkach niemieckich, bo przez wsie bia-

lostockie potrafiło w tamtym okresie przejechać jednego dnia ich nawet kilkanaście. Trwała przecież największa ofensywa lądowa w dziejach świata, atak III Rzeszy na ZSRR. Dla białostockich Żydów sytuacja przypominała trochę rosyjską ruletkę. Każdy niemiecki dowódca z jednostek, jakich wiele zatrzymywało się w miasteczkach i wsiach w tamtym okresie, mógł podjąć inną decyzję wobec nich. Albo nakazać rozprawę z Żydami, albo grabież, albo powstrzymać lokalnych pogromczyków, jak to miało miejsce w Szczuczynie czy Jasionówce. Odgórnego planu wywołania pogromów nie było, co staram się pokazać w książce, cytując zresztą prace uznanych historyków jak prof. Andrzej Żbikowski.

W „Miastach pogromów” przypominasz też, że jednak są inni, niezwykli świadkowie tamtych wydarzeń – fotografie.

– Niemiecki korespondent wojenny Gerhard Gronefeld zrobił sporo zdjęć podczas pogromu w Jasionówce. Jedno z nich jest niezwykle – na placu przed kościołem zgromadzeni są Żydzi, pilnowani przez Niemców. Pomiędzy nimi leżą jakieś pakunki, być może skrzynka, do której Niemcy chcą zebrać od Żydów okup. Niemcy są rozluźnieni, niewielu ma broń palną, ktoś się opiera o rower. Wydają się raczej zaintrygowani tym, co się dzieje. Naprzeciwko tej grupy widać kościelny idącego z krzyżem, a za nim ksiądz Cypriana Łozowskiego i niewielką grupę ludzi w kondukcje pogrzebowym. Co ważne – kondukt nie idzie w stronę Niemców i Żydów, choć to jest kierunek na cmentarz, a zmierza do znajdujących się w tle Polaków. Ksiądz chciał na chwilę uspokoić emocje zgromadzonych, ruszył z krzyżem na swoich parafian, którzy szykowali się do pogromu. Potwierdza to zeznanie Pesi Szuster-Rozenblum, która przeżyła pogrom w Jasionówce.

Ciekawi mnie to, co przed nami. Czy idziemy w kierunku jakiegoś domykania tej historii – znalezienia odpowiedzi o to, jak było naprawdę, czy jednak drepczemy w miejscu?

– Wydaje mi się, że jesteśmy dopiero na początku drogi. Jest wciąż wiele do zrobienia. Choćby na poziomie języka, którym się posługujemy. Mówimy o „polskim sprawstwie”, a przecież to nie naród zabija. Jesteśmy skażeni językiem nacjonalistycznej retoryki, która podkreśla dominację narodości nad jednostką. Sam często wpadam w tę pułapkę. Jeśli rozpoznamy to, kim byli sprawcy i co ich ukształtowało, łatwiej będzie nam zrozumieć, że do pogromów doprowadziła międzywojenna ideologia obozu endeckiego, spleciona z terrorem wojny, okupacją sowiecką. Myślę, że przed nami też umieszczenie fali pogromowej 1941 roku w podręcznikach. Właściwie nic się o niej nie wspomina, najwyżej jednym zdaniem. Podobnie jest z kulturą masową, serialami, kinem. Jednak najwięcej pracy wciąż czeka lokalne społeczności.

Ogromna praca jest też do wykonania na terenie Ukrainy, gdzie o pogromach na ludności żydowskiej nie mówi się niemal w ogóle. Ten problem dotyczy też mieszkańców Litwy. Po książce „Nasi” Rū ty Vanagaite rozpoczęła się tam dyskusja o pogromach, ale szybko została spacyfikowana. Teraz jednak trudno będzie o jakiegokolwiek rozliczanie przeszłości. W sytuacji gdy mamy do czynienia z agresywną Rosją i potrzebą budowania pozytywnych mitów, które będą zachęcać ludzi do walki za kraj, trudno będzie wracać do historii, zwłaszcza takiej. Dyskusja o pogromach nikomu nie będzie potrzebna. Obawiam się, że książka, o której teraz rozmawiamy, przejdzie niezauważona, zepchnięta na dno szuflady. Podobnie jak książka Heleny Datner, która choć fantastycznie udokumentowana, niemal zupełnie nie miała recepcji.

Za to cały czas pojawiają się nowe dokumenty. Myślę, że wypłynie jeszcze wiele fotografii przedstawiających pogromy. Trzeba pamiętać, że niemieccy żołnierze maszerujący na wschód, często mieli przy sobie aparaty fotograficzne. W 2015 r. miesięcznik „Karta” opublikował zdjęcia niemieckiego żołnierza, Waltera Junga, który sfotografował w Tarnopolu kobietę prowadzącą chudego, szczupłego mężczyznę i mu wygrażającą. Jung myślał, że to kłótnia małżeńska. W rzeczywistości sfotografował scenę prowadzenia żydowskiego chłopaka na miejsce kaźni. Myślę, że takich zdjęć sporo jeszcze się odnajdzie w niemieckich archiwach.

Brakuje też przekładów na polski książek pisanych przez żydowskie wspólnoty, „Księgi pamięci”, które pokazują często zupełnie inną narrację niż ta, do której Polacy są przyzwyczajeni. Może wtedy będzie można połączyć ze sobą te dwie narracje i zacząć rozmawiać jednym, wspólnym językiem. Nie może być tak, że z jednej strony słyszymy głosy, że Polacy antysemityzm wysysają z mlekiem matki, a z drugiej, że jesteśmy niczemu niewinni. ●



W tym roku nakładem wydawnictwa RM ukazała się książka Mirosława Tryczyka „**Miasta pogromów. Nie tylko Jedwabne**”.

Dr Mirosław Tryczyk

• (ur. 1977) – filozof, etyk, badacz Zagłady, w 2019 roku nominowany do Nagrody POLIN. Autor wielu artykułów i książek, m.in.: „Między imperium a świętą Rosją” (2009), „Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów” (2015), „Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć” (2020). W tym roku nakładem wydawnictwa RM ukazała się jego książka „Miasta pogromów. Nie tylko Jedwabne”.

Listy

Ossowscy! Jeszcze jedno świadectwo

„Wiem, że mądrzy i szlachetni Państwo Ossowscy pomagali w ponurych wojennych czasach nie tylko nam. Jestem im winien tych kilka słów”.

Elżbieta Neyman

W Gazecie Wyborczej 13 lipca b.r. ukazał się artykuł pióra Antoniego i Róży Sułków poświęcony Marii i Stanisławowi Ossowskim p.t. Sprawiedliwi z Żoliborza, do którego pragnę przekazać pewne uwagi i uzupełnienia.

Autorzy piszą, że w rodzinie Stanisława przeważały – w odróżnieniu od rodziny Marii – „wpływy osób żydowskich”. Oczywiście trudno ustalić proporcje antysemitów i ich przeciwników w każdej rodzinie. Jednak pragnę zasygnalizować istotny dokument, który jest zdeponowany w archiwum Ossowskich.

Są nimi listy adresowane do Stanisława przez jego wujka, Z. Pyrowicza; jedyne od członków rodziny, które Ossowski pieczołowicie zachował. Powodem tej troski jest z całą pewnością przedmiot korespondencji: sprawa żydowska oraz kuriozalny charakter wywodów adwersarza. Z lektury wynika, że siostrzeniec konsekwentnie przysyła do niego różne petycje, artykuły itp. potępiające nietolerancję religijną i rasizm. W odpowiedziach wuj argumentuje zajadłe, usiłując sprowadzić go na dobrą drogę i ustrzec przed złymi wpływami, między innymi „p. Maryli”, czyli żony „kochanego Stasia”, o której działalności wypowiada się kąśliwie.

W liście z 9 stycznia 1938 roku Pyrowicz wyraża pogląd, że domaganie się getta ławkowego przez „młodzież” bynajmniej nie świadczy o jej rasizmie. Nadto pisze: „Wszystkie narody po kolei odwracają się tyłem do hasła rewolucji tak zwanej »Francuskiej«, nie chcą słyszeć o żadnym kosmopolis, internacjonale, międzynarodówkach, masonerii i o Żydostwie, które jest bezwzględny wrogiem cywilizacji chrześcijańskiej. Wierzę Ci na słowo (choć mi to łatwo nie przychodzi), że pojedynczy żydzi, cytowani przez Ciebie, są wyjątkami. Ale czy znasz jakie prawo bez wyjątku?”

4 lipca 1938 roku wuj szydzi z „p. Maryli”, która została sekretarzem Sekcji Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Wyższych, o czym się dowiedział z pisma przesłanego przez siostrzeńca: „A praca to będzie nielatwa, bo zaczyna się pod fatalnymi auspicjami, jak to widać z treści I numeru”. Zamieszczono w nim bowiem informację o „złożeniu protestów w Ambasadzie przez nieliczne grupy profesorów Francji, Belgii, Anglii i Ameryki w sprawie porządku, zaprowadzonego w uczelniach polskich, w imię praw człowieka (kapliczki masonskiej). Niewiadomo co



• Prof. Maria Ossowska (1896-1974), socjolożka, etyczka. Wraz z mężem Stanisławem ukrywali w czasie okupacji w swoim mieszkaniu Żydów FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

Oglądając Dekalog VIII Kieślowskiego, byłam na początku zaskoczona pewnymi zbieżnościami fikcji i realiów

w tym proteście należy więcej podziwiać, czy bezgraniczną bezczelność, czy też bezgraniczną ignorancję tych (sit venia verbo), quasi »profesorów«.

30 lipca 1938 roku wypowiada się o działalności tego – jak pisze w cudzysłowie – „Towarzystwa” jako „wielkim oszustwie, które obronę praw i przywilejów Żydów nazywa obroną praw człowieka. A czy Ty kiedy widziałeś, żeby ono broniło praw człowieka (nie Żyda)? (...) W obronie praw człowieka Żyda nie tylko zapomniano, ale jeszcze pogwałcono prawa człowieka (studenta polaka): młodzież nasza nie chce się przyjaźnić z zaprzysiężonymi wrogami Kościoła i kraju, burzycielami ładu społecznego. I to – jest Jej prawem”.

Wreszcie obszerny list z 19 sierpnia. O tyle ciekawy, że cytuję argumenty siostrzeńca i stanowi podsumowanie wywodów wuja. W zasadzie powinien służyć jako jeden, wielki cytat. Pomijam go z braku miejsca. Cała korespondencja zasługiwałaby na umieszczenie jej in extenso w almanachu antysemityzmu polskiego.

2 Jako przykład bezpośrednich kontaktów Ossowskich z Żydami mogą służyć choćby pełne niepokoju wzmianki w Ich korespondencji o wizytach u żony „Józika”, czyli Józefa Chałasińskiego, którego pierwsza żona była tegoż pochodzenia.

W rozmowach ze mną Pani Profesor wspominała małego, żydowskiego chłopca, którego miała pod opieką w czasie okupacji i zmuszona była go zostawić samego w domu, głównie, aby udać się na zajęcia podziemnego uniwersytetu.

Oglądając Dekalog VIII Kieślowskiego, byłam na początku zaskoczona pewnymi zbieżnościami fikcji i realiów. Dotyczy on bowiem pewnej profesor etyki, skrupulatnej jak Ossowska. Zachowuje się ona jednak odmiennie, nadto dziecko jest płci żeńskiej. Być może Piesiewicz, scenarzysta, wpadł na pomysł fabuły, uczestnicząc w konwersatorium Pani Profesor, na którym się nieraz pojawiał.

Do dziś nie wiem, czy po latach to ten mały chłopiec jest

autorem listu, który napisał po lekturze mojego artykułu umieszczonego w Magazynie Świątecznym Gazety Wyborczej nr 13 z 2 kwietnia 1999 roku. List ten stawia mnie przed dylematem moralnym, bowiem Autor opowiada w nim kontekst spotkań z Ossowskimi oraz napomyka o okolicznościach, które ułatwiają jego identyfikację. Równocześnie nie zgadza się na publikację listu pisząc w *post scriptum*: „To są moje osobiste wspomnienia, nie do druku proszę”.

Zapewne ten dokument zostanie po mojej śmierci dołączony do archiwum Ossowskich z kilkudziesięcioletnią klauzulą. Na razie postanowiłam opublikować te fragmenty, aby zapewnić anonimowość Autora i Jego rodziny:

„Nie sądzę [pisze] bym tą notką wniósł wiele nowego, ale chciałbym niniejszym dać jeszcze jedno świadectwo wspaniałej postawy Państwa Ossowskich podczas wojny”. Ukrywał się od „wyjścia w połowie 1942 roku z Getta Warszawskiego”. W 1944 roku znalazł się ze swoją babką na Żoliborzu w pustym mieszkaniu. „I właśnie jedynym kontaktem ze światem

zewnątrznym byli Profesorowie Ossowscy (...). Późnym wieczorem pukali do nas umówionym kodem i dostarczali nam jedzenie na następny dzień. Jeśli dobrze pamiętam (miałem 9 lat) 1-ego sierpnia po południu, wkrótce po usłyszeniu pierwszych serii karabinowych, Prof. Ossowski tym razem głośno i jawnie zapukał, aby nas poinformować o rozpoczęciu Powstania, o tym, że Żolibórz jest wolny i że my jesteśmy również wolni!

Te dwa powstańcze miesiące były jedynym krótkim okresem wolności dla nas w czasie całej wojny i ta krótka wolność wiąże się nierozzerwalnie w mojej pamięci z Państwem Ossowskim”.

Do swojej emigracji w 1968 roku Autor spotykał u wspólnych znajomych wpraw w oboje Ossowskich, a po śmierci Stanisława tylko Marię.

Nawiązując do pewnych krążących o Niej opinii, wyznaje: „Nie zapamiętałem Jej jako ascetycznego w zachowaniu naukowca, przeciwnie była ciepła i towarzyska” i kończy list słowami:

„Wiem, że mądrzy i szlachetni Państwo Ossowscy pomagali w ponurych wojennych czasach nie tylko nam. Jestem im winien tych kilka słów”.

Mieszkałam wówczas na stałe w Paryżu, co dało okazję do długiej rozmowy telefonicznej. Opowiadał, jak zupełnie przypadkowo Magazyn Gazety Wyborczej znalazł się w Jego rękach – w poczekalni u polskiego dentysty za granicą. Nie krył wzruszenia, wspominając Ossowskich. Na moje pytanie odpowiedział, że nigdy nie był w Ich mieszkaniu, zatem wspomnienia Ossowskiej dotyczyć być może innego dziecka.

3 Autorzy artykułu piszą o kontaktach Ossowskich z działaczami Żegoty. W rozmowach Maria Ossowska wspominała Emilię Hiżową, członkinię prezydium od 1942 roku, a od lipca 1943 odpowiedzialną za Referat Mieszkańców zajmujący się poszukiwaniem schronień dla Żydów.

Była ona matką Henryka Hiży, ulubionego studenta Kotarbińskiego i Ossowskiej, który na Uniwersytecie podziemnym pełnił równocześnie funkcję wykładowcy. Uczestnik Powstania Warszawskiego, tuż po wojnie wyemigrował. Był profesorem filozofii na University of Pennsylvania. Do końca życia Ossowskich pozostał Ich oddanym przyjacielem.

Znam wielką wagę, jaką przywiązuje od lat Redakcja Gazety Wyborczej do pamięci Marii i Stanisława Ossowskich. Do mojego, wspomnianego wyżej, artykułu poświęconego tylko Jej Adam Michnik dołączył notę informacyjną o Obojgu. Mam zatem nadzieję, że z uwagi na doniosłość cytowanych przeze mnie dokumentów list ten zostanie opublikowany. ●

Łączę serdeczne pozdrowienia dla całego Zespołu

weekendówka
122

GLINIARZE W PASTELOWYCH MARYNARKACH

Na początku lat 80. Brandon Tartikoff, szef sekcji rozrywki telewizji NBC sporządził notatkę z redakcyjnej burzy mózgów, w której stało jak byk: „gliniarze z MTV”. A potem pokazał ją Anthony’emu Yerkovichowi, telewizyjnemu scenarzyście i producentowi.

Yerkovich miał już na koncie pracę m.in. przy serialu „Starsky & Hutch”, a także świetnym „Posterunku przy Hill Street”, więc do stworzenia opowieści o „teledyskowych gliniarzach” spod znaku *buddy movie* nadawał się znakomicie.

Choć on sam twierdził, że na pomysł „Policjantów z Miami” – bo o nich będzie dziś mowa – wpadł, kiedy dowiedział się o przepisach pozwalających organom ścigania na konfiskowanie majątku i własności handlarzy narkotyków.

Dość powiedzieć, że Yerkovich napisał dwudziennego pilota, zatytułowanego „Gold Coast”. Dopiero potem zmienił tytuł na „Policjanci z Miami”.

Do głównej roli, Jamesa „Sonny’ego” Crocketta, pracującego pod przykrywką detektywa Metro-Dade Police Department, byle gwiazdy uniwersyteckiego futbolu i weterana z Wietnamu, przymierzani byli m.in. Jeff Bridges i Nick Nolte, a także Mickey Rourke, ale nie dali się skusić. Poszukiwania trwały, rozpoczęcie zdjęć do odcinka pilotażowego przekładano dwukrotnie, a wybór ostatecznie padł na Dona Johnsona. Partnerować miał mu Philip Michael Thomas jako detektyw Ricardo Tubbs. Co ciekawego bohater o nazwisku Sonny Crockett pojawił się w „Posterunku przy Hill Street”, tylko wówczas był to zbir, teraz Yerkovich przeciągnął go na jasną stronę.

„Policjanci z Miami” – wspomnianego pilota NBC pokazała 16 września 1984 roku, regularna emisja rozpoczęła się 28 września - podbili telewizyjny rynek. „Pierwszy program, od czasu wynalezienia kolorowej telewizji, który wyglądał naprawdę świeżo i nowocześnie” – pisał magazyn „People”. Piękne zdjęcia, dźwięk – jako jeden z pierwszych amerykańskich programów emitowany był w stereo, przebojowa muzyka (kapitałne motywy skomponowane przez Jana Hammera, „Miami Vice Theme” and „Crockett’s Theme”... A do tego efektowne gadżety, choć krytycy żyzymali się, że żaden policjant z obyczajówki nie ściga dilerów Ferrari, i ta niezwykła moda.

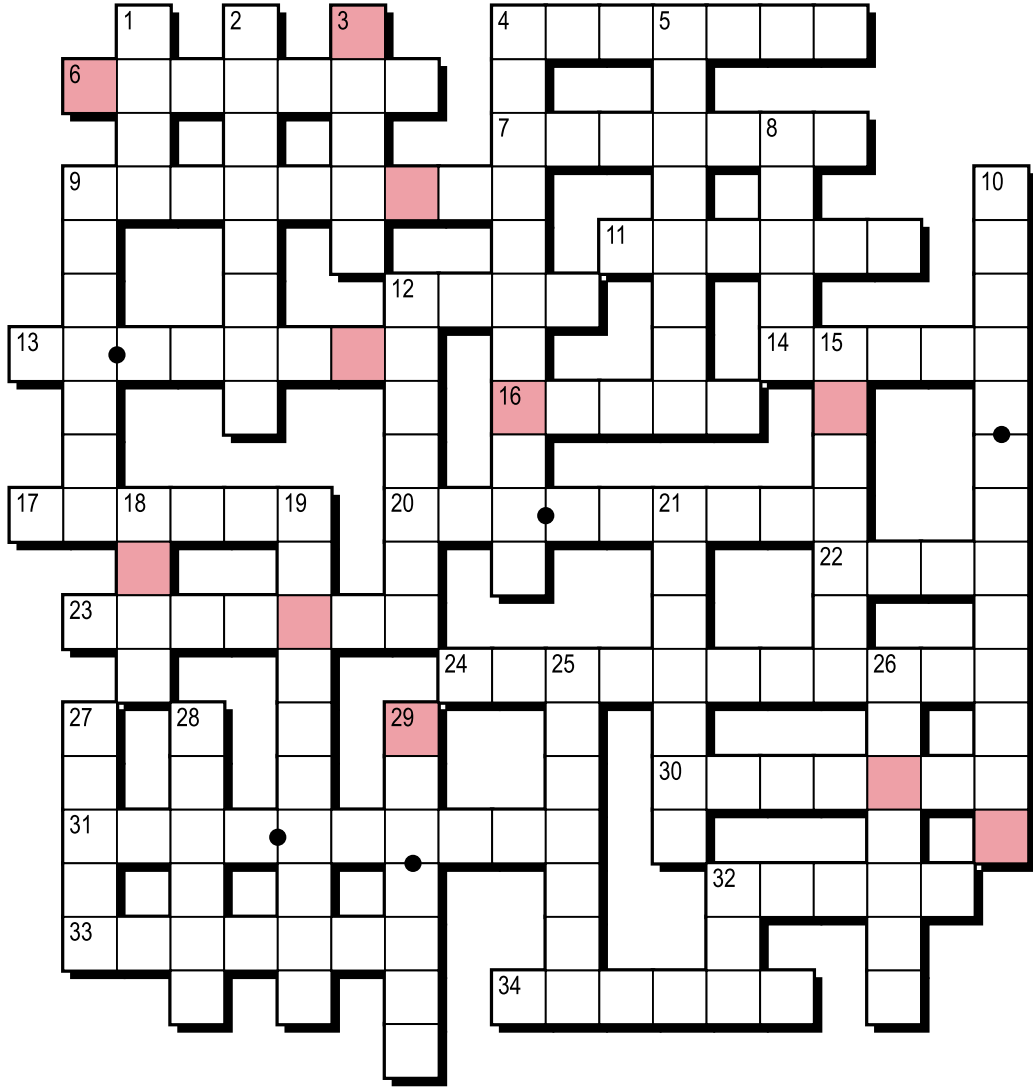
Pastelowe (nawiązanie do architektury Miami w stylu art-deco) marynarki Armaniego noszone na t-shirty, lniane spodnie, mokasyны wkładane na bosa stopy, obowiązkowe okulary Ray-Bana – tak chciał nosić się każdy facet w latach 80.

Serial zdobył 20 nominacji do nagrody Emmy (4 statuetki) i 7 do Złotych Globów (2 nagrody), a Jan Hammer dwie nagrody Grammy za motywy przewodni.

My, z rozrzwinieniem wspominając serial, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy ekranowym gliniarzom. Łezka się w oku zakręci...

Od Redakcji: W poprzedniej „Weekendówce” (nr 121, „Magazyn Gazety Wyborczej”, 21-22.09) w tekście o Orderze Uśmiechu, mylnie przypisałem rolę w jego powstaniu redakcji „Kuriera Porannego” zamiast „Kuriera Polskiego” – za pomyłkę serdecznie przepraszam.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 121 z 21.09:

Poziomo: 1) emocje, 5) smutek, 8) Poldek, 9) piegi, 11) przysłówie, 13) Cheshire, 14) Antoni, 15) Leonardo, 18) kabaret Smile, 21) atak, 23) disco polo, 24) ponuraki, 25) Świat, 26) niebo, 28) żarcik, 33) oda, 34) fotograf, 35) Jantar, 36) kawały, 37) Roman, 38) zabawa, **Pionowo:** 2) Melanie, 3) Joker, 4) śmieszka, 6) komizm, 7) rechot, 8) piosenka, 10) komedia, 11) perlistość, 12) zdrowie, 16) wesołki, 17) banan, 18) kpiny, 19) beczka, 20) emotikony, 22) mikrofon, 24) pan, 27) odgłos, 29) córka, 30) kółka, 31) salwa, 32) sala.

HASŁO:
UKRYTA KAMERA

FILMOWI STRÓŻE PRAWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** „Szkłana ...”, czyli Bruce Willis kontra ci żli
6) filmowy policjant cyborg, którego zagrał Peter Weller
7) serial „CSI: Kryminalne ... Las Vegas” (William Petersen w roli Gila)
9) „Dempsey i ... na tropie”, serial popularny w latach 80.
11) ... Snipes, zagrał w „Strefie zrzutu”
12) „Tango i ...”, z Sylvestrem Stallone
13) odtwórca głównej roli w filmie z określenia 33 poziomo
14) ... Murtaugh, policjant z cyklu „Zabójcza broń” (rola Danny’ego Glovera)
16) Telly Savalas jako nieustraszony stróż prawa

- 17)** stan pilnowany przez Cordella Walkera
20) zagrał Martina w filmach z serii „Zabójcza broń”
22) imię detektywa z filmu „Gliniarz z Beverly Hills”
23) rola Marcina Dorocińskiego w serialu „Pitbull”
24) film Martina Scorsese z Leonarodem DiCaprio w roli policjanta rozpracowującego groźnego mafioza
30) serial „... i Bonetti” o detektywie i jego psie
31) zagrał skorumpowanego gliniarza w filmie „Leon zawodowiec”
32) Mark, detektyw z serialu telewizyjnego „Prawo i porządek” (rola Chrisa Notha)
33) film Sidneya Lumeta o policjancie walczącym z korupcją wśród stróżów prawa
34) Franz z filmu „Psy” (rola Bogusława Lindy)

Pionowo:

- 1)** Bartłomiej, policjant oskarżony o przestępstwo w filmie Wojtki Smarzowskiego „Drogówka”
2) porucznik MO z serialu „07 zgłoś się”
3) nazwisko detektywa z filmu „Gliniarz z Beverly Hills”
4) w nim gliniarz, którego zagrał Arnold Schwarzenegger
5) „... policyjna”, seria komedii sensacyjnych
8) tropiony przez komisarza Rybę
9) John, policjant z serii filmowej z określenia 4 poziomo
10) twardeł, którego zagrał Clint Eastwood
12) fajtlapowaty, ale diablo inteligentny porucznik z serialu kryminalnego (rola Petera Falka)
15) z numerem, okazywana przez policjanta
18) wtyczka w organizacji
19) stróże prawa na Dzikim Zachodzie

- 21)** policjant, którego zagrał Steve McQueen
25) ojczyzna żandarma Ludovica Cruchota
26) miasto, w którym nieustępliwy Tommy Lee Jones tropił Harrisona Forda („Ścigany”)
27) Martin, partner policjanta z określenia 14 poziomo
28) ... Depardieu, filmowy detektyw Vidocq tropiący Alchemika
29) film z Willem Smithem i Martinem Lawrence’em w roli policjantów z Miami
32) nazwisko detektywa z cyklu filmowego „Godziny szczytu” (Jackie Chan)

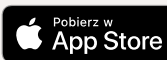
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

